

# Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

# Odgłosy

PL ISSN 0472-5042  
Nr indeksu 36762

NUMER 10 (1406) ROK XXVIII

9 MARCA 1985 ROKU

CENA 15 ZŁ

- Jak to jest z tą inteligencją?
- Na lewo od rozdroża
- Sztachetowa
- Mnie nie wolno się pomylić...
- „Niech żyje rock!”
- Boks stary jak świat

## Tak trzymać!

## O tym się mówi

Rozmowa z ALFREDEM MIODOWICZEM – przewodniczącym Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych.

Mówi się oczywiście o społecznych konsultacjach projektu podwyżek cen i częściowego ograniczenia reglamentacji, a konkretnie o stanowisku Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych i ostatnich decyzjach władz w tej sprawie. Chyba każdy przyzna, że związkowcy wpłynęli na rząd na tyle, że ten

postanowił przyjąć do realizacji czwarty wariant podwyżek.

**Marek Mamos:** — Czy decyzje rządu satysfakcjonują związkowców?

**Alfred Miodowicz,** przewodniczący Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawo-

dowych: — Podwyżka cen w każdym przypadku jest niezwykle dotkliwa i bolesna dla setek tysięcy rodzin, stąd też trudno mówić o satysfakcji. Decyzja, którą podjął rząd świadczy o tym, iż władza do- kładnie zna nastroje ludzi i liczy się

5

## Czy nasze leczenie da się zreformować? (1)

## Rozpoznanie

Chcemy mieć sprawny działający system ochrony naszego zdrowia. Ale system ten szwankuje i znajduje się nieustannie pod naporem krytycznych uwag opinii publicznej. Wymaga usprawnień i reform. Wiedzą o tym również ludzie pracujący w służbie zdrowia. Jakiej władzy niedomagania? Jakiego sposobu naprawy? Na redakcyjną dyskusję zaprosiliśmy przedstawicieli łódzkiej służby zdrowia. Udział w dyskusji wzięli:

— **WŁADYSŁAW GOS** — zastępca dyrektora do spraw specjalistycznej opieki medycznej w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym im. Mikołaja Kopernika.

— **EDWARD LENKOWSKI** — zastępca dyrektora do spraw ekonomicznych Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi.

— **TADEUSZ LEWY** — ordynator oddziału chorób wewnętrznych w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym im. Mikołaja Kopernika.

— **RYSZARD MACHNIKOWSKI** — lekarz wojewódzki, dyrektor Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi.

— **JANUSZ NAPIERAŁSKI** — dyrektor Przedsiębiorstwa Zaopatrzenia Farmaceutycznego „Cefarm”.

— **ZENON TORZECKI** — profesor, przewodniczący Komisji Zdrowia, Ochrony Środowiska i Kultury Fizycznej Rady Narodowej Miasta Łodzi.

„ODGŁOSY”: — Proponujemy taki temat: Jak lepiej, racjonalnie, skutecznie leczyć ludzi wydając na ten cel tylko te pieniądze, jakie zostały nam przeznaczone? Rozumiemy, że służba zdrowia ma ogromne potrzeby. Konieczna jest na przykład nowoczesna aparatura medyczna. Ale takiej aparatury nie produkujemy w kraju, więc trzeba ją kupić za dewizy. A wiadomo, że dewiz mamy albo bardzo mało, albo wcale. Może zatem warto zastanowić się, czy ta aparatura, która już mamy jest w pełni wykorzystywana? Brakuje leków. I znów rodzi się pytanie, czy leki dostają akurat wszyscy ci, którzy ich potrzebują? Może zbyt szczerze gospodarzy się lekami? Czy w szpitalu pacjent leży akurat tyle, ile powinien, czy dłużej? A jeśli dłużej, to dlaczego? Pytań jest wiele. Ale, żeby na nie rzetelnie odpowiedzieć, trzeba chyba zacząć od dokonania analizy pracy służby zdrowia, poddać ocenę cały ten system, znaleźć w nim braki i rzeczy dobre. Proponujemy zatem rozmowę o funkcjonowaniu systemu ochrony zdrowia w Polsce.

— **Z. TORZECKI:** — Jeśli to ma być rzetelna analiza to trzeba zacząć ją „od spodu” czyli od podstawy całego systemu leczenia — od lekarza pierwszego styku.

**W. GOS:** — Słusznie. Jeśli nasze leczenie ma sprawnie funkcjonować musi stać na trwałym fundamencie. A tym fundamentem jest leczenie podstawowe, które powinno być odpowiednio uzbrojone do spełniania swych funkcji.

**Z. TORZECKI:** — I musi być bardzo dobrze opłacane oraz mieć takie wyposażenie, aby miało swobodę działania.

**W. GOS:** — Może podam taki przy-

6

## Towar

ROMAN KUBIAK

Do księgarń trafiały marne resztki szczególnie poszukiwanych pozycji: encyklopedii, słowników, poradników, albumów, literatury pięknej. Zamiast na księgarskich półkach, pojawiały się w rękach bazarowych handlarzy. Skradziono ogrom znakomitych książek wartości ponad 39 mln

zł! Ofiary grabieży dbały jedynie o porządek w księgowości. PZU finansował „przeciwicki” na czarny rynek.

Warszawa, Jarmark Marymoncki. Prawdopodobnie tutaj narodził się pomysł zorganizowania sieci, za pomocą której „odławiano” dopiero co wydrukowane książki najprzedniejszego gatunku. Tutaj kontaktowali się paserzy i szeregowi handlarze. Ci pierwsi stanowili mózg gangu i pośrednie jego ogniwo: złodziejom składali szczegółowe zamówienia, handlarzom upłyniali trefny towar. Byli doskonale zorientowani w rynku księgarskim oraz w preferencjach potencjalnych nabywców, wśród których znalazło się wielu miłośników literatury przyjeżdżających do Warszawy z odległych zakątków kraju. Tutaj mogli kupić

każdą niemal pozycję. Jedyną przeszkodą stanowiły ceny.

Jako ognisko spekulacji, Jarmark Marymoncki ma być uśmiercony. Trwa agonía sprzedaży pod gołym niebem. Po śmierci jarmarku, czarnorynkowe ceny znowu wystrzeliły do góry, a handlarze skryją się w bramach. Zaostrożą się apetyty na przesyłki z napisem „Składnica Księgarska”.

Warszawa, ulica Kolejowa, magazyn Składnicy Księgarskiej. Tutaj pracowali ludzie, którzy stanowili pierwsze ogniwo książkowego gangu. Ludzie ci mają kłopoty z podpisaniem się. W ich domach, na półkach stoją reprezentacyjne kryształ i nigdy nie używana porcelana. Tych kilka posiada-

7



Foto: Grzegorz Galasiński

## Amfora

Nora Szczepańska

Zwyczajna dobra kobieta składa się z:

- torebki
- portmonek
- siatki
- teczki
- torby na zakupy
- w której butelki
- na mleko czy piwo

bywa także że jej zasadniczymi elementami są:

- koszyk
- koszyczek

koss  
koss na białiznę  
plachta  
chusta  
rogoża  
brezent  
worek  
ogromny czemadan  
niekiedy jeszcze naczynia:

putnie  
bańki  
szafliki  
niecki  
stągwie  
balie  
wiadra  
kubły  
dzbany

posiada ona mocne ręce i równie mocne często krzywe nogi.

W brzuchu dźwiga dziecko.

# Odgłosy

Adres redakcji: 90-113  
 Łódź, ul. Henryka  
 Sienkiewicza 3/5.  
 Telefony: redaktor naczelny  
 i zastępca redaktora  
 naczelnego 36-52-44,  
 sekretarz redakcji,  
 fotoreporter: 36-80-99,  
 publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz  
 Włodkowski.

Zastępca redaktora  
 naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji:  
 Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu  
 literackiego: Grzegorz  
 Gazda.

Redaktor techniczny:  
 Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,  
 Dariusz Doroszyński,  
 Eugeniusz Iwanicki, Teresa  
 Jerzykowska, Andrzej  
 Karolczak, Roman  
 Kubiak, Jerzy Kwieciński,  
 Bogda Madej,  
 Andrzej Makowiecki,  
 Paweł Tomaszewski,  
 Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz  
 Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz  
 Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,  
 Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:  
 Tadeusz Białejewski,  
 Edward Bryl, Krzysztof  
 Drzewiecki,  
 Bohdan Gadomski,  
 Witold Kasperkiewicz,  
 J. Stanisław Knypl,  
 Włodzimierz Krzemiński,  
 Edmund Lewandowski,  
 Marek Mamos,  
 Zenon J. Michalski,  
 Krystyna Namysłowska,  
 Janek Panasewicz, Ewa  
 Parkiewicz, Karol  
 J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo  
 Prasowe RSW „Prasa” —  
 Książka — Ruch” 91-103 Łódź  
 ul. Piotrkowska 98

DRUK: Prasowe Zakłady  
 Graficzne RSW „Prasa —  
 Książka — Ruch” 90-950 Łódź,  
 ul. Armii Czerwonej 23.

Redakcja nie zwraca nie za-  
 mówionych rękopisów i zastrzega  
 sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla  
 instytucji i zakładów pracy: —  
 zlokalizowane w miastach wolo-  
 wódzich i pozostałych miastach  
 w których znajdują się siedziby  
 Oddziałów RSW „Prasa —  
 Książka — Ruch” zamawiają  
 prenumeratę w tych oddziałach:  
 — Instytucje i zakłady pracy  
 zlokalizowane w miejscowościach  
 gdzie nie ma oddziałów  
 RSW „Prasa — Książka — Ruch”  
 opłacają prenumeratę w urzędach  
 pocztowych i u doręczycieli  
 2. dla indywidualnych prenumera-  
 torów: osoby fizyczne zamieszkałe  
 na wsi i w miejscowościach  
 gdzie nie ma oddziałów  
 RSW „Prasa — Książka — Ruch”  
 opłacają prenumeratę w urzędach  
 pocztowych i u doręczycieli; osoby  
 fizyczne zamieszkałe w miastach —  
 siedzibach Oddziałów RSW „Prasa —  
 Książka — Ruch” opłacają prenu-  
 meratę wyłącznie w urzędach  
 pocztowych nadawczo-oddawczych  
 właściwych dla miejsca zamieszka-  
 nia prenumeratora

Wpłaty dokonuje się używając  
 „blankietu wpłaty” na rachunek  
 bankowy miejscowego Oddziału  
 RSW „Prasa — Książka —  
 Ruch” 3. Prenumeratę ze zleceni-  
 em wysyłki za granicę przyjmuje  
 RSW „Prasa — Książka —  
 Ruch” Centrala Kolportażu  
 Prasy i Wydawnictw ul. Towa-  
 rowa 28 00-958 Warszawa kon-  
 to NBP XV Oddziału w War-  
 szawie nr 1153 201045-139-11. Pre-  
 numerata ze zleceniem wysyłki  
 za granicę pocztą zwykłą jest  
 droższa od prenumeraty krajowej  
 o 50 proc. dla zleceniodaw-  
 ców indywidualnych i o 100  
 proc. dla zleceniodawców instytu-  
 cji i zakładów pracy. Terminy  
 przyjmowania prenumeraty na  
 kraj i za granicę — do dnia 10  
 listopada na I kwartał i półro-  
 cze roku następnego oraz cały  
 rok następnego — do dnia 1 ka-  
 żdego miesiąca poprzedzającego  
 okres prenumeraty roku bieżą-  
 cego.

Zam. 630. P-2.

2 ODGŁOSY

# Przeгляд prasy

Jedni sądzą, że związkowcy  
 wygrali z rządem w sprawie  
 podwyżki cen, inni — że wprost  
 przeciwnie: rząd związkowcom  
 zagral na nosie, wymyślając ad hoc

## „CZWARTY WARIANT”

Pozostaje z zalem stwierdzić,  
 że spór tego rodzaju mogą  
 wieść tylko ludzie obracający  
 się w kategoriach tymczasowości  
 — ot, do najbliższej wypłaty.  
 Nie jest to zarzut; wśród tej  
 grupy są i tacy, którzy po  
 prostu nie mają innego wyjścia,  
 gdyż każdy ruch cen ma  
 decydujące znaczenie dla ich  
 egzystencji. Nie ulega wątpli-  
 wości, że związki zawodowe  
 miały moralne prawo wystąpić  
 w ich obronie i domagać się  
 rozwiązań łagodzących perspek-  
 tywę podwyżki totalnej. Wszak  
 słusznie na ten aspekt sprawy  
 zwraca uwagę autorka komen-  
 taria w „Trybunie Ludu” (nr  
 51 — 85.03.01 — „Związkowe  
 ambicje — ze społecznych po-  
 trzeb”) Teresa Grabczyńska:

„Ze zrozumieniem przyjmują  
 związkowcy argumenty rządu,  
 ale bronią prawa do samodzielnej  
 oceny, formułowania własnych  
 opinii i wniosków. To  
 prawda, spieszą się, bo gonia  
 ich potrzeby i niedostatek sug-  
 nalizowane przez członków i nie  
 zrzeszonych. I nie ze wszystki-  
 mi postulatami mogą czekać,  
 aż sprawniej zaczną funkcyj-  
 nować gospodarka.”

Spór wokół cen i wypracowa-  
 nych w jego wyniku rozwiąza-  
 nie istotnie mają wszelkie wady  
 i wady rozwiązania tymczasowe-  
 go, zastępczego. Musiało  
 do tego dojść. Ceny bowiem  
 zawsze były u nas fetyszem  
 nie tylko gospodarczym, ale i  
 społecznym, a przede wszystkim  
 politycznym. Dopóki nie przy-  
 wróci się im rangi instrumentu  
 wyłącznie ekonomicznego be-  
 dzie tak zawsze, zwłaszcza wte-  
 dy, gdy rząd będzie propono-  
 wał raz na jakiś czas zmaso-  
 wany ruch na wielu płaszczy-  
 nach, skokową operację o roz-  
 ległych skutkach — trwać sie-  
 dnożnie zobowiązany do jej  
 konsultowania

Związkowy głos przeciw  
 propozycji rządowej był skiero-  
 wany w istocie nie przeciw  
 konkretnym rozwiązaniom  
 kwotom i formułkom, co prze-  
 ciw samej metodzie. Realizm  
 myślenia, który zaprezentowa-  
 li związkowcy, wynika chyba z  
 rodzaje się przekonania o  
 bezpośredniości związków mię-  
 dzy poziomem gospodarowania  
 a poziomem życia. A rząd, ku  
 memu zdumieniu, okazał się  
 bardziej konserwatywny — ten  
 sam rząd, tak bardzo przywią-  
 zany do idei reformy gospodar-  
 czej. Może ta zimowa lekcja  
 „pata konsultacyjnego” dopro-  
 wadzi do przełamania bariery  
 mitów wobec kwestii cen i po-  
 lityki społecznej. Może będzie  
 się o tym myśleć w sposób cią-  
 gły, a nie schematycznie, raz  
 do roku.

Ciągłość myślenia, konse-  
 wentne (choć powolne i mało  
 spektakularne) zatwierdzenie na-  
 szych społecznych problemów  
 nie jest, niestety, naszą narodo-  
 wą cnotą. Bliższe naszemu po-  
 litycznemu temperamentowi  
 zbiorowemu są „akcje”. Zbyt  
 wiele wskazuje na to, że czyni-  
 w tym rodzaju stanie się nie-  
 bawem akt wybierania nowego  
 parlamentu. Wszystkich bow-  
 wiem najbardziej pasjonuje

## ZADANIE „URZĄDZENIA” NOWEJ ORDYNACJI

wyborczej, jakby ona sama  
 przez się miała i mogła po-  
 wsze czasy zatłwić problem  
 porządnego, demokratycznego

Na przykład w dyskusji w  
 redakcji „Prawa i Życia” doc.  
 Stanisław Gebethner (nr 8 —  
 85.02.23 — „Prawniczy o ordy-  
 nacji”) powiedział:

„Istota wprowadzanych re-  
 form winna polegać na swois-  
 tym kompromisie zapewnianym  
 rzeczywistą spójnością mię-  
 dzy zasadami demokracji so-  
 cjalistycznej i ludowladztwa re-  
 alizowanych przy jednoczesnym  
 przestrzeganiu zasady przewo-  
 dnej roli partii.”

Jest to klasyczny przypadek  
 tzw. fideizmu prawniczego, al-  
 bo — jak kto woli — myśle-  
 nia magicznego. Reforma pra-

wa wyborczego, czyli nowa us-  
 ława, ma zapewnić kompromis  
 między trzema podstawowymi  
 zasadami konstytucyjnymi. No-  
 tabene, zasadami, które nie są  
 sprzeczne między sobą i kom-  
 promisu szukać nie potrzebu-  
 ją, zwłaszcza za pośrednictwem  
 ustawy tak wyspecjalizowanej  
 jak ordynacja wyborcza.

Można się zgodzić z poglą-  
 dem, że kondycja moralna i  
 wiarygodność przyszłych posłów  
 i przyszłego sejmiku zależna be-  
 dzie w dużym stopniu od ska-  
 li „demokratyczności” prawnych  
 rozwiązań ordynacji. Ale te roz-  
 wiązania mogą mieć swe zna-  
 czenie i realny wpływ na po-  
 lityczną rangę parlamentu do-  
 piero w drugiej kolejności, w  
 sposób jakby szlifujący. Zasa-  
 dnicie znaczenie mieć będzie  
 jednak proces wylaniania kan-  
 dydatów przez uczestniczące w  
 wyborach siły polityczne. A te go-  
 przedziez nawet nie próbuje  
 się sformalizować przy poro-  
 czy przepisów prawa. Zresztą  
 leży to poza zasięgiem realnych  
 możliwości norm ordynacji. Po-  
 zwolę sobie niebawem szerzej  
 powrócić do tej kwestii...

Myślenie magiczne skądinąd  
 nie tylko na politycznej płasz-  
 czynie naszego życia publicznego  
 pełni się obficie. A w  
 kulturze? Wystarczy rzucić  
 modny słówkiem: pluralizm. I  
 od razu jawi się ów

## PLURALIZM JAKO „KAMIEN FIZJOCICZNY”

wszelkiej dyskusji, co ma w  
 złoto zamienić byle którą „twor-  
 czą” bzdurę.

Najnowsza definicja pluraliz-  
 mu w dziedzinie kultury, a  
 szczególnie literatury i literac-  
 kiej krytyki dał Jacek Kajtoch  
 w „Argumentach” (nr 9 — 85.  
 03.03), zastrzegając na wstępie,  
 że jego uwagi o polityce kul-  
 turalnej będą miały subiektyw-  
 ny charakter i nie chce on te-  
 go ukrywać.

Jacek Kajtoch tak oto for-  
 mułuje „co dzisiaj, na począt-  
 ku 1985 roku oznacza powię-  
 dzenie się za pluralizmem w  
 kulturze.”  
 Oznacza to walkę z szowiniz-  
 mem i klerikalizmem, z pogro-  
 bowcami samarytanizmu, z pro-  
 lonocentryzmem, z narodowo-  
 religijnym mesjanizmem. Oznacza  
 to walkę o należne miej-  
 sce we współczesnej kulturze  
 rodzimej i międzynarodowej  
 myśli socjalistycznej, o toleran-  
 cję religijną, o świeckość oś-  
 wiaty, o otwartość na całą war-  
 tościową humanistyczną, spu-  
 szczone, na wartości wytworzone  
 przez narody żyjące w różnych  
 orientacjach kulturalnych. Oznacza  
 to walkę z tendencjami  
 absolutyzującymi znaczenie kultury  
 zachodnioeuropejskiej, z  
 wywyższaniem nas z własnej  
 tradycji przez kulturalistyczną  
 kulturę masową. Oznacza to na-  
 koniec walkę o upodmiotowienie  
 klasy robotniczej i chłop-  
 skiej w dziedzinie wytwórczo-  
 ści kulturalnej.”

Piękny to program, pod któ-  
 rym nie sposób nie podpisać  
 się oburzać, co też niniejszym  
 czynię.

Ale już praktyczne wnioski  
 które z tej deklaracji wyciąga  
 Jacek Kajtoch są co najmniej  
 wątpliwe. „Niebezpieczeństwo  
 nie polega na tym — pisze ów  
 krytyk — że wydawane są u-  
 twory neutralne wobec socja-  
 lizmu czy nawet z nim polemiz-  
 ujące, ale na tym, że nie  
 podejmuje się z nimi merito-  
 ryzmicznej dyskusji, że się je  
 przechwala i przecenia, że ich  
 autorom daje się z reguły wyższe  
 nakłady, a następnie przeróż-  
 ne nagrody i wyróżnienia. (...)”

W tym kontekście na porzą-  
 dku dziennym staje kontencja  
 stworzenia w Polsce marks-  
 towskiego czasopisma literac-  
 kiego. Teoretycy kultury, kry-  
 tycy różnych dziedzin sztuki,  
 pisarze etc., którzy nie potru-  
 cili marksizmu-leninizmu jako  
 fundamentu swojej twórczości,  
 mają prawo do swobodnej wy-  
 powiedzi, do niezależności od  
 układów towarzyskich, taktiki  
 środowiskowej, kompromisów  
 odwołujących się do oparcia  
 (...) pojmowanego pluralizmu.”

Ważne to jest — zdaniem  
 Kajtocha — albowiem katolicki  
 twórca ma pełną swobodę,  
 a inne czasopisma, np. „Litera-  
 tura” czy „Odra”, „w rzeczy-  
 wistości zostały zdominowane  
 przez pisarzy onozucimnych.”  
 Ciekawostka — Putrament jako  
 szef jacejski wrogów socjaliz-  
 mu...

Wynika z tego, że Kajtoch  
 na własną rękę rozstrzyga

## DYLEMAT CYGANA

(umyślane dziecko, czy zro-  
 bione nowe...), opowiada się za  
 tym drugim rozwiązaniem.  
 Tymczasem, zważywszy na ko-  
 szmarne niedostatek papierowo-

poligraficzne, taniej byłoby  
 zorganizować „zamach stanu”  
 i opanować jakieś istniejące  
 pismo, nawet przy poparciu  
 czynników politycznych i dys-  
 ponentów prasy. Jeszcze taniej  
 — po prostu pisać krytyczne  
 teksty z pozycji marksistow-  
 skich i przynosić do redakcji.  
 Ot, choćby na moje biurko je-  
 śli ten adres nie ujmie honoru  
 krytykowi Kajtochowi. Zarę-  
 czam jako członek partii, że nie  
 kieruję się (mój szef też zresztą  
 nie...) żadnymi uprzedzeniami  
 ani zgnitym pluralizmem.  
 Pierwszym kryterium, które  
 stosujemy wobec wszystkich,  
 jest ja k o ś c i tekstu. Do-  
 piero po tej selekcji rozważa-  
 my opcje ideologiczne i poli-  
 tyczne autora.

Sądzę, że jest to praktyka  
 powszechna w większości re-  
 dakcji, aczkolwiek powodowany  
 tradycyjną ostrożnością, wolal-  
 bym zbyt gorąco nie zarze-  
 czać oskarżeniom Kajtocha o  
 antymarksistowską stronniczość  
 niektórych redakcji. Z drugiej  
 wszakże strony, również powo-  
 dowany tą samą ostrożnością,  
 pozwałam sobie mniemać, że  
 często niektórzy współtowarzy-  
 sze Kajtocha nie mogą poko-  
 nać tej pierwszej bariery, ba-  
 rieri jakości...

Jest to odnotowania pewna  
 istotna zmiana personalna w  
 polskiej prasie. Oto na emery-  
 turę odszedł, opuszczając swe  
 ostatnie dzieło, redaktor na-  
 czelny „Tu i Teraz”

## KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

Szkoda. Jako redaktor pisma  
 był bowiem Koźniewski posta-  
 cią nietuzinkową. Pozostanie  
 zapewne taki nadal — jako pu-  
 blicysta o wybitnym tempera-  
 mencie politycznym. Ale skoń-  
 czyła się jego przygoda z „ro-  
 bieniem” tygodnika, z którego  
 — mimo rynkowych trudno-  
 ci — uczynił ważny instrument  
 opiniotwórczy. A to dzięki swo-  
 jemu nieomylnemu instynktowi  
 profesjonalnemu, otwartości i  
 nieprzejartej ochocie do polem-  
 iki.

Zespół „Tu i Teraz” ogłosił  
 laurkę na jego odejście, z któ-  
 rej dowiadujemy się, że „uro-  
 dził się 26 lipca 1919 roku, a  
 więc poczęty został dokładnie  
 11 listopada 1918 roku. Nie  
 mógł to być przypadek.” Przy-  
 pisywanie państwowotwórczym  
 skłonności Koźniewskiego temu,  
 (mocno domniemanemu skądinąd)  
 praktycznemu wyrazowi  
 niepodległościowej euforii jego  
 rodziców, uważam za zabawny  
 przesade. Ani ten mocno na-  
 ciągnięty zbieg okoliczności, ani  
 pokrewieństwo z zodiakalnymi  
 lwami, nie wpłynęło na posta-  
 wę, światopogląd i świadomość  
 Koźniewskiego — zdecydowały  
 inne czynniki, przede wszyst-  
 kim wartości wyniesione z et-  
 hosu harcerskiego, potem zwią-  
 zki z lewicą intelektualną oraz  
 umiłowanie realizmu i pragma-  
 tyzmu.

Koźniewski jako polityk bu-  
 dził i budził namiętne spory i  
 konflikty, w każdym razie nie  
 jest innym obojętnym. Natomiast  
 jego wybitne talenty dzienni-  
 karskie muszą ewokować nie-  
 kłamano podziw dla jego wie-  
 dzy i praktycznych umiejętności  
 w dziedzinie redagowania.  
 To właśnie nie jego poglądy  
 politycznych, ale tej „iskry bo-  
 żej” w robieniu pisma będzie  
 mi najbardziej brakować. Czuj-  
 waj, drubu...

Na zakończenie historyjka z  
 „Veto” (nr 9 — 85.03.03)

## O STRASZLIWEJ RYBIE FUGU

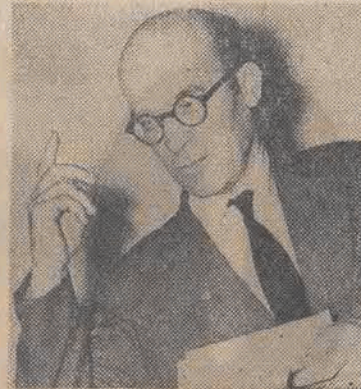
— trującej paskudzie japoń-  
 skiej, w której tkwi jedna dwo-  
 dziesiąta grama tetradotoksyny  
 — substancji zabijającej trzy-  
 dzieści kilka osób.

A mimo to Japończycy z  
 upodobaniem hazardzistów od  
 rosyjskiej ruletki konsumują  
 to świnstwo, placąc po 200 dol-  
 arów za porcję dla czworga. Po-  
 dobno tamtejsi kucharze posie-  
 dli sztukę odróżniania fugu i po  
 wieloletnim szkoleniu są do-  
 puszczani do praktykowania.

W tej wąsko wyspecjalizowanej  
 dziedzinie odzwierciedla drugie  
 Japonii jest u nas niemożliwe  
 Nasz bowiem kucharze na od-  
 wrytkę — potrafią mistrzowsko  
 truć wszystkim, co im się do  
 garnków nawinie. I to bez swo-  
 cjalnego szkolenia i egzaminów.

## TOMASZ SAS

# Słowa pożegnania



ZYGMUNT FIJAS nie żyje.  
 Odszedł znakomity pisarz,  
 który na życie spoglądał z kpiar-  
 ską życzliwością i filozoficz-  
 ną zadumą. Jego teksty przez  
 wiele lat pojawiały się na la-  
 mach „Odgłosów”.

Z Łodzią był związany od  
 1946 r. I choć debiutował w  
 latach trzydziestych, to prze-  
 cież Jego talent rozwinął się  
 w pełni właśnie w mieście  
 włókniarzy. Krytyka nazywała  
 Go satyrykiem. Jest w tym  
 wiele prawdy. Ale Zygmunt  
 Fijas przede wszystkim był  
 poetą, poetą ludzkich przywar  
 i ułomności, z których jeśli  
 sztydził, to przecież bez zło-  
 śliwości, a raczej z wyru-  
 miałością i pobażaniem, wie-  
 dząc, iż natura ludzka jest u-  
 łomna, a zarazem niepojęta  
 zagmatwana w swojej złożo-  
 ności.

Urodził się w 1910 roku w  
 Nowym Sączu. Studiował pra-  
 wo na Uniwersytecie Jagielloń-  
 skim. Od wczesnej młodości  
 był związany z ruchem lewi-  
 cowym należąc do Związku  
 Niezależnej Młodzieży Socja-  
 listycznej oraz do Stronnictwa  
 Demokratycznego. Wiele lat  
 współpracował z organizacją  
 „Wici”.

W czasie okupacji brał czyn-  
 ny udział w walce z najeźdźcą,  
 należąc do Batalionów Chłop-  
 skich operujących w rejonie  
 Sandomierza.

Po wojnie na krótko zatrzy-  
 mał się w Krakowie, a po-  
 tem przyjechał do Łodzi, gdzie  
 przez bez mała 40 lat poświęcił  
 się wyłącznie pracy literackiej.  
 Opublikował: „Portret z ser-  
 ca”, „O szkodliwości kominów”,  
 „Z notatnika prowincjusza”,  
 „Twarzą do tyłu” i „W kra-  
 nie majaceń”. Wiele natomiast  
 swoich utworów publikował w  
 czasopiśmie. Dla radia pisał  
 słuchowiska.

Był lubiany, choć nie nale-  
 żał do ludzi, o których się  
 mówi, że są podobni do do-  
 mów mających zawsze otwar-  
 te gościnnie drzwi.  
 Przez ostatnie lata całkowi-  
 cie się odizolował, zamknął w  
 sobie, publikował sporadycznie  
 i niewiele.

Jego tragiczna śmierć jest  
 poważną stratą zarówno dla  
 środowiska pisarskiego, jak i  
 dla literatury. Pozostaje jed-  
 nak pewność, że twórczość  
 Zygmunta Fijasza będzie żyć  
 własnym, udzielonym życiem.

(E. IW.)

# Minał tydzień

## TRZEJ MINISTROWIE

— do Spraw Cen, Pracy, Plac i Spraw Socjalnych oraz Handlu  
 Wewnętrznego i Usług — podjęli decyzję w sprawie podwyżek  
 cen, ograniczenia reglamentacji i podwyższenia świadczeń  
 społecznych łagodzącego skutki zmian cen. Przede wszystkim zde-  
 cydowano, że podwyżki dokonają się nie jednorazowo, lecz w  
 kilku etapach. Od poniedziałku 4 marca droższe będą, przeto-  
 ry zbożowe i chleb — jednocześnie znosi się reglamentację ma-  
 ki i przetworów zbożowych. Ponadto droższe: mleko tuste, śmie-  
 tana, sery twarde i topione, cukier, oleje jadalne i herbaty; ry-  
 bacy podnoszą też ceny ryb morskich dorszowych. Od 1 kwiet-  
 nia br. droższe opłaty za energię elektryczną i gaz i podnosi  
 się ceny węgla oraz koksu. W czerwcu br. podniesione zostaną  
 ceny masła i tłuszczów zwierzęcych oraz tłuszczów roślinnych  
 twardej i surowców importowanych, a także ceny mięsa i je-  
 go przetworów objętych reglamentacją. Ewentualność zniesienia  
 reglamentacji tłuszczów zostanie rozważona po dokonaniu oceny  
 perspektyw ich produkcji.

Dla częściowego zrównoważenia skutków podwyżek cen pod-  
 nosi się wszystkie emerytury pracownicze, renty rodzinne i  
 inwalidzkie oraz inne świadczenia rentowe, zaś od 1 maja pod-  
 niesione zostaną zasiłki rodzinne i inne świadczenia socjalne  
 o charakterze zasiłkowym. Podnosi się też granice dodatkowych  
 zarobków dla emerytów i rencistów nie powodujących zawie-  
 szania prawa do świadczeń. Wszystkie niezbędne szczegóły w  
 komunikacie opublikowanym w prasie codziennej.

## USTAWA O TRYBUNALE KONSTYTUCYJNYM

nabiera wreszcie konkretnych kształtów. Do łaski marszałkow-  
 skiej wpłynął bowiem posejski projekt tej ustawy, normującej  
 szczegóły kompetencji i funkcjonowania Trybunału Konstytu-  
 cyjnego, ustanowionego formalnie przed trzema laty w drodze  
 poprawki do Konstytucji. Trybunał, najogólniej mówiąc, będzie  
 zajmował się badaniem zgodności ustaw i innych aktów norma-  
 tywnych z Konstytucją.

## ZAKOŃCZYŁ SIĘ STRAJK

brytyjskich górników — jeden z najdłuższych w historii świato-  
 wego ruchu związkowego. Zakończył się bez żadnego rezultatu  
 — Krajowy Zarząd Węgla nie tylko podtrzymał decyzję o zam-  
 knięciu dwudziestu kopalni, co było przedmiotem sporu sprzed  
 roku, ale zapowiedział likwidację następnych pięćdziesięciu.  
 Nie doszło natomiast do strajku w Watykanie, gdzie cywilni  
 pracownicy „państwa św. Piotra” uwierzyli zapewnieniom kar-  
 dynała Casaroli, że w ciągu najbliższych miesięcy zatłwione  
 zostaną ich postulaty.

## W ŁOWICZU

wikary miejscowej parafii kolegiackiej podjął rekordowo ab-  
 surdualną akcję antytelewizyjną, rozbijając w kościele stary od-  
 biornik TV (podobno już bez kineskopu) i wystawiając szczerki  
 na widok publiczny pod krzyżem. A tymczasem nad kolegiacką  
 plebania antena telewizyjna sterczy jak gdyby nigdy nic...

## NASZ CZŁOWIEK NAGRODZONY

w regionalnym konkursie dziennikarskim organizowanym przez  
 SD PRL na najlepszą publikację związaną z 40 rocznicą wy-  
 wolnienia naszego regionu. Miło nam poinformować, że jedna z  
 czterech trzecich nagród (nierzwyklej nie przyznano) otrzymała  
 nasza redakcyjna koleżanka Jolanta Wrońska za drukowany w  
 „Odgłosach” (nr 5 — 85.02.02) tekst pt. „Siedem bolesnych ra-  
 mion memory”. Gratulujemy!

## VICESEKATOR

...wa lata temu, w lutym 1983 roku środowisko pisarzy partyjnych podjęło trud rozeznania sytuacji politycznej wśród twórców literatury. Próbowano także poszukiwać odpowiedzi na pytanie o fronty toczącej się wówczas (podobnie jeszcze i dziś) walki politycznej i ideowej na obszarze literatury i kultury w ogóle.

W połowie lutego 1985 r. z inicjatywy Wydziału Kultury KC PZPR oraz Ogólnopolskiego Zespołu Pisarzy Partyjnych odbyła się ogólnopolska konferencja na temat: „Literatura Pol-  
ski Ludowej. Oceny i prognozy”. Jej celem była analiza i ocena dorobku literatury w Polsce Ludowej, a także próba zarysowania programu na przyszłość. Konferencja ta, druga w ciągu ostatnich dwu lat, otworzyła dyskusję o miejscu i funkcji literatury w socjalistycznym społeczeństwie. Tak więc obok oceny zjawisk przeszłości równie ważnym, a może nawet ważniejszym, był na konferencji i pozostaje spór o prognozy, o przyszłość polskiej literatury współczesnej.

KAROL JÓZEF STRYJSKI

## Na lewo od rozdroża

Otwierając naradę, sekretarz KC PZPR W. Świrgoń powiedział m.in.:

„Nie jesteśmy lekkomyślnymi optymistami, aby twierdzić, że wszystko w obszarze literatury polskiej zmieniło się radykalnie. Ze zniechęceniem się już tak, przeobraziło na tyle, abyśmy popadali w zachwyt. Nastąpiła jednak w ostatnim czasie odbudowa życia literackiego w Polsce. Odnieśliśmy i odnosimy szereg sukcesów”.

To prawda, że o sukcesy można się spierać. Wiele bowiem zależy od skali ocen, punktów patrzania i oczekiwań. Zmiany na lepsze jednakże nastąpiły. To, że nas jeszcze nie zadowalają, że nie popadamy nad nimi w zachwyt, to dobrze. To szansa dla literatury.

Nie sposób zrelacjonować wszystkiego co mówiono, o co się spierano, co postulowano w referatach i dyskusji. Stąd kilka zaledwie najbardziej zapamiętanych jej wątków.

### KŁÓMY SIĘ O PRZYSZŁOŚĆ

Jeśli wciąż dyskutujemy, jeżeli spieramy się o coś w gronie ludzi młodych, to głównie o przyszłość. Przybywa wciąż pytań o perspektywę w ogóle, o szanse i tempo wyjścia z kryzysu, o możliwości powrotu do pełnej normalności, o... dziesiątki innych spraw, których wspólnym mianownikiem jest prognoza i szanse na życie po kryzysie. Nie jest jeszcze tak zawsze, ani wszędzie. Krajobrazy w kulturze, w tym także i w literaturze, to często, zbyt często — wspomnienia, żale, rozpamiętywanie. Ryszard Wojna apelował, jak zwykle żarliwie, z pasją:

„Nie możemy dłużej pozwolić, aby wspólna przeszłość dzieliła nas. W czasie kiedy schodzimy do naszych narodowych katakumb, inni jadą nad nami ekspresowymi pociągami w przyszłość. Kłómy się więc o przyszłość. Niekiedy zda się, że nie jest ona na nasze sily, ale to nieprawda”.

Siuchając tych słów, przypomniałem sobie artykuł, który czytałem w pociągu, jadąc do Warszawy na konferencję. Jego autor snuł różne możliwe warianty przyszłości świata, w tym także i ten, że konglomerat dynamizmu demograficznego i ekonomicznego sprawi, iż już niedługo strefa rozwoju, awangardy postępu, przeniesie się w rejon Pacyfiku: Japonia, Malesja, Meksyk i Stany Zjednoczone. Tym samym więc „pozostawilibyśmy do starą Europę na marginesie świata”. Gdyby ta wizja się sprawdziła, to gdzie byłibyśmy za dziesięć, za dwadzieścia, pięćdziesiąt lat? Nie należymy do czolówki Europy: Już dziś przychodzi nam czasem przwrócić się pod wieloma względami z Albanii i innymi krajami tzw. trzeciego świata. Za kilka miesięcy minie pięć lat od pamiętnego sierpniowego przełomu. Ale kryzys rozpoczął się wcześniej. Ile? Rok, dwa wcześniej? Bijemy więc, windujemy niechlubny rekord w naszych powojennych dziejach. Dlatego bardzo na czasie i na miejscu pozostawał apel wspomnianego R. Wojny:

„W świecie idzie dziś o zupełnie inne sprawy niż te, o które my się wciąż z sobą wadzimy”.

W sukurs Wojnie wystąpił Wiesław Rogowski, przekonując, iż „dążenie wyprowadzenia Polski z zaulka historii, z obszarów zacofania gospodarczego to również rola i obowiązek kultury, w tym także pisarzy”. Dodajmy: nie tylko partyjnych...

### MECENATY

Mamy dziś w Polsce potrójny mecenat nad kulturą: zachodni, Kościoła i państwa. Ten pierwszy płaci bodaj najlepiej, a na pewno nie byle jak. Ale też wymaga nie byle czego — przede wszystkim antysocjalistycznej treści. Reszta się w zasadzie nie liczy. Zachodnim moco-dawcom nie zależy bynajmniej na tym, abyśmy jako kraj ruszyli wreszcie do przodu w pościgu za coraz szybciej uciekającym światem. Mecenat kościelny zainteresowany jest przede wszystkim, aby kultura wspierała zjawisko tzw. renesansu religijności, wiary, postaw irracjonalnych, filozofii swoistego romantyzmu, mesjanizmu itp. Stanowi przy tym niezłą opokę bytowa i nie tylko. Przyciąga i skupia nie tylko tradycyjnych twórców kręgu tzw. kultury chrześcijańskiej, ale tyłuż neofitów, niedawno

jeszcze religii obojętnej, a nawet wrogich.

Państwo wydaje się być mecenasem najbardziej wspaniałomyślnym. Wspomaga, publikuje, chwali i tych, co to panu Bogu i diabłu... Czy to źle, nagannie? Wszak głosimy otwartość w polityce kulturalnej, tolerancyjność, wieloświatopoglądowość w życiu literackim — przypominają niektórzy. Zgoda. Tak trzymać! — nalegają. Aby był to postulat realny, a jego realizacja nie była tylko manewrem taktycznym, potrzeba, jak to podkreślano wielokrotnie, wzmocnienia ośrodka myśli i twórczości lewicowej. Nie jest to zadanie ani łatwe, ani proste, jak pokazuje praktyka czterdziestu lat.

Możemy bowiem bez większego trudu przewidzieć, że stwarzając zrozumiałe preferencje dla nurtu lewicowego w kulturze, będziemy mieli do czynienia z literaturą kontrowersyjną, która — jak stwierdził Zbigniew Safjan — „wzbudzi być może nawet pewien lęk kierowników życia politycznego, ale w tym kierunku naszych poszukiwań należy dostrzec szansę dla lewicy literackiej”. Ona to deklaruje

potrzebę krytycznych, twórczych poszukiwań, nieodstawiania od rzeczywistości społecznej, zrzucanie drogie łatwych uproszczeń i metodę literackiego ilustrowania pópraw o rzeczywistość, co jest domeną literatury dworskiej. Polityka kulturalna winna wspierać i popierać nurt lewicowy w literaturze polskiej.

### JAK KRAKÓW ZMienił NOWĄ HUTĘ

A skoro o polityce kulturalnej mowa — Zofia Bystrzycka przypomniała, iż bez mała szczytnym się produkcją książek w wielkości 5,3 egzemplarza na jednego, statystycznego Polaka. Zapominamy jednak często, że w globalnych wielkościach obrazujących produkcję książki w Polsce mieści się także blisko 40 mln broszur i 30 mln (a wciąż za mało) egzemplarzy podręczników szkolnych. Od lat mówi się o kryzysie poligrafii, podobnie o papierze, którego w tym roku w zasadzie już nie ma. Stąd dramatyczne apele władz i popochów wśród wydawców. Nabyt często słyszy się przy tym: „nie mamy armat”. No to co? To trzeba je znaleźć. Chyba że zamierzamy poddać się bez walki w batalii o krajobrazy literatury polskiej na dziś i jutro.

Sądze, że biorąc pod uwagę sytuację książki dziś i minorowy ton obieć na przyszłość, możemy za niedługo spotkać się z sytuacją nie tylko utrzymania dotychczasowych wpływów Kościoła w kulturze, ale nawet ich umocnienia. Podobnie rzecz może się mieć z tzw. drugim obiegiem. W przyszłości mogą w nim drukować swoje książki pisarze tworzący w kraju i to nie z pobudek „anty”, ale ze zwyczajnej potrzeby tworzenia i publikowania. Pisarze nie przepadają za tworzeniem do szuflady. Jak długo można czekać na lepsze czasy, jeśli dziś książkę drukuje się trzy, cztery i więcej lat? Są tacy, co w taką ewentualność nie wierzą. Powiadają: kto jest naprawdę z nami, ten się nie sprzeda. Innych to w ogóle nie martwi... Kto ma rację?

Aleksander Minkowski, zastanawiając się w swojej wypowiedzi nad tym, jakie powtarzające się błędy czterdziestolecia zepchnęły część społeczeństwa w strefę mitów, konstatał:

„To nie Nowa Huta, jak się spodziewano, odmieniła mieszczańską, jak powiadano, Kraków, ale stało się odwrotnie... Dlaczego?”

No, właśnie. Dlaczego? A może dlatego, że lewica intelektualna stała w zasadzie zawsze, w całym czterdziestoleciu u boku władzy. Czuli się także współodpowiedzialni za struktury polityczne (często wadliwe), choć nie związana z nimi etatowo, chociaż z małymi szansami na możliwość ich korygowania. Bardzo często „dążyło się w przeszłości, że uwagi, ostrzeżenia intelektualistów o nieprawidłowościach w strukturach, aparat władzy odbierał jako zamach na jego pozycję, na system. A system zaś ułotniano (oczywiście błędnie) z ustrojem. To tak jakby mylić cel z drogą, zadanie z metodą, ...nos z tabakierką! W ten sposób lewicowy, krytyczny intelektualista ogłaszany był wrogiem, przeciwnikiem, elementem, negatywem. I albo szedł na drugą stronę, gdzie już na niego czekało i wypominano: nie trzeba to było od razu przyjąć do nas, albo zapadał w samotności pełnej gorczy. Nie myślał wcale o tzw. emigracji wewnętrznej, stawał się powoli emigrantem, a raczej obcym we własnym kraju. Znikał z krajobrazów literatury

I tak z wolna Kraków zmienił Nową Hute.

### JAKICH SZANS NIE WYKORZYSTANO?

Zapewne do jednych z najlepszych wypowiedzi, jakie można było usłyszeć na drugiej naradzie partyjnych pisarzy, należało wystąpienie autora „Stawki większej niż życie”, „Zanim przemówi”, „Wiosna przychodzi jesienią” i innych, czyli Zbigniewa Safjana. Owo pytanie o szanse, których nie wykorzystano, docieka nie niedowładów naszego myślenia i działania w polityce kulturalnej czterdziestolecia, były jakby mottem tej wypowiedzi. Oto kilka tez referatu.

W pierwszych latach powojennych władza polityczna zdawała sobie sprawę z wieloświatopoglądowości inteligencji polskiej i środowisk

twórczych. Sankcjonowała ten fakt polityka kulturalna, cenzura. Zezwalano na naturalny proces walki ideowej i politycznej w obszarach kultury. Sam akt tworzenia, uczestnictwa w życiu kulturalnym, odbierany był jako stawanie „po naszej stronie”, po stronie nowego. Było to słuszne. I dodajmy do siebie — i możliwe w tamtych specyficznych, a krótkotrwałych warunkach poszukiwania „polskiej drogi”.

Potem?... Potem w latach pięćdziesiątych wiele zmieniło się w polityce i w kulturze, w krajobrazach literatury. A że „krajobrazy” ówczesne były w ogóle mało ciekawe, to i dzień powszedni literatury stawał się trudny, coraz cięższy. Literaturze okresu walki, rewolucyjnej czujności i... wypaczeń przypisano w ramach ówczesnej polityki kulturalnej zadanie zasypywania przepaści pomiędzy rzeczywistością a jej wizjami, pomiędzy deklaracjami a tym, co wówczas było realnym socjalizmem. Budowanie literackich (fikcyjnych) pomostów pomiędzy rzeczywistością idealną a istniejącą było czymś w rodzaju tworzenia rzeczywistości chci-

mej. Tak postępował proces mitologizacji rzeczywistości. Miał on w czterdziestoleciu kilka zwrotów i nawrotów.

W konkluzji błędów i zmarnowanych szans czterdziestolecia Zbigniew Safjan stawiał kilka pytań, w tym m.in. i te:

— Jakimi instrumentami powodują, że kierownictwo polityczne wyrzekło się wiedzy o opinii społecznej, o rzeczywistości, wyrażanej także przez literaturę? Dlaczego z szansy tej tak chętnie zrezygnowało?

— Dlaczego w przeszłości władza chętnie popierała literaturę dworską, apologetyczną niżli zaangażowaną, a więc i krytyczną? Dlaczego tak wiele razy, kolejne ekipy polityków przegrywały w literaturze widzieć jedynie literacką propagandę swoich sukcesów, tych rzeczywistych i domniemych?

Cóż, skutki polityki kulturalnej, działającej poza rzeczywistością społeczną są znane. Nie sprawdziły się w dotychczasowej polityce kulturalnej:

— narzucanie arbitralne teoretycznego modelu kultury, modelu jednowątkowego, ubogiego, nie przystającego do rzeczywistości,

— tzw. polityka środowiskowa, starająca się w istocie wyalienować literatów od społeczeństwa, uczynić z nich grupę na szczególnych prawach, z prawem naczelnym — do samotności, pustki wokół,

— cenzura sezonowa, przy okazji kolejnych odwilży politycznych, cenzura na chybił trafił,

— tłumienie pod płaszczykiem rzekomej integracji konfrontacji ideowej, światopoglądowej i politycznej na obszarach literatury; tworzenie krajobrazów uproszczonych, nierzeczywistych, a więc złudnych, fałszywych.

I ostatnia z tez: poszukiwanie przyczyn uciążenia intelektualnego, regresu myślowego, świądomości w latach siedemdziesiątych i okresie posierpniowym wymaga gruntownej analizy przyczyn słabości lewicy intelektualnej i twórczej. Wymaga wreszcie odpowiedzi na pytanie: jakich szans nie wykorzystano?

### PYTAĆ TRZEBA O WCZORAJ, DZIS I JUTRO

Każda ocena przeszłości wymaga dostatecznie dużego historycznego dystansu. Czterdziście lat literatury PRL to trzy pokolenia pisarskie. Twórcy ci żyją, spierają się, upierają się, ob-stają czasem przy racjach, które historia już zweryfikowała. Ocena przeszłości to także są-mocenna. Dlatego czasami tak trudno „o zgodę na wczoraj”. Jeszcze trudniej „o zgodę na dziś i jutro”. Ale pytać wciąż trzeba. Nade wszystko zaś należy poszukiwać odpowiedzi na te pytania. Odpowiedzi możliwe pełnych, najbardziej prawdziwych.

Na początku czterdziestolecia, podobnie jak dziś, także były fronty ideowe, polityczne na obszarze kultury, literatury. Na wszystkich ich walczoneo zdecydowanie i otwarcie. Współ-cześnie zdumiewa aktywność, determinacja i zaangażowanie twórców nurtu lewicowego. Czy było wówczas łatwiej walczyć niż dziś? Może pod pewnymi względami. Nie powinno to jednak stanowić usprawiedliwienia ani dla współ-czesnej literatury, ani polityki kulturalnej. Czytelnik w naszym kraju oczekuje literatury, która dostarczy mu takich wartości i takich znaków orientacyjnych o otaczającej go rzeczywistości, które będą mu pomocne w jej rozumieniu i percepcji.

Sądze, iż warszawska narada pisarzy partyjnych, nie mogła, z przyczyn oczywistych, podjąć rozstrzygnięć w sprawach wizji przyszłości literatury. Odpowiedź na pytanie o jutro polskiej literatury udzielił życie z wszystkimi jego politycznymi, ekonomicznymi i społecznymi u-warunkowaniami. Ambicją i zadaniem twórców, lewicy intelektualnej w szczególności, jest to, aby nie zdawać się jedynie na ślepy los, na: „będzie, jak będzie”, albo: „jakoś to będzie”. Nie można też, jak to słusznie podkreślił Witold Nawrocki, kierownik Wydziału Kultury KC: „zgodzić się na ustanowienie rozdroża, jako alternatywy przyszłości, a także na stan dzisiejszy. To oznaczaloby zamieranie literatury w naszym kraju”.

Przecież zależy nam na czymś zupełnie innym.

## W ramach konsultacji

# Tylko i jedynie postęp

Toczy się dyskusja przed XIX Plenum KC PZPR. Jest to dyskusja o położeniu, roli i powinności inteligencji polskiej w procesie budownictwa socjalizmu. Ale, czy jest to tylko dyskusja o inteligencji?

Byłoby źle, gdy w tej dyskusji ograniczylibyśmy się wyłącznie do rozważań o inteligencji. Problem jest bowiem dość skomplikowany i samo pojęcie inteligencja płynne. Żyjemy bowiem w czasie, kiedy zachodzą na wielką skalę procesy społeczne, kiedy zaciera się granice między klasami i warstwami. Proletariacki i chłopski rodowód inteligencji nie bierze się przecież tylko stąd, że dzieci robotników i chłopów kończą wyższe studia i stają się inteligentami pracującymi. Wielu robotników i chłopów, nie odrywając się od swojej pracy, podniosło kwalifikacje i zmieniło status społeczny. Z robotników i chłopów stali się inteligentami. A proces ten nadal trwa. Zdarza się przecież i tak, że inteligenci zmieniają swój status społeczny i stają się robotnikami lub rolnikami.

W dyskusjach przed XIX Plenum KC PZPR zwraca się też uwagę, że problem inteligencji jest typowo polskim problemem, że nowoczesne społeczeństwa nie znają takiego pojęcia, a ludzie z wyższym wykształceniem plasują się tam w obrębie podstawowych klas społecznych. My natomiast — skoro już mamy wyodrębnioną, ale podzieloną i zróżnicowaną warstwę społeczną zwaną inteligencją — to musimy przede wszystkim patrzeć, jakiej klasy ona służy, jakiej klasy wyraża interesy. W społeczeństwie socjalistycznym inteligencja musi wyrażać interesy proletariatu i pracującego chłopstwa.

Czy polska inteligencja w połowie lat osiemdziesiątych XX wieku w należyty sposób wyraża interesy klasy robotniczej i pracującego chłopstwa? Nie, Jerzy Adamski w bardzo ciekawej książce „Dno oka” pisze między innymi, że w Polsce lat siedemdziesiątych XX wieku „doszło do deprecjacji pracy jako społecznego fundamentu moralności i sprawiedliwości. W skali społecznej zwyciężyła drobniomieszczań-ska, a nie proletariacka, hierarchia wartości”. Inteligencja nasza — w znacznej mierze wychowana już w Polsce Ludowej, wywodząca się z proletariatu i chłopstwa — oderwała się od swoich społecznych korzeni i przyjęła wzorce i ideologię drobniomieszczańską. I wcale nie należy uważać, że proces ten zaczął się i skończył w latach siedemdziesiątych naszego stulecia, zaczął się on znacznie wcześniej i trwa — niestety — nadal. W tym właśnie upatrywałbym jeden z powodów sfrustrowania polskiej inteligencji i jej podatność na obce wpływy.

W ogóle, jeśli mówimy o sfrustrowaniu inteligencji, to źródła tego sfrustrowania upatrywałbym w nadmiernie rozbudzonych aspiracjach i skąpych warunkach dla realizacji tych aspiracji.

Aspiracje te bowiem biorą z roli i modelu inteligencji ukształtowanego w XIX wieku, kiedy to „inteligencja polska była „solą ziemi”, „stumieniem narodu” i spełniała postannictwo społeczne i narodowe. Jej rola w obronie polskości i odyskaniu niepodległości jest niekłamana i niepodważalna. To fakty. Ale dziś inne czasy i inne zadania. A aspiracje jakby z poprzedniej epoki. Rozdzwitek między tymi aspiracjami a możliwościami ich realizacji rodzi i musi rodzić frustracje.

Nie sądze, aby było coś złego w tym, że inteligencja chce ponosić współodpowiedzialność za losy państwa i narodu, za teraźniejszość i przyszłość Polski. Prawidłowy rozwój demokracji socjalistycznej powinien dać możliwość spełnienia tych aspiracji. Gorzej jednak, że znaczna część inteligencji czuje jakby swoją zbędność... Cóż z tego — powiedział pewien inżynier — że my mamy patenty, że robimy wynalazki, jeśli one leżą w szafach i nie są wprowadzane do produkcji... Cóż z tego — można też myśleć rozszerzyć — że specjaliści robią różne ekspertyzy, gdy nie zawsze się z nich korzysta. To pogłębia frustrację. Współ-odpowiedzialność ponosi się bowiem nie w deklaracjach, a w działaniu, w pracy.

Innym powodem frustracji inteligencji jest brak poszanowania dla zasady, że od każdego wymaga się według jego zdolności, a każdemu płaci się według jego pracy. Przy czym realizacja tej zasady socjalizmu wymaga, aby pracę złożoną — jako nośnik postępu — cenił wyżej od pracy prostej. U nas często jest odwrotnie, a do drzwi puka XXI wiek, co jest synonimem wysokiej techniki i organizacji tak produkcji, jak i życia społecznego. Nie można będzie otworzyć tych drzwi i wpuścić XXI wieku bez wielkiego wysiłku całej polskiej inteligencji, wysiłku złączonego z wysiłkiem robotnika i chłopca. Pełne zrealizowanie zasady, że każdemu płaci się wedle wykonywanej pracy wymaga czasu i określonych warunków finansowych. Nie można będzie tego zrobić już jutro, ale zrobić trzeba, bo inaczej otworzymy drzwi dla XXI wieku i zobaczymy za nimi wielką pustkę. A to oznaczałoby całkowitą degradację naszego narodu. Mamy przecież świadomość zacofania naszej gospodarki w wielu dziedzinach, mamy świadomość opóźnień i tego, że tylko i jedynie postęp może nas uratować.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

**A** tak to jest — patrząc z perspektywy 40-lecia — że kwestia inteligencji co jakiś czas staje w centrum zainteresowania opinii społecznej, rodzi spory, wywołuje namietność; później sprawa przycicha i inteligencja pozostaje na tym swoim — co tu dużo mówić — nieeksploatowanym miejscu w społecznej hierarchii.

„Inteligent jest to dzisiaj człowiek, któremu powodzi się kiepsko...” — taką konstatacją znaleźć można u Wiesława Jażdżyńskiego w „Kłopotach z inteligencją” i trudno się z tym nie zgodzić.

Wracając do sporów — zaobserwować tu można pewną prawidłowość. Wybuchają one, jak dotąd, w warunkach narastających kryzysów społecznych, gdy ekipy kierownicze musiały ukrywać swoje zagrożone rozwojem wydarzeń pozycje, sięgając do starej i wypróbowanej metody przeciwstawiania sobie różnych grup społecznych. Pojawiały się, bywało, argumenty „gazurki”, jawił się obraz inteligenta będącego na utrzymaniu podstawowych klas społecznych. Tak więc zainteresowanie inteligencją brało się z przesłanek negatywnych, nie sprzyjających harmonijnemu rozwojowi społeczeństwa.

Kolejne ożywienie w tej kwestii nastąpiło i obecnie. Różnica jednakowoż polega na tym, iż wyrasta ono z przyczyn pozytywnych, wynika z aktualnej polityki społecznej, a konkretyzując — bierze się z zapowiedzi odbycia plenarnego posiedzenia Komitetu Centralnego PZPR, poświęconego właśnie inteligencji.

Jak to bywało dotąd ze stosunkiem do inteligencji bardzo trafnie przedstawiła w artykule „Rozpoznanie”, zamieszczonym w „Trybunie Ludu” z dnia 14 lutego 1985 roku, Anna Pawłowska. Pisze ona:

„...inteligencja jako swoista reszta społeczna była w ostatnich latach wielokrotnie „brana na cenzurowane” — z różnych stron i wedle różnych kryteriów. Zachodziło przy tym często daleko idące pomieszczenie: a to patrzono na całą inteligencję przez wystrząsający pryzmat jednej jej grupy np. ludzi sztuki, a to neglowano rolę inteligencji do rangi darmożjadów, którzy nie wytwarzają dochodu narodowego, czerpią zeń bezprawnie, lub wyznoszą ją na piedestał „sumienia narodu”, a to przypisywano jej funkcje diaboliczne w konfliktach społecznych lub zarzucono bierność lub apatię...”

Nie jest to niestety czas przeszły, bo i dzisiaj w różnych kręgach i środowiskach społecznych zdarzają się pytania i sądy inteligencji dotyczące, a nie zawsze zgodne z rzeczywistością.

## JAKI RODOWÓD?

Postawienie takiego pytania jest o tyle ważne, że wszędzie tam, gdzie zaczynały się kłopoty z inteligencją, szukając przyczyn jej odstania od pożądaných postaw i zachowań, sięgano do rodowodu, konstatawano, że klasowo obcy i wszystko było już prawie jasne.

I rzeczywiście, w dniach narodzin ludowej władzy, teza o szlacheckim rodowodzie polskiej inteligencji miała pełne pokrycie. Okres Drugiej Rzeczypospolitej niewiele dzieciom robotników i chłopów stwarzał szansę awansu społecznego. Inteligencją przechodziła z pokolenia na pokolenie, a zaczynała się w warunkach poprzedniego stulecia, gdzie po urzędy i zawody za inteligentne uznane sięgali szlacheckie dzieci, których ojcowie z różnych powodów potracili swoje majątki — jedni pijąc i hulając, drudzy uczestnicząc w zbrojnych zrywach narodowych.

Tak uformowana inteligencja, często obca klasowo robotnikom i chłopom, bo związana swym położeniem materialnym z rządzącymi klasami posiadaczy, dała jednak w godzinach narodowej próby dowody głębokiego patriotyzmu. To przedstawiciele tej grupy społecznej zapoczątkowali podziemną działalność niepodległościową, to oni w pierwszej kolejności zapelnili więzienia i obozy koncentracyjne, bo wyniszczenie polskiej inteligencji uznali wodzowie Trzeciej Rzeczy jako punkt pierwszy swego programu wyniszczenia narodu polskiego.

Sprawdzili się słowa uczonego — socjalisty Bolesława Limanowskiego, że „...inteligencja jako grupa społeczna przekazuje świadomość narodową, jest strażniczką kultury i cywilizacji, jej widnokrąg sięga daleko w przeszłość, ale i dalej w przyszłość. Dlatego każdy despotyzm podbijający kolejne narody zaczyna okupację od likwidowania warstw inteligentnych...”

Ci, którzy przetrwali, znaleźli się wobec faktu nowej politycznej sytuacji w kraju. Część stanęła ofiarne do odbudowy i do tworzenia Ludowego Państwa, byli i tacy, którzy włączyli się, aby hamować przebieg procesu przemian: inni jeszcze, czekali. Na odwrócenie rewolucyjnych dokonani, na zwycięstwo Mikołajczyka, na wjazd Andersa na białym koniu, na trzecią światową wreszcie.

Ale to wszystko było ponad czterdzieści lat temu. Dzisiaj o tamtej „przedwojennej” inteligencji powiedzieć można trawestując Wańkowicza, że ludzi do niej należących „...odpowiada raz po raz na cmentarz coraz szerszą plebską garstką w zrużniętych okryciach...”

I kończąc tę część swoich rozważań o inteligencji, która rodowód swój wywodziła z okresu rozbiorów raz jeszcze wrócić chciałam do myśli Bolesława Limanowskiego, który tak oto formułował obowiązki tejże inteligencji:

- Nie gonić za oklaskami tłumy i przychylnością władzy;
- nie zamieniać wiedzy z zdolności w źródła zysków;
- mówić szczerze i rzetelnie to, co uważa się za prawdziwe i użyteczne dla narodu;
- walczyć z fałszem, z przemocą, z zwyrodnieniem;
- wzmacniać w narodzie ufność w siły i wiarę w przyszłość”.

Rewolucja ludowa otworzyła szeroko bramy szkół i uczelni przed młodzieżą robotniczą i chłopką. W rezultacie tego niespotykanego w naszych dziejach procesu edukacji narodowej powstała sytuacja, w której dzisiejszy inteligent to w ogromnej większości inteligent z pierwszego lub drugiego pokolenia.

Podobnie przedstawia się sprawa struktury społecznej rządzącej partii klasy robotniczej. Ponad 40 proc. jej członków stanowi trzon

robotniczy, ale identycznym prawie udziałem legitymuje się inteligencja. Jedni uważają to za rzecz normalną, inni rozdzierają szaty. Gdyby tak jednak pokusił się o sporządzenie ewidencji nietypowej — obliczenie mianowicie, jaki procent w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej stanowią robotnicy i dzieci robotników — wyniki byłyby bardzo pouczające.

Z tych wszystkich faktów rodzi się bardzo zasadnicze pytanie o miejsce inteligencji, o jej rolę w społeczeństwie.

## INTELEGENCJA A KLASA ROBOTNICZA

Inteligencję w Polsce Ludowej widzieć trzeba jako produkt — czy jak kto woli — wyraz awansu społecznej klasy robotniczej i klasy chłopskiej, jako jeden z rezultatów rewolucyjnych przeobrażeń społecznych. Nie jest to próba lokowania inteligencji na pozycji podstawowej i przodującej grupy społecznej. Ten status — klasy podstawowej i przodującej posiada, jak wiadomo, klasa robotnicza. Bierze się ten status z faktu, iż tylko ona mogła wyzwolić siły, które dokonały socjalistycznej rewolucji i ona jest gwarantem procesów przebudowy stosunków społecznych. Z jej też przodującej roli bierze się możliwość delegowania części swych najlepszych po naukę, a co za tym idzie po szersze perspektywy — z myślą, że spożytkują je oni dla dobra klasy, z której wyszli.

Jeżeli tak spojrzymy na istotę i rolę inteligencji, to nikomu nie przyjdzie do głowy przeciwstawiać ją klasie robotniczej, a i u samej inteligencji znikną kompleksy wynikające z jej nie najlepszych warunków egzystencji.

ZENON JANUSZ MICHALSKI

# Jak to jest z tą inteligencją?

I nie jest to „postszlachecka” chęć życia ponad stan, nie jest to tendencja do nieliczenia się z kryzysową sytuacją w kraju. Jest to tylko świadomość, że człowiek z wyższym wykształceniem nie powinien zarabiać znacznie poniżej średniej krajowej.

Byłoby jednak ogromnym uproszczeniem sprowadzać całą kwestię inteligencją do sprawy materialnego usytuowania. Równie ważne są problemy związane z miejscem inteligencji w budującym socjalizm społeczeństwie, miejscem związanym z rolą, jaką w procesie tego budownictwa inteligencja spełnia.

## INTELEGENCJA NIE CHCE BAWIĆ SIĘ W KOPCIUSZKA...

— śpiewał tak ładnych kilka lat temu Wojciech Młynarski i ta jego piosenka nic do dzisiaj ze swojej aktualności nie utraciła.

Jak wiadomo, aby stać się inteligentem, trzeba się uczyć. I tak to zawsze bywało i jest dzisiaj, że jedni swą edukację kończą na szkole podstawowej, a inni uczą się dalej. Ale uczenie się, jak każda dziedzina ludzkiego działania, potrzebuje motywacji.

— „Disce puer Latine, ego te fatiam mości-panie...” — mawiał przed wiekami jeden z naszych zasłużonych monarchów. Ucz się — przekonywano w późniejszych czasach, zgodnie zresztą z prawdą — a będzie ci lepiej. I rzeczywiście! Jeżeli robotniczemu czy chłopskiemu dziecku udało się przebić (a niewiele się udało) przez klasowe zapyry na drodze do wiedzy, na ogół poprawiali w sposób wyraźny swoje warunki bytowe. Dzisiaj tego rodzaju hasła i pouczenia padać mogą ze scen satyrycznych teatryków, budząc uśmiech wśród drobniomieszczańskich publiczności, która to na ogół nie ma szkoły, ale za to ma na drodze bilety, nawet na te od koników. Dzisiaj inteligent, który skończył politechnikę jest wobec kolegi, absolwenta zasadniczej szkoły zawodowej o siedem lat do tyłu w urzędowaniu się w życiu i na dodatek pensję dostanie — żeby nie przesadzić — dwa lub trzy razy mniejszą. Buntuje się tedy niejedni i albo rusza w prywatne sektory, umożliwiające krociowe nieraz zarobki — robi się nieraz wtedy rwetes, rodzą się tu i ówdzie antyinteligentne ciągotki — patrzcie co za człowiek, państwo dało mu wykształcenie, a on...? — albo ten i ów po prostu przechodzi na stanowisko robotnicze i zarabia (nie jest to przykład wyдумany) zamiast dwunastu, dwadzieścia dwa tysiące złotych.

Tu nasuwa się moral pierwszy. Tak! mianowicie, że inteligent ma prawo oczekiwać od swojej władzy, za którą stoi klasa panująca, z której wyrósł, czy dzięki której wyrósł, zapewnienia mu godziwego miejsca w społecznych usytuowaniach.

## CZY RZECZYWIŚCIE „DARMOZJADY”

Zdarzało się w przeszłości na rozmaitych zebraniach w zakładach pracy, a zdarza się i dzisiaj tam, gdzie zdarzają się zebrania, że w sytuacjach, gdy jakieś grupy inteligentnie służące czy niesłużące (bo różnie bywało) próbowały „rozrabiać”, uczestnicy tych zebrań mówili: — jak to? — to my na nich pracujemy, my wytwarzamy dochód narodowy, z naszej

pracy biorą się ich pensje, a oni...? No cóż... Jedyną grupą w naszym kraju, na którą pracuje i którą utrzymuje społeczeństwo jest marżines społeczny. Nie ma w tym stwierdzeniu żadnej przesady. Nie udało się dotąd stworzyć skutecznych środków poskromienia tegoż marżinesu, a on sam w taki czy inny sposób korzysta ze zdobyczy socjalnych ludowego państwa. Natomiast wszyscy inni pracują dla społeczeństwa i dla siebie. Robotnik produkuje dobra materialne, ale maszyny skonstruował i ustawił procesy produkcyjne inteligenci, a także inteligenci-nauczyciele przygotowali tegoż robotnika do zawodu. Jest to po prostu podział pracy i nie ma w nim ani lepszych, ani gorszych. Konsekwencją tego podziału pracy jest fakt, że robotnicy część wytworzonego dochodu narodowego przeznaczają na edukowanie tych, którzy ich lub ich dzieci uczyć będą, czy też będą tworzyć wartości duchowe dla życia i pracy niezbędne, do Norwida się choćby odwołując, który mówił, że „sztuka po to jest, by zachwycała do pracy...”

## KTO JEST INTELIGENTEM?

W cytowanym tu już artykule, pracownik obsługi społecznej Anna Pawłowska (sam tego chciał Grzegorz Dyndało...) tak oto charakteryzuje inteligencję:

„Z grubsza dostrzec można — stwierdzenie — trzy grupy inteligencji: przemysłowej, administracyjnej i obsługi społecznej. Różnią się one, moim zdaniem, tak bardzo, że należy je traktować oddzielnie...”

I dalej pisze: „...różnią się one, jak sądzę swymi rolami społecznymi i swoim usytuowaniem wobec

podstawowych klas robotników i chłopów...”

Wątpliwość pierwsza — to sam podział, który jako żywo przywołuje na myśl starą rzymską maksymę „divide et impera”. Tak podzieloną inteligencję może łatwiej by było sprowadzić do roli wyłącznie usługowej, tyle że klóci się to ze zdrowym rozsądkiem i z interesem społecznym.

Wątpliwość druga bierze się z faktu, że podział zaprezentowany powyżej stawia znak równości między pojęciem inteligent a pracownik umysłowy. Boże mój, znam przynajmniej kilkunastu urzędników nie zastępujących nawet na miano półinteligenta, znam także pracowników fizycznych spełniających wszystkie inteligencje wymagania.

Do jakiej grupy społecznej — na przykład — zakwalifikujemy absolwenta wyższej uczelni, pracującego na stanowisku robotniczym? A może są to — choć daleka to jeszcze droga — pierwsze przesłanki stopniowego zacierania się różnic klasowych, zgodnie z tezą „Manifestu Komunistycznego”. Głoszone tam, że gdy proletariata „poprzez rewolucję stanie się klasą panującą i jako klasa panująca znosi przemocą dawne stosunki produkcji, to wraz z tymi stosunkami produkcji znosi warunki istnienia przeciwieństwa klasowych, znosi w ogóle klas i tym samym swoje własne panowanie jako klas...”

Wątpliwość trzecia. Do grupy nazywanej przez Annę Pawłowską „grupą obsługi społecznej” zalicza autorka „ludzi, których rola polega na praktycznym udostępnianiu współobywatelom ich podstawowych praw: prawa do oświaty, do opieki zdrowotnej, do sztuki, do ochrony, do informacji itp...”

Coś tu chyba nie tak! Przecież prawo do oświaty, opieki zdrowotnej, sztuki itp. zapewnia obywatelom z mandatu klasy rządzącej robotnicze państwo budując szkoły, otwierając żłobki, zakładając teatry — wspólnym trudem wszystkich klas i warstw, natomiast inteligencja „pozaadministracyjno-produkcyjną” funkcję obsługi społecznej winna traktować jako jedno z dwóch ważnych zadań, bowiem tworzyć winna także, a może w pewnych okresach przede wszystkim, dobra duchowe, wzbogacając kulturę rozumianą — tu posłużę się jej określeniem zawartym w Deklaracji z Meksyku na temat polityk kulturalnych „Mondiacal 82” — jako „zbioru cech społecznych, duchowych i materialnych, intelektualnych i uczuciowych, które charakteryzują społeczeństwo lub grupę społeczną”. I pomniejszać tej funkcji rozwoju kultury nie należy, ponieważ — raz jeszcze wracając do przytoczonej tu Deklaracji — „to przez nią człowiek wypowiada się, ma świadomość siebie, uznaje się za nie dokończony twór, kwestionuje swoje własne dokonania, poszukuje niestrudzenie nowych znaczeń i tworzy dzieła, które go przestają...”

Ograniczenie roli inteligencji twórczej do produkcji usługowych jest więc nieporozumieniem, bowiem aby cymś komuś służyć, trzeba to coś najpierw stworzyć — bądź stworzone wcześniej wydobyć z przeszłości na użytek czasu teraźniejszego.

## JAKIE MIEJSCE W STRUKTURZE SPOŁECZNEJ?

Pisze cytowana tu już wielokrotnie Anna Pawłowska o robotczym usytuowaniu poszczególnych grup inteligencji wobec podstawowych klas robotników i chłopów.

I tu rodzi się wątpliwość czwarta — co to znaczy podstawowe klasy robotników i chłopów?

Klasy podstawowe w określonej formacji społeczno-ekonomicznej to takie klasy, które nadają ton rozwojowi społeczeństwu i których sytuacja bytowa świadczy o charakterze stosunków produkcji. W kapitalizmie — jak wiadomo — klasy podstawowe to burżuazja i proletariata. Ale w kraju okresu przejściowego od kapitalizmu do socjalizmu — a na takim etapie przecież się znajdujemy — podstawowe grupy społeczne to klasa robotnicza i chyba jednak i warstwa pracującej inteligencji. Jest tak dlatego, bo to przecież one stanowią i stanowią siłę napędową socjalistycznych przemian społecznych w Polsce, to one konstruowały dzieło nacjonalizacji, industrializacji i innych zmieniających oblicze kraju reform społecznych.

Pisze Witold Nawrocki — cytując z Wiesława Jażdżyńskiego „Kłopotów z inteligencją” — że „jeśli już w nas funkcjonować musi (pojęcie inteligencji — uwaga moja ZJM) to odniesione do określonych zawodów związanych z konkretną pracą na rzecz powstawania niezbędnych dóbr materialnych czy kulturalnych. Pracą rzetelną, niejako przykładową dla innych, a nie smutną w rezultacie zabawą w misjonarzy, przewodników prowadzących naród za rączkę. Albo zabawą w dawnych jaśniepanów...”

Inteligencji połowy lat osiemdziesiątych już chyba nie w głównej zabawie w misjonarzy i przewodników, a więc w próby wyróżniania się, ale skoro zaleca się tejże inteligencji „Pracę rzetelną, niejako przykładową dla innych”, to przecież sugeruje się jej coś więcej niż zwykły udział w procesie pracy...

A zabawa w „jaśniepanów” też już przestała być cechą rozpoznawczą polskiej inteligencji. Dzisiaj jaśniepańskiego sposobu bycia szukać trzeba gdzie indziej, przede wszystkim w dosyć bujnie ostatnio rozwijającej się klasie drobniomieszczaństwa i wśród części bogatego chłopstwa.

Raz jeszcze odwołam się do Wiesława Jażdżyńskiego, podaje za nim, że „nie tak daleko od Łodzi żenił się młody gospodarz, który... wydaje przyjęcie na czterysta osób. Nie wie dworzec co prawda, ale w remizie strażackiej, lecz wynajmuje kapelę za sto tysięcy złotych, kucharkę, specjalnego masarza, kelnerów, kilkanaście taksówek dla pomieszczenia orszaku ślubnego, specjalnego fotografa, a także filmowca z kamerą. Koszt przekracza półtora miliona złotych. Z tym jednak, że to tylko wesela pana młodego, młoda odpowie taką uroczystością dla swojej wsi i z pewnością nie da się zakasować. Jednym słowem — zastaw się — a postaw się!”. Komentarz zbędny.

## JAKIE WIĘC WNIOSKI?

Po pierwsze — warto sobie uświadomić, że inteligencja to naturalny produkt rozwoju społecznego, że to wytwór, a jednocześnie istotna siła, sprawczą procesów cywilizacyjnych, grupa ani lepsza, ani gorsza od pozostałych klas i warstw w społeczeństwie budującym socjalizm i w społeczeństwie rozwiniętym socjalizmem. I nie ma żadnych powodów, aby w przypadku stawiania się małych, chociaż hałaśliwych grup inteligentnych — ze środowisk twórczych — najczęściej, przeciwko rzeczywistym interesom społecznym — obarczać tym całą inteligencję.

Jest ona niejednorodna praktycznie, jak i niejednorodnie praktycznie są pozostałe klasy i warstwy. Jeżeli pracownik fizyczny Jan Kowalski (wszystkich Janów Kowalskich za przykładowe użycie tego nazwiska przepraszam) powie w kolejkę po mięso, czy przy jakiejś innej okazji, słów niecenzuralnych używając, co sądzi o tej czy innej władzy, nikomu nie przyjdzie do głowy — i słusznie — obciążać za to klasy robotniczej. Jeżeli jednak Jan Kowalski, pisarz, aktor czy filmowiec powie to samo, różnych tylko słów dobierając — robi się awantura — podejrzana staje się inteligencja — w najlepszym przypadku tylko twórcza.

Może by więc jednak w takich przypadkach bez niepotrzebnych emocji?

A grający swoje życiowe role sensatów i zjadale tępacy „kolaborantów” poniekąd aktywny czy wręcz zabawny w swoim rozhisteryzowaniu grupki tych czy innych twórców niechże dalej pracują sobie na pełną kompromitację. Nie oni stanowią bowiem o inteligentkim losie i inteligentkim statusie i nie z ich zachowań formować trzeba oceny polskiej inteligencji.

Po drugie — miejsce inteligencji zawsze było związane z pozycją i interesami klasy panującej. W Polsce kapitalistycznej inteligencja w przeważającej większości wiązała swoje losy z burżuazją i z burżuazyjnym państwem, w Polsce Ludowej swoje aspiracje i swój program wiązała z klasą robotniczą.

Nie świadczy to o niestałości i „interesowności” inteligencji. W obu przypadkach mamy do czynienia z inną inteligencją, jako że każda klasa panująca formuje inteligencję z punktu widzenia własnych klasowych celów.

Po trzecie — inteligencja rozumiana jako jednostka twórczych i usługowych funkcji wymaga odpowiedniego statusu społecznego i co za tym idzie odpowiedniego zabezpieczenia materialnego. Kiedyś panująca klasa burżuazyjna sytuowała względnie wysoko nie liczną zresztą inteligencję kosztem wysyskiwanych robotników i chłopów. Dzisiaj panująca klasa robotnicza może tworzyć godziwe warunki bytowe znacznie liczniejszej inteligencji kosztem własnym. Na tym także polega wyższość obecnego systemu nad jego poprzednikiem.

I uwaga cały wywód kończąca: Kwestia inteligencja nie zawiera w sobie, w naszych warunkach społecznych trudnych do usunięcia — żeby nie powiedzieć antagonicznych. Wymaga po prostu zgodnych z logiką rozwoju społecznego działań. A szkoda jej najbardziej emocje, których jak dotąd niestety nie brakowało.

## Dokończenie ze strony 1

przewczesne aspiracje Komitetu Wykonawczego czy też Rady OPZZ. Jest ono wynikiem tysięcy listów, które do nas nadeszły, niezadko od zrozpaczonych ludzi, szczególnie mam na myśli weteranów pracy. Powstało w oparciu o tysiące rozmów prowadzonych przez kierownictwo OPZZ, poszczególne federacje w zakładach pracy.

Dokładnie zapoznaliśmy się ze wstępnym stanowiskiem rządu. Sądymy, że jest to właściwe wyjście z sytuacji. Pewną nadzieję na przyszłość daje zapowiedź dyscyplinowania gospodarki. Nie można przecież regulować wszystkich niedomagań cenami.

Ja z uporem maniaka twierdząc, że do najbardziej zaniedbanych dziedzin należy gospodarka materiałowa i surowcowa. Postęp tech-

z ich potrzebami. Nasze stanowisko wcale nie zostało wypracowane w oparciu o jakieś

prawa była bardziej zauważalna. Na razie za dużo jest nieudolności, konkatorstwa. Brak niestety konkretnego działania.

**M. M.:** — Czy zamierzacie badać minimum socjalne, koszty podstawowych dóbr, o którym tak wiele mówiono się po Sierpniu?

**A. M.:** — Jednym z zasadniczych celów związków zawodowych jest sprawa najpierw utrzymania, a następnie doprowadzenia do stopniowej poprawy obecnego poziomu życia ludzi pracy. O ile do tego mamy podejść poważnie, to wówczas musimy zacząć od podstaw, to znaczy od stwierdzenia, co to są potrzeby obywateli. Co powinno się znajdować w koszyku, o którym kiedyś tak dużo się mówiło. Ile trzeba każdemu obywatelowi zapewnić jedzenia, ubrania i innych dóbr, bez których mieszkańcy Europy nie może się obejść.

przy jakiejś spółdzielni, a nikt nie chce ich przyjąć. Nie mają żadnych perspektyw. Trzeba tę perspektywę pokazać tym bardziej, że społeczeństwo chce świadczyć na budowę swoje własne pieniądze.

Koncepcja, która obowiązuje dzisiaj jest koncepcją na działo. Trzeba działać energicznie, bo przecież wyż, demograficzny jest już w przedszkolu, a rozwiązanie problemu mieszkaniowego wymaga lat. Byłem w Hiszpanii jeszcze jako hutnik. Poprosiłem o pokazanie mi placu budowy. Domy stawia się tam tylko z cegły, pięknej, kolorowej, barwionej na sześć kolorów. Plac jest wykupiony przez firmę prywatną. Ma ona szansę zarobić, jeśli w ciągu 9 miesięcy odda klucze lokatorom. W ciągu 12 miesięcy jest bez strat. Powyżej roku plałtuje. Gdzie to się robi? W Europie. Z czego? Z cegły. Jakie mieszkania? Standardowe.

My proponujemy, aby u nas budowało państwo przynajmniej 50 proc. mieszkań — nie spółdzielczość, tylko państwo i odpowiedzialność wzięło na siebie. Mieszkania muszą być tanie, o przeciętnym standardzie, żeby mogli za nie zapłacić młodzi ludzie albo swoim udziałem w budowie albo pieniędzmi. Chodzi również o to, aby mieszkania mogły być wykupowane przez firmy, a następnie, na raty, przekazywane pracownikom. Jesteśmy umówieni z wicepremierem Messnerem na rozmowę o naszym projekcie. Ma powstać mały zespół o charakterze decyzyjnym, a nie roboczym. Zespół rządowo-związkowy na bardzo wysokim szczeblu. Zobaczymy co z tego wyniknie.

**M. M.:** — Związkowcy często myślą o wprowadzeniu nowych świadczeń socjalnych. Ostatnio głośna stała się sprawa dodatków za pracę w warunkach szkodliwych?

**A. M.:** — Te dodatki mnie osobiście trochę urażają, ponieważ są one rekompensatą za złe warunki pracy. Związki zawodowe powinny być zainteresowane ich poprawianiem. Dodatki trzeba traktować jako zło konieczne.

Zastanówmy się przy okazji — co to jest dodatek za pracę w warunkach szkodliwych. Czy półtora, dwa złote za godzinę można traktować jako rekompensatę utraty zdrowia. Wystąpiłoby w sprawie zwiększenia tych dodatków tak, aby kwota była odczuwalna i dla pracownika, i dla zakładu. Przedsiębiorstwo musi wiedzieć, że bardziej oplać się poprawić warunki niż płacić.

W Ministerstwie Placy, Pracy i Spraw Socjalnych pokutuje dziwne przekonanie, że prawdopodobnie w Polsce świadczeń socjalnych jest za dużo. W związku z tym pracownicy ludzie z tego ministerstwa zaczęli głowkować, co by tu i komu zabrać. Zabiera się zawsze najsłabszym i możliwie najwięcej. Dochodzi do takich sytuacji, że tramwajarzom chce się zabrać nagrodę roczną, którą oni wywalczyli sobie w latach dwudziestych. Próbuje się zabrać inne świadczenia różnym grupom pracowników. Nie możemy do tego dopuścić. Złożyliśmy odpowiedni protest w tej sprawie.

Trzeba skończyć z mitem państwa opiekuńczego. Znaczenie więcej na świadczenia socjalne wydają Niemcy z NRD i Czechosłowacja. W tej sytuacji uważamy, że wobec trudnych warunków życia w kraju odbieranie jakichkolwiek świadczeń jest nie na czasie. Jest to materia delikatna i nie powinna być ruszana, bo może spowodować kłopoty w wielu branżach.

**M. M.:** — W ostatnim oświadczeniu OPZZ stwierdziliście, że najniższa emerytura powinna wynosić 7 tys. złotych. Czy to nie za mało jak na obecne ceny?

**A. M.:** — Nie możemy mieć najniższej emerytury większej jak 7 tys., kiedy najniższa płaca wynosi 5.400. Nie doprowadzamy do absurdów. Przecież to, że nie ma u nas rak do pracy nie świadczy o tym, że nie ma ludzi. Praca stała się jednak tak mało opłacalna, że kto tylko może, ma zdrowe ręce i nogi chwycił się wszystkiego, aby tylko nie pracować w państwowej firmie. Tutaj czekamy na energiczne rozwiązania w duchu reformy gospodarczej. Tylko wtedy wyjdziemy z kryzysu, gdy będziemy bardzo wysoko oplać bardzo wydajnych pracowników. To powinni być ludzie, którym rzeczywiście powodzi się dobrze.

**M. M.:** — Jeszcze jedno pytanie na zakończenie. Czy nie obawiacie się, że OPZZ może spotkać to samo nieszczęście, które spotkało CRZZ — to znaczy oderwanie się od zakładów?

**A. M.:** — Kierownictwo OPZZ pracuje 2 dni w tygodniu w Warszawie — pozostałe w terenie. Dzisiaj jeszcze jestem w Łodzi, jutro już jadę do Gliwic. Kierownictwo OPZZ składa się z związkowców, którzy potrafili świetnie nawiązywać kontakty w zakładach, bo stamtąd pochodzą. Nie ukrywam, że kontakty z ministrami nawiązujemy w sposób niezwykle trudny, a musimy ponieważ tego wymaga racja stanu. Nie możemy się gniewać, tylko musimy wspólnie opracowywać najlepsze rozwiązania, najmniej uciążliwe dla społeczeństwa a najbardziej dobroczynne dla Ojczyzny. Tylko, po to, by uzgadniać ważne kwestie dla ludzi pracy — z konieczności siedzimy w Warszawie.

Rozmawiał:  
**MAREK MAMOS**

# Wandale

Z beznamiętnymi zniszczeniami spotykamy się na każdym kroku, w windzie, tramwaju, pociągu. Podrapane ściany, pocięte miękkie wyscielane siedzenia, zdjęte lustra, wykręcone żarówki, zdemastowane budki, aparaty telefoniczne, wiaty na przystankach — wszystko to, co ma służyć wygodzie publicznej. Dlaczego? Na kim się tak zajadłe mścimy?

Mały chłopak ostrym gwoździem wydrapuje wiadome hasło. Obok tatuś spokojnie pali papierosa. Potem rzuci niedopałek na chodnik, podłogę windy, poczekalni, rozdepcze go nogą, weźmie dzieciaka za rękę i pójdą dalej w zgodzie i jedności. Jaki ojciec, taki syn!

Na gładkiej ścianie świeżo odfynkowanego bloku zagorzał kibic grubym piędziem wypisał „EKS król” i dla podkreślenia wyrazistości swego marzenia nabazgrał jeszcze koślawą koronę. W toalecie dorosły mężczyzna długopisem szkicuje scenkę rodzajową. Zadowolonym przymruża oczy, przechyla głowę. Brązowa, skórzana teczka stoi na oknie. Wcale się nie spieszy moim wejściem. — Fajne, co? — zapytał. Podszedłem bliżej, nawet nie pachniał alkoholem.

Tylko postukać się palcem w czoło. Ależ drżem! w nas niewyżyte sztabackie zapędy. Coś tu nie gra, albo za krótko chodziliśmy do szkoły, albo za mało wzywano nas do tablicy? A co się dzieje na wewnętrznych stronach drzwi kabinek, lepiej nie pisać! Właśnie! Może by tak zamiast nich wstawiać zwyczajne tablice, tyle że z kławką i na zawiasach? Kławkę pudełeczko z kredą. Babcia kłozetowa miała by trochę więcej pracy. Codziennie zmywać bązgroły. A bywały jakieś ustronne miejsce dla twórczości. Ciekawe czy pomysł chwyciłby?

Przy ulicy Czackiego 2 stoi nowiuteńki blok, ostatni, lokatorzy jeszcze się wprowadzają. Opowiadał mi przyjaciel, że kiedy u góry na rusztowaniach pracowali jeszcze tynkarze, nadole już ściany były pomazane. Aż trudno mu uwierzyć, że wymarzony, wyuczony dom tak będzie traktowany po macoszemu. Kławkę schodowe w opłakanym stanie, zaśmiecone, pozalewane. Wala się tutaj wszystko, połamane stolki, resztki domowych chodniczków, dziurawe ganki, odchody psie. Ściany też wykorzystane przez domorosłych artystów. Brakuje żarówek. Powykręcane kławkę, wszystkie zamki od zsyppów. Windy bez przerwy zajęte. Całe tabuny dzieciaków jeżdżą w górę i w dół. To też częściej są popsute niżli czynne. Przyciski powypalane papierosami, drzwi brudne, podrapane. Zsypp zapchane, cuchnące. Wrzuca się do nich wszystko, połamane części mebli, kartonowe pudełka. Same pomieszczenia zsyppowe służą jako śmietnik — nikomu nie chce się znieść na dół dziurawego kosza na bieliznę, zbędne, niepotrzebne przywiezione rzeczy pozostawia się tutaj. Przy okazji można się też zalać. Co leniwi wprowadzają tu piaski, czasem za ich przykładem lub dla towarzystwa robią to samo.

Cóż z tego — poskarżył się mojemu przyjacielowi gospodarz domu, że się dwoje i troje. Chociażbym z żoną ręce i nogi urobił, to zawsze będzie brudno! Przy takich lokatorach, ech! Machnął ręką i smutnie zwiesił głowę.

A wydawał by się mogło, że wszystko jest normalnie. W oknach czyste firaneczki. Wymyślnie retrol. Przed blokiem samochody. Ludzie też pobieram zwyczajnie, więc chyba nie jaskiniowcy? Skąd zatem ten niesamowity śmietnik wokół? Czyżby krasnoludki albo zardzośni mieszkańcy okolicznych starych kamienic złośliwie robili nieporządek. Nie, to jest styl życia lokatorów. Dzieciarnia buszuje wszędzie, bez żadnej opieki, kontroli, robi co chce. Na kławkach schodowych pali papierosy, hałasuje, przecina kable telefoniczne. Nikt nie dba o nic. Tylko pojedyncze rodziny zachowują się zwyczajnie. Przytłaczająca większość ludzi dewastuje co się da. Państwowe domy za państwowe pieniądze! Dostali je przecież darmo. Łatwo przyszło. Być może, gdyby trzeba było płacić setki tysięcy za mieszkanie, traktowaliby je inaczej? Czy w tej sytuacji można liczyć na skuteczność persfrazji? Kolegia, wysokie kary, łącznie z odebraniem lokalu — może to wreszcie będzie przysłówiowym kubłem zimnej wody dla zatwardziałych wandal, brudasów. Tutaj każdy środek będzie dobry, nawet drażniący — byleby podziałał. Drobnostki nie są w stanie zmienić stylu życia rodzinki, co to także i pluskwy przywozła ze sobą na nowe mieszkanie, ani lokatora, co w styczniową mroźną noc pozbył się małego psika wyrzucając go po prostu przez okno. Rozbite zwierzę męczyło się długo zanim zamarło...

MPO też ma swój sposób, ale za to generalnie przyczynia się do balaganu wokół nieszczęsnej posesji. Od kilku miesięcy w ROM nr 7, PGM Łódź-Górna, proszą, błagają o regularne wywożenie śmieci. I nie! Jak groch o ścianę. Pełne cuchnące z daleka pojemniki stoją tygodniami. Wiatr rozrzuca papiery... Brakuje też sześciu pojemników na wymianę — zsypp zawalone. Doprośić się nie można. Co tu działa łopata, miotła gospodarza domu i w końcu co ma zbudować z tych wygarniętych śmieci — kopiec ku czci „sumiennych” pracowników Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania?

**MŚCIWÓJ ZASADNY**

# O tym się mówi

niczny zarówno ten duży, jak i ten mały, racjonalizacja, którą można robić dosłownie z niczego. Trzeba tylko umieć zobaczyć potrzeby zakładu.

Ponadto niepokoi nas brak współpracy między ośrodkami nauki a przemysłem. Sytuacja jest niebezpieczna. Nie satysfakcjonuje ona zupełnie naukowców, którzy chętnie oddadzą swoje doświadczenie i wiedzę na rzecz przemysłu i konkretnych bieżących potrzeb. To zjawisko powinno niepokoić także przemysł. Niestety, nie brakuje u nas dyrektorów bez wyobraźni, krótkowzrocznych, którzy w ramach reformy pozbyli się ludzi zajmujących się nowymi technologiami, pracujących w postępie technicznym. Z tych samych powodów w wielu przedsiębiorstwach bardzo słabe są działy BHP. Pracuje w nich mało ludzi, źle przygotowanych do zawodu.

W tych dziedzinach można liczyć na aktywne wsparcie związków zawodowych, ponieważ one są zainteresowane tym, aby firma dobrze prosperowała i aby ludziom się w tej firmie dobrze zarabiano.

**M. M.:** — Jak pan sądzi, czy wypadki ostatnich dni świadczą o tym, że związki zawodowe są już organizacją okrzeplą i silną, liczącą się na arenie politycznej kraju?

**A. M.:** — Naiwny byłby rząd nie liczący się z organizacją skupiającą więcej niż 5 mln członków. To by świadczyło o arogancji. A co jak co, ale o to naszego rządu posadzać nie można, chociażby dlatego, że jest on wzbogacony o doświadczenia lat minionych. Wie czym się taka arogancja może skończyć.

**M. M.:** — To jak w takim razie ocenia pan silę poszczególnych organizacji związkowych w przedsiębiorstwach?

**A. M.:** — Jest ona różna, dlatego, że są to przede wszystkim jeszcze związki odradzające się. Aktyw w wielu przypadkach jest zupełnie nowy. Po raz pierwszy zajmuje wysokie stanowiska z wyboru. Działacze nie są przesiąknięci rutyną, mają ogromną ochotę do pracy i ogromne możliwości, bowiem załogi są niecierpliwe, zmuszają ich do gwałtownych działań, a to nie jest złe. Zresztą, trudno być cierpliwym, jeśli uważnie obserwuje się zjawiska występujące w gospodarce narodowej.

Niektórzy twierdzą, że nasze stanowisko o późni wdrażanie reformy gospodarczej. Nie jest to prawda. Jeżeli obecny stan reformy gospodarczej uważamy za optymalny, to rzeczywiste nastąpiło opóźnienie. Natomiast — moim zdaniem — stan reformy jest wysocy niezadowolający i w związku z tym nasze stanowisko zmusza do gwałtownych ruchów w kierunku poprawy gospodarności.

Trzeba ludziom dobrze pracującym dać zarobić. Trzeba wyeliminować z zakładów osoby, które w ogóle nic nie robią, a świetnie żyją. Tu musimy byka za rogą schwytać, to znaczy społeczeństwo całe tym się zajmie, ale organizatorem powinny być osoby odpowiedzialne za reformę gospodarczą. Rząd nie może unikać działań organizatorskich.

**M. M.:** — Jaki jest wasz stosunek do Porozumień Sierpniowych?

**A. M.:** — Bardzo poważny. Muszę powiedzieć, że Porozumienia Sierpniowe są umową między ludźmi pracy a tymi, którzy reprezentowali ówczesną władzę. Dziś każdy postulat wymaga wnikliwej analizy, wiele z nich zostało już wprowadzonych, wiele trzeba opracować na nowo, ale porozumienia jako takie nie straciły na aktualności. Obecne trudności powinny tym bardziej mobilizować do pamiętania o co chodziło w Sierpniu 1980 r. Nie tylko dlatego, żeby się Sierpień nie powtórzył, ale dlatego, aby w naszym kraju po-

Na przełomie kwietnia i maja 1985 r. chcemy uruchomić własny ośrodek analiz i badań. Będzie to jego podstawowe i jedyne zadanie. Abyśmy mieli własne dane, abyśmy zawsze mogli dyskutować z Ministerstwem Pracy, Placy i Spraw Socjalnych w oparciu o nasze własne wyniki i argumenty. Mam nadzieję, że z tego urodzą się wreszcie jakieś koncepcje, bo na razie nawet koncepcji nie ma.

**M. M.:** — Zgodzi się pan ze mną, że podwyżki cen są nieuniknione od czasu do czasu. Jak należy to robić?

**A. M.:** — Wydaje mi się, że jednorazowa podwyżka cen jest w Polsce niemożliwa. Bardzo niepokoją nas w OPZZ pewne przesłanki świadczące o tym, że Urząd do Spraw Cen przestał panować nad ruchami cen w kraju. To zaczyna być żywołem. Dowodem jest raptowna podwyżka czynszów za lokale spółdzielcze. Nikt się tego nie spodziewał, ani Komisja Planowania, ani Ministerstwo Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska, ani wreszcie nie spodziewali się tego członkowie spółdzielni, którzy powinni mieć najwięcej do powiedzenia, bo mieszkania są przecież spółdzielcze.

Wielka podwyżka czynszów, która wyniosła średnio 90 proc. w niektórych spółdzielniach przekraczając i 340 procent, postawiła niektóre rodziny na skraj ubóstwa. Dlatego między innymi stanęliśmy na stanowisku, że jednorazowa podwyżka cen jest niemożliwa. Będziemy w przyszłości dokładnie obserwować rekompensowanie wzrostu kosztów utrzymania. Będziemy się tego domagać.

**M. M.:** — A co chcecie dać w zamian. Słyszałem, że zapowiedzieliście wyścig pracy?

**A. M.:** — Uruchomienie wyścigu pracy jako centralnie sterowanej metody wzrostu wydajności jest niemożliwe. Byłoby przejawem zbiurokratyzowania związków zawodowych. Jeżeli taki ruch rozwinie się w zakładach, to go poprzemy. Wystąpimy do odpowiednich resortów o wydzielenie pewnej kwoty na nagrody dla wyróżniających się inicjatorów wzrostu wydajności.

Sedno leży jednak w tym, że u nas praca jest bardzo kiepsko zorganizowana. Wzrost wydajności nadal traktowany jest jako hasło. Jak można się zwracać do załogi o wzrost wydajności? Jaki może mieć na to wpływ prządka czy górnik? Duży, ale będzie to zawsze wpływ pośredni, nie inicjujący. Obserwujemy w wielu przedsiębiorstwach jak nowy system placy wprowadzany jest na stare struktury. Organizacja pracy i zarządzania nikt się nie zajmuje. I tu jest właśnie klucz do cen.

Grupa Francuzów, która przyjechała do Huty Lenina na stypendium ONZ nie mogła się nadziwić, że tak dużo inżynierów w Polsce pracuje na stanowiskach majstrów, kierowników zmian. U nich na wielkich piecach, na takim samym wydziale zatrudnionych jest dwóch inżynierów. A reszta pracuje — w biurach projektów, w zespołach technologiczno-badawczych. Tam myślą, jak ta buta ma pracować lepiej, oszczędniej, ekonomiczniej. U nas oczekuje się, że wymyśli to majster czy kierownik zmiany, zajęty codzienną gonitwą po sali. Trudno tego wymagać od prządki czy garowego wielkich pieców. Oni i tak robią co mogą.

**M. M.:** — Działalność związków często wykroca poza zakład pracy. Zajmujecie się na przykład mieszkaniami?

**A. M.:** — Naszym zamiarem jest opracowanie wreszcie koncepcji rozwiązania problemu mieszkaniowego. Dziesiątki młodych ludzi ma zgromadzone pieniądze, ścialoby się zacząć



Władysław Góral



Edward Lenkowski



Tadeusz Lewy



Ryszard Machnikowski



Janusz Napieralski



Zenon Torzecki  
Foto: Grzegorz Gałasiński

## Dokończenie ze strony 1

nie jest pewien swojej diagnozy, wysyła więc pacjenta do poradni diagnostycznej, która jest znakomicie wyposażona. Tam potrzebne badania wykonano szybko i odesłano je, wraz z pacjentem, do lekarza domowego. To on właśnie ustala przebieg dalszego leczenia. I jakoś nikomu, ani przez chwilę nie przyszło do głowy, żeby chorego posłać do specjalisty albo do szpitala.

**R. MACHNIKOWSKI:** — To jest przykład z RFN.

**W. GOS:** — Ale w NRD jest podobnie. Dlaczego nie mamy wzorować się na dobrych, sprawdzonych przykładach? Dlaczego nie możemy korzystać z doświadczeń innych?

W Stanach Zjednoczonych są na przykład takie hotele, gdzie pacjent płaci tylko za wyżywienie i nocleg, a obok znajdują się pracownice diagnostyczne. Diagnozy robi się tam szybko i sprawnie.

**R. MACHNIKOWSKI:** — Ale nie zapominajmy, że w Stanach Zjednoczonych leczenie kosztuje i choroba może człowiekowi zrujnować nie tylko zdrowie, ale i majątek.

**ODGŁOSY:** — Jaki powinien być lekarz pracujący w przychodni rejonowej? A jaki jest?

**T. LEWY:** — Ja mogę mówić o internistach.

## Czy nasze lecznictwo da się zreformować? (1)

### Rozpoznanie

W łódzkim województwie miejskim w lecznictwie podstawowym pracuje około 340 lekarzy. Jest ich akurat tyle, aby zapewnić swoim pacjentom łatwo dostępne i kulturalnie załatwiane wizyty ambulatoryjne i domowe.

**Z. TORZECKI:** — I zapewnić ciągłość opieki nad pacjentem. Choć z drugiej strony wiadomo, że przeszło 30 procent wszystkich porad w Polsce są to porady specjalistyczne. I one ciągle rosną. Specjaliści dziś leczą, a przecież przede wszystkim powinni być konsultantami lekarzy podstawowego lecznictwa.

**ODGŁOSY:** — Dlaczego tak się nie dzieje?

**T. LEWY:** — Połowa internistów — wedle mojej oceny, a sądzę, że trafnej — jest dobrze przygotowana do pełnienia swojej roli. Ale tylko połowa.

Ostatnio sensownie zaprogramowano staż dla absolwentów akademii medycznych. Po roku trafi więc do lecznictwa podstawowego więcej lekarzy dobrze przygotowanych. No, i ruszamy z obowiązkowym doszkalaniami lekarzy w lecznictwie otwartym. Każdy lekarz przez 7 dni w roku przez najbliższe 3 lata musi być doszkalcany. Musi orientować się w postępie medycyny.

Co najmniej 30 procent internistów ma I stopień specjalizacji, przeszło 12 procent ma drugi stopień, a ze sto osób specjalizuje się. Jeśli więc te wszystkie programy zrealizujemy, to będziemy mieli dobrze przygotowanych lekarzy.

**Z. TORZECKI:** — Był swego czasu taki eksperyment. Pacjent mógł sobie wybrać lekarza z rejonu. I co się okazało? Okazało się, że 30 procent lekarzy uzyskało więcej pacjentów niż wyznaczony był limit, 21 procent uzyskało tylko 80 procent limitu, 36 procent — od 30 do 79 proc. limitu, a 13 procent lekarzy uzyskało poniżej 30 procent limitu. Ale przecież jakieś wnioski z tego trzeba było wyciągnąć. Nie wyciągnięto żadnych. A przecież prosta logika nakazuje, aby te 13 procent lekarzy albo natychmiast zwolnić z pracy, albo posłać ponownie do nauki.

### PACJENT CZY TURYSTA?

**T. LEWY:** — Gdy doprowadzimy do tego że tych naszych 340 lekarzy dobrze przygotowujemy, to można by powiedzieć, że problem opieki internistycznej — jak to się mówi — mamy z głowy. Owszem, będziemy mieli, ale tylko w ołówek, bo lekarz musi mieć też pewność, że jest i będzie dobrze opłacany. Mówiło się i mówi o tym już od dawna, ale bez widocznego skutku. Zapewnia się nas teraz, że dodatek motywacyjny spełni swoją rolę. Wątpliwe, bo znów obejmie wszystkich i tej roli nie spełni.

**Z. TORZECKI:** — Właśnie. Nieszczęście polega na tym, że wszelkie preferencje, dodatki, samochody itp. obejmują wszystkich. A powinny tylko tych, którzy dobrze pracują.

**W. GOS:** — To wszystko prawda, ale do dobrej pracy potrzebne są określone warunki. Ja może spojrzę na podstawową opiekę lekarską od strony szpitala. Jak pacjent trafia do szpitala? Często nawet z wynikami aktualnych badań lekarskich. Ale często bez. W szpitalu zresztą i tak wszystko robi się od nowa. To oczywiście kosztuje.

**ODGŁOSY:** To dlaczego robi się od nowa?

**W. GOS:** — Bo szpital nie ma zaufania do tych badań. One często są wiarygodne. Ale w szpitalu wiedzą, że w lecznictwie podstawowym szybko diagnozują i odsyłają dalej. Gdyby natomiast była pewność, że lecznictwo podstawowe dysponuje doskonałymi aparatami do diagnoz, to i w szpitalu nie wydawano by dodatkowych pieniędzy na te same badania. Sądzę, że ogromne możliwości kryją się właśnie między lecznictwem podstawowym a specjalistycznym.

**ODGŁOSY:** — Jak to rozumieć?

**W. GOS:** — Bardzo prosto. Lecznictwo podstawowe, jeśli nie będzie dysponowało dobrym, sprawnym i szybkim zapleczem diagnostycznym, będzie bezustannie „produkowało” pacjentów-turystów, którzy będą wędrowali od laboratorium do specjalisty i długo czekali na wyniki, a przez to i na leczenie.

**Z. TORZECKI:** — Obliczyliśmy, że diagnozowanie w szpitalu trwa od 4 do 8 dni. Czy tak musi być? Nie. Byłem w Amsterdamie. Ma tyle samo mieszkańców co Łódź i centralne laboratorium diagnostyczne. I jakoś im starczy. Ale laboratorium jest doskonale wyposażone, skomputeryzowane. Na godzinę robi do 200 badań. Gdybyśmy taką aparaturę załadowali wielkimi szpitalami z 1200 łózkami, to byłaby tam nie wykorzystana. Jestem więc za tworzeniem centralnego, dobrze wyposażonego laboratorium.

Dlaczego teraz i w szpitalach długo trwają niektóre badania diagnostyczne? Bo brakuje odczynników, bo są bardzo drogie i trzeba czasem czekać, aż się zbierze kilka takich badań.

**T. LEWY:** — To wszystko nie jest takie proste. Przede wszystkim stworzenie takiego centralnego ośrodka badań diagnostycznych wymagałoby sporych wydatków na aparaturę. I to w twardej walucie. A jej nie ma. Po przeliczeniu taki wydatek przyniósłby w rezultacie oszczędności. Ale komu to wytłumaczyć? Ja jednak myślę, że i my w służbie zdrowia nie jesteśmy przygotowani do korzystania z takich centralnych ośrodków diagnostycznych i z tego, co już posiadamy.

**ODGŁOSY:** — A gdyby tak pozbiierać to, co jest i czym się nie zawsze potrafi posługiwać służba zdrowia?

**W. GOS:** — Posługiwać to się potrafi, tyle że nie wykorzystuje do końca. Ale myślę, że u nas nie do przełamania jest bariera głupich ambicji. Każdy chce mieć samochód i duży gabinet z palmą. Inaczej się — wedle jego mniemania — nie liczy. W służbie zdrowia odbija się to przede wszystkim na polityce zakupów. Kto ma lepsze doświadczenia, ten szybciej

### LEKI NA ŚMIETNIKU

**ODGŁOSY:** — Dla pełnego obrazu lecznictwa podstawowego należałoby się teraz zająć sprawami leków. Zarzut jest taki, że bardzo często te same leki zapisuje lekarz rejonowy i specjalista. Po co? Czy nie powinno być tak, że leżeniem zajmuje się tylko lekarz rejonowy? Była już o tym mowa. Ale praktyka temu przeczy. Zresztą, niestety, pacjent wymusza wizytę u specjalisty i leki zapisane przez specjalistę — podobnie, albo często i te same — traktuje jako lepsze, bardziej skuteczne. A poza tym — powszechnie przecież wiadomo — leków brakuje.

**J. NAPIERALSKI:** — Trzeba znów zacząć od lekarza podstawowego. W lecznictwie otwartym nie można niczego limitować. W szpitalu można na przykład określić, że na jedno łóżko przypada taka a taka suma pieniędzy przeznaczona na leki. W jednym przypadku się ją wykorzystywa, w innym nie, w innym jeszcze — przekroczy. W lecznictwie otwartym jest to rzeka. Nie można jej opanować. A przecież ludzkość nie można też leków odmawiać.

**Z. TORZECKI:** — Ludzie wierzą w cudowną moc leków. Nie biorą pod uwagę, że leki działają również ujemnie, że nie wolno ich nadużywać.

**W. GOS:** — W tej sprawie niezbędna jest niebawoma ostrożność. Stosujemy leki własnej

produkcji i stosujemy leki produkcji zagranicznej. Te ostatnie kosztują, bo potrzeba na nie walut. I teraz rodzą się problemy moralne, które lekarz musi rozstrzygać, ale ma ograniczone możliwości. Nie wiem, czy o tym mówić, czy o tym można pisać, bo to w końcu nasza sprawa. Spróbuję to jednak przedstawić. Przykład będzie skrajny. Dla potrzeb ośrodka onkologicznego sprowadzamy leki dla pięciu pacjentów. A potrzeba dla 25. Jak je teraz podzielić? Losować? Gdybyśmy mogli dać wszystkim, nie byłoby tego problemu. Ale nie możemy.

**ODGŁOSY:** — Przykład jest rzeczywiście skrajny. Problem chyba nie tylko w tym. Jedne leki są łatwiej dostępne i te stosuje się bez żadnych zahamowań. Innych brak i tu rodzą się już moralne dylematy. Ale czy rzeczywiście każda grupa trzeba leczyć antybiotykami?

**T. LEWY:** — Uczucie przyznaje, że nie wiem. Wiem natomiast, że rozbestwił mnie leki z darów. Dwa asystentom powierzyłem prowadzenie apteki leków darowanych. Odczułem po raz pierwszy dobrodziejstwo dobrych leków i teraz patrzę z przerażeniem jak mi się szybko opróżnia apteczka leków pochodzących z darów. Co będzie, gdy już tych leków nie stanie?

Dlaczego o tym mówię? A dlatego, że według moich sądów, prawda leży pośrodku. Gdybyśmy mieli pod dostatkiem leków bardzo skutecznych, to może i nasza rozrzutność w tym względzie byłaby mniejsza. A skoro mamy też leki mniej skuteczne, to i być może dlatego jesteśmy rozrzutni.

To jedna strona zagadnienia. Jest i druga. Mam w swojej bibliotece książkę z 1927 roku o tym, jak tanio i dobrze leczyć. Niemiecka kasa chorych zebrała lekarzy i uczyla ich taniego i skutecznego leczenia. Nauki te spisano i wydano w książce. U nas nawet studentów nie uczy się takiego leczenia.

I jeszcze jedno wspomnienie. Kiedy byłem kierownikiem Wydziału Zdrowia, to podpisywałem potrzebowanie na antybiotyki idące w tysiące złotych tylko z tego powodu, że w salach operacyjnych i zabiegowych nie było należytej aseptyki.

Mając to wszystko na względzie uważam, że sprawa rozrzutności leków nie jest ani taka prosta, ani łatwa.

**ODGŁOSY:** — Faktem jednak jest, że można leki znaleźć na śmietniku.

**T. LEWY:** — Nie przeczę, ale i pacjent wymusza leki u lekarza.

**J. NAPIERALSKI:** — Błota tu już mowa o dokumentacji medycznej. Otóż, gdyby ta dokumentacja sprawnie przechodziła wszelkie ognia jej obieg, to nie byłoby i zapisywania tych samych leków przez dwu różnych lekarzy. My widzimy skutki rozrzutności w wydawaniu leków, bo podliczamy ich koszty. Ale przyczyna jest gdzieś indziej. Lekarz nie zna ceny leku. Pacjent zresztą też.

**Z. TORZECKI:** — Może dopiero, gdy płaci 30 proc. jego wartości. Student natomiast nie wie nawet o ubocznych skutkach podawania leków. Urywam 4 godziny z 30 godzin wykładów na IV roku studiów medycznych, aby powiedzieć studentom o uszkodzeniach wątroby przez leki. Nikt im wcześniej tego nie powiedział. Czy ja to muszę robić?

**ODGŁOSY:** — Czy jest prawda, że w Polsce produkcją leków zajmują się przedsiębiorstwa podległe bodaj aż 13 ministerstwom?

**T. LEWY:** — Tak, to prawda. I nikt nie potrafi zrozumieć że jest to tylko przekładanie pieniędzy z jednej państwowej kieszeni do drugiej, a produkcja leków — dla dobra ludzi chorych — powinna leżeć w gestii jednego przemysłu.

**R. MACHNIKOWSKI:** — I „Polfa” nie powinna produkować płynu do mycia samochodów zamiast płynu infuzyjnego.

**Z. TORZECKI:** — I powinna być dokładna informacja nie tylko o cenie leków, ale i o ich skutkach ubocznych. Niech lekarze mają na ten temat pełną wiedzę.

**ODGŁOSY:** — Proponuję na tym zakończyć nasze dzisiejsze spotkanie. Dokonałście Panowie dość obszerną analizę stanu i sposobu funkcjonowania systemu ochrony zdrowia w Polsce. Czas by był przejść do wniosków. Ale to może już na następnym spotkaniu, za tydzień.

Przygotowała i opracowała:  
**BOGDA MADEJ**

## Dokończenie ze strony 1

nych książek to wyłącznie szkolne podręczniki dla dzieci i wyimie kryminalistki. Ludzie ci nie znają potrzeby przesyłania kilku drukowanych zdań. A przecież potrafią jednym tchem wymienić najciekawsze tytuły, wydawnicze nowości. Książkę traktują jak towar, który da się szybko zamienić na żywą gotówkę, potem na butelkę wódki. Przez ich ręce przechodzą księgarskie rarytasy. Przechodzący l... ginęły. Byli konwojentami Składnicy Księgarskiej.

Warszawa, księgarnia przy Nowym Świecie 49. Tutaj pracowała trójka osób tytułujących się księgarzami. Za witrą leżały zakurzone tomy: „cegiły” od lat nie tykane rękami czytelników. Kilka metrów niżej jest mała piwniczka. Klucze do niej miał tylko kierownik i dwie jego zastępczynie. W piwniczce spoczywały same tylko bestsellery — dla zaufanych i hojnych klientów. Książki te, o czym nobliwy pan doskonale wiedział, pochodzą z kradzieży. Kierownik nabywał je od paserów po cenach detalicznych, a zbywał po „cenach umownych”. Stosując zasadę, że najciemniej jest pod latarnią, z „podziemnej” księgarni czerpał milionowe dochody. Był powszechnie szanowanym, aktywnym społecznie obywatelem. Na państwowej posadzie zarabiał prawie czterdzieści tysięcy złotych.

Przed witrą księgarni zatrzymują się ludzie. Pokazują palcami: „to tutaj!” Tutaj księgarze polscy otrzymali dotkliwy cios — cios który obalił resztki ich autorytetu.

W minionych latach odnotowano gwałtowny wzrost kradzieży książek, mających trafić na księgarskie lada. Książka stała się niezwykle atrakcyjnym towarem czarnorynkowym. Pokątni handlarze, dotychczas spekulujący pieprzem, rajstopami czy kawą, sięgnęli — niekiedy po raz pierwszy w życiu — po tom klasyki i słownik języka polskiego. Oczywiście, wyłącznie w merkantylnych celach. Jednocześnie na wszelkiej maści giełdach zauważono znaczny wzrost podaży nowitki woluminów, przy proporcjonalnym ubożeniu księgarskich półek.

# Towar

Skala książkowych „przecieków” przybrała rozmiary gangsterstwa. Ginęły całe transporty książek. Co ciekawe, nigdy nie „zniknęły” przypadkowe tytuły, lecz starannie wybrane, fachowo rozpoznane wydawnicze perełki. Gra szła nie o nominalną cenę kradzionych pozycji, ale o przewidywaną ich wartość rynkową, ujawniającą się w poziomie cen bazarowych.

Przyczyny takiego stanu faktów są powszechnie znane: niskie nakłady większości wydawanych publikacji, brak papieru, przestarzała baza poligraficzna, itd., itd. Skutkiem, jak zwykle w takich ramach, jest bujny rozkwit czarnego rynku, wspieranego płonami małych i większych kradzieży oraz spekulacji.

W lutym ubiegłego roku, kiedy to raporty o grabieżach przesyłek książkowych lawinowo spływały na biurka aparatu ścigania, przystąpiono do szczególnie intensywnych penetracji targowisk. Kontrola bazaru na Marymoncie zaowocowała przesłuchaniem kilku bardzo aktywnych handlarzy książek, którzy nie potrafili usprawiedliwić pochodzenia dużej części całego nowego towaru, jeszcze nie rozprowadzanego przez stołeczne księgarnie. Pech chciał, że w mieszkaniu jednego z zatrzymanych znalazł się firmowo zapakowane przesyłki, będące własnością Składnicy Księgarskiej, a przeznaczone dla placówek Domu Książki. To przekonało handlarza o potrzebie ujawnienia szczegółów. I tak, po nitce do kłębka, najpierw spenetrowano piwnicę znanego pasera, gdzie podobne kartony z książkami zalegały aż po sufit. Wartość zgromadzonych tam książek oszacowano na blisko 400 tys. zł — w cenach detalicznych. Następnie zaś, pochwycono pierwsze ognia zorganizowanego rabunku, w osobach konwojentów Składnicy Księgarskiej.

Mechanizm przestępstwa okazał się spletem dziecinnie wręcz prostych, za to bardzo skutecznych działań, trzeba dopasowanych do biurokratycznej rzeczywistości. W skrócie, polegał on na prawidłowym z urzędowego punktu widzenia obiegu kwitów przewozowych, gwarantującym spółki sumienia wszystkim instytucjom trudniącym się rozprowadzaniem książek. A że w ślad za kwitami, do adresatów nie docierały cenne przesyłki, to już zupełnie inna sprawa...

Codziennie magazyny Składnicy Księgarskiej opuszczają pokaźne ilości paczek. Konwojenci ładują je na samochody i zawożą do urzędu pocztowego. Tam paczki przechodzą pod opiekę skrzydła poczty, której urzędniczki kwitują odbiór przesyłek. Cała ta operacja trwa dosłownie kilkadziesiąt minut. Dalej, kartony z książkami zapełniają wagony kolejowe i właściwie, z dużym prawdopodobieństwem można sądzić, że giną gdzieś na trasie, padając łupem kolejowych szabrowników. Kolej jak to kolej, bezlistnie zewsząd okładana, przynosi się do wszystkich — szczególnie do niezawinionych straż, i sprawa zostaje niemal automatycznie umorzona. Ale konwojenci Składnicy Księgarskiej wcale nie fatygowali kolejarzy przewożąc zadrutowany papier — a ściślej, jego części. Pobrawszy towar z magazynów, konwojenci ładowali go na ciężarówkę, a w drodze na pocztę sortowali paczki, zgodnie z zamówieniami otrzymanymi od spekulantów: książki szczególnie atrakcyjne odkładano na bok. Teraz troszkę złodziei było już tylko przekazanie poczcie części ładunku uznanego za mniej chodliwy, ale tak, by na fakturze do-

stawy potwierdzono przyjęcie całości przesyłki.

Żeby nie dostrzec, iż zamiast stu paczek, konwojenci dostarczali tylko osiemdziesiąt, trzeba być albo kompletnym ślepcem, albo mieć interes w przemykaniu oczu na tak jawne oszustwo. Urzędniczki z poczty, dziewczyny 18—20-letnie, bynajmniej nie cierpiały na wady wzroku. Za przystawienie pieczęci stwierdzającej zgodność stanu liczebnego dostawy z fakturą, pobierały „taryfową” dole, w skali miesiąca kilkakrotnie przewyższającą skromne urzędnicze pobory.

W każdej paczce znajduje się 20—30 egzemplarzy książek. Każdy kurs na pocztę, to transport około stu paczek. Każdego dnia pracy konwojenci czterokrotnie wykonywali takowe kursy. Z każdego kursu zostawało „na czysto” 15—20 paczek z atrakcyjnym towarem. Lekko licząc, nominalna wartość jednej takiej paczki wynosi ok. 10 tys. zł. Ale konwojenci nie mogli spodziewać się łatwego zbytu kradzionego towaru, jeśli chcieliby oferować zań cenę nominalną. Oddawali go paserom za połowę tej sumy, i tak zarabiając kilkaset tysięcy złotych dziennie. Paserzy dostarczali trefny towar głównie małym handlarzom, którzy żyli z tego, że poszukiwali klientów na bazarowych placach. Handlarze płacili paserom ceny zgodne z nadrukiem na okładkach książek, swój zysk realizując w różnicy między ceną wolnorynkową a ceną „dostawcy”.

Tymczasem poczta dostarczała przesyłki do adresatów: placówek Domu Książki. Księgarze natychmiast stwierdzali rażące nieścisłości: brakowało najatrakcyjniejszych pozycji. Centrala, czyli Składnica Księgarska, wskazywała na pocztę, pocztę na kolej, a kolej na PZU, który ostatecznie pokrywał straty zainteresowanych stron.

W ciągu niespełna trzech lat, na drodze między Składnicą Księgarską, a półkami Domów Książki, jak kamfora ulotniły się woluminy wartości ponad 39 mln zł. W tej globalnej sumie wartości skradzionych książek, udział warszawskiej szajki oblicza się „tylko” na 17—18 mln zł. Reszta jest milczeniem... Reszta to inne, prawdopodobnie również zorganizowane „przeciaki” poszukiwanego towaru. A w bilansach okradanych instytucji wszystkie papierowe podkładki są w porządku...

Na ławie oskarżonych zasiadają dwadzieścia pięć osób. Będzie to finał największej wykrytej afery kradzieży i nielegalnego handlu książkami. Śledztwo trwa i być może odpowie ono na pytanie, jakimi kanałami „przeciaki” książki wartości ponad 20 mln zł, o których na razie wiadomo tylko, że nie dotarły do księgarń.

Teraz w szczególnej niebezpiecznej sytuacji znaleźli się księgarze: przede wszystkim ci nieliczni, którzy właściwie pojmują postannictwo zawodu. No bo jeśli dwie stołeczne księgarnie (oprócz „Społeczno-Politycznej”) spekulowano także w „Oświatowej”) odwiedzone codziennie przez tysiące czytelników okazały się siedliskami paserstwa, można domyślać się, że mniejsze placówki to dopiero... A przecież tak nie jest. Z drugiej jednak strony, nie ma chyba księgarza, który choć raz nie odożyłby podładą jakiejś poszukiwanej pozycji — nie na spekulację, lecz dla starych klientów, o których wiadomo, że książki czytają rzetelnie. Trudno krytykować księgarzy za stosowanie takowych praktyk, wobec permanentnie niskich nakładów ciekawych i potrzebnych publikacji, w sytuacji gdy książka stała się towarem czarnorynkowym, a nawet formą lokaty kapitału czy elementem wystroju wnętrza mieszkalnych drobnomieszczańskich kółtunerii. Wszak księgarze, bardziej niż inni pracownicy handlu, utrzymują długoletnie więzi ze swymi klientami, potrafią niemal bezbłędnie poznać czy osoba kupująca nabywa pozycję do lektury, czy towar na spekulację, tezauryzując albo na półkową ozdobe. Bywa więc, że książki wędrują podładę z tej tylko prostej przyczyny, by dotrzeć mogły (najkrótszą drogą) do prawdziwych miłośników literatury.

Kilku warszawskich księgarzy wyrządziło całemu księgarstwu straszliwą szkodę. Księgarz, któremu patrzy się na ręce, jest już tylko zwykłym sprzedawcą.

W ostatnią niedzielę lutego na Marymoncie jak zwykle zjawili się tłumy: sprzedających, kupujących i tych, którzy przyszli pogadać. Za tydzień nie będzie już „Perskiego targu”, nie będzie niedzielnych spotkań kolekcjonerów, handlarzy, wytrwałych poszukiwaczy unikalnych dóbr. Ale czy to zlikwiduje spekulację?

Na słupach ogłoszeniowych wisi wyrok: „...postanowieniem Dzielnicy Rady Narodowej Warszawa-Zolibórz, działalność Jarmarku Marymonckiego zostaje z dniem 1 marca br. zawieszona”. Stali bywalcy lekceważąco uśmiechają się: nie będzie tutaj, to będzie gdzie indziej — nawet w Otwocku, albo w Żyrardowie.

W ostatnią niedzielę lutego na Marymoncie jak zwykle jest sporo książek: czterotomowa encyklopedia za 25 tys. zł (taniej niż w antykwariacie), słowniki, beletrystyka, albumy, kryminały, komiksy. Mało jest książek nowych. Pojawia się dopiero wtedy, kiedy uciechnie echo książkowej afery. To przecież po tym jarmarku krążyli zatrzymani przez milicję paserzy. Tutaj leżał trefny, skradziony w transporcie towar. Niektórzy handlarzy pamiętają twarze aferzystów. Na razie ryzyko jest zbyt duże. Towar czeka na lepsze czasy — lepsze ceny. Bo handel książkami będzie trwał: w bramach, na dworcach, na bazarach.

Decyzja likwidacji Jarmarku Marymonckiego zbiegła się w czasie z ujawnieniem mechanizmów wielkiej kradzieży książek i prawdopodobnie zaważyła na postanowieniu władz dzielnicy. Ale nie wolno zapominać, że czarny rynek księgarski jest oczywistym skutkiem, a nie przyczyną istniejącego stanu rzeczy. Tak długo, jak długo będzie trwał głód książki, jak długo książka będzie towarem dla ludzi, którzy w normalnych warunkach jej nie potrzebują.

ROMAN KUBIAK

Dom z numerem 59 na ścianie frontowej stał pięć metrów od drogi. Brak ogrodzenia, z przodu tylko kawałek siatki, ale bez bramy.

Jadwiga Popa, rolniczka na 5 ha, w nocy z 15 na 16 września opiekowała się czteroletnią córką i pięciomiesięczną wnuczką. Małżonek — członek OSP — jako organizator urzędował na zabawie, gdzie bawili się również starsza córka Dorota z mężem, oboje mieszkańcy Łodzi.

Po północy Popowa znalazła się w kuchni od podwórza. Przygotowując herbatę dla wnuczki, usłyszała nagłe złożejający się od remizy tętent, jak gdyby ktoś pedził stado koni. Galop stawał się coraz głośniejszy.

RYSZARD BINKOWSKI

## Sztachetowa (2)

szy, zakręcił wokół domu i przycichł. Ktoś szarpnął kilka razy kłamek zamkniętych na klucz drzwi od podwórza. Nikt jednak nie odezwał się, nikt nie krzyknął. Po chwili tętent wzmożił się i oddalił w stronę drogi. Potem kobieta usłyszała jakieś głośnie trzaski, przypominające odgłosy młocki za pomocą cepów. Przerazona Popowa stała przez jakiś czas w odrętwieniu, ponieważ domyśliła się, że kogoś biją. Zdobysz się na odwagę, weszła na palcach do pokoju i spojrzała przez frontowe okno. Odcinek drogi przed domem znajdował się między latarniami, toteż w zalegającym półmroku niewiele było widać. Popowa zdolała jednak dostrzec, że na poboczu, akurat na granicy z sąsiadem, Kazimierzem Mazurem, gdzie sterczał wspólny stojak na bawliki z mlekiem, leży człowiek. Nie rusza się, krzyczy „O, Jezus!” i płacze, a jakiś młodzi ludzie kopią go i okładają kijami.

Popowa zdrewniała ze zgrozy. A kiedy nieco ochłonęła, bała się krzyknąć ze względu na małe dzieci, którym rozbójnicy mogliby wyrządzić krzywdę.

Kiedy leżący przestał się odzywać, jeden z napastników zaczął walić jego głową o ziemię. Drugi powiedział:

— Prześtań, bo go jeszcze zabijesz.

Potem zobaczyła, jak tłuka rowerem o ziemię, skaczą po tym rowerze, żeby na koniec wrzucić pogięte szczytki na teren posesji Józefa Marszałka. Zaledwie grupa mężczyzn oddaliła się kawałek od jej domu, Popowa uchyliła po cichu okno. Usłyszała głos mężczyzny, który mówił, że wróci się i jeszcze tamtemu dopierdoli i jeszcze młoda kobieta prosiła, żeby już tam nie szedł. No i na szczęście facet nie wrócił...

Po chwili Jadwiga Popa zobaczyła, że przed dom wyszedł syn sąsiada, Tadeusz Mazur. Wybiegła z latarką na drogę i oświetliwszy miejsce, gdzie leżał człowiek, stwierdziła, iż jest nim Włodek Kisiel. Tadek Mazur miał wątpliwości, lecz po dokładnym przyjrzeniu się pobitemu również go rozpoznał, chociaż ten twarz miał zmasakrowaną, w kaluży krwi. Miał na sobie robocze ubranie i kalosze, a więc był chyba tylko przed remizą, żeby popatrzyć na zabawę. Popowa znała Kisiela niemal od jego urodzin. Dobry syn, uczynny chłopak, pomagał sąsiadom w pracach polowych. A teraz leżał jak martwy, nie oddychał.

Kobieta wsiadła na rower i pojechała do Stefana Sztandora, skąd zadzwoniła na Pogotowie.

6.

Lekarz powiadomił o wypadku WUSW na Lutomińskiej oraz posterunek MO w Rzgowie. O godz. 1.30 Rzgów przekazał sprawę dyżurnemu RUSW w Pabianicach. Tamtejszy dyżurny wyciągnął z łózka technika, który zabrał potrzebny sprzęt i pojechał z grupą operacyjną do wsi Prawda, gdzie znaleźli się o godz. 2.30.

Przyświecali sobie latarkami. Zwłoki leżały twarzą do góry. Koszula fanelowa w kratkę, podciągnięta do piersi, spodnie ciemnego koloru, kalosze, zegarek na rękę. Jasne, że nie był to mord rabunkowy.

Twarz zakrwawiona, widoczne rany, prawe oko zamknięte, zapuchnięte na kolor fioletowy, rozbita głowa. Z prawej strony głowy leżały złamane sztachety, trzy metry dalej także sztachety, w jednej widoczny gwóźdź.

Po drugiej stronie drogi na narożniku betonowego plotu leżał zmiążdżony rower, jakby przejechał po nim pociąg pancerny. Na drodze do Tuszyń-Lasu znajdowały się również porzucone sztachety. Około 300—400 m w stronę remizy na dwóch ogrodzeniach znaleziono liczne ślady po wytłamanych żerdziach. Była to więc typowa podmiejska sztachetowa.

Dyżurny z Pabianic wyrwał ze snu kierownika sekcji kryminalnej, potem samego szefa RUSW oraz szefa Prokuratury

Rejonowej, który polecił przebież zwołki do prosektorium. Zaalarmowali także WUSW w Piotrkowie, którego szef zarządził blokadę na drogach.

W akcji uczestniczyli: radiowóz RUSW z Pabianic, dwa łódzkie radiowozy z drużynami ZOMO, radiowóz milicyjny z Tuszyń, przewodnik z psem oraz komendant posterunku MO w Rzgowie, chorąży Jastrzębski.

Zabezpieczono ślady w pobliżu zwołki, jak też na trawie przy betonowym płocie. Nadawali się do tropienia przez psa. Ale przewodnik zjawiał się o godz. 4.10, w trzy godziny po popełnieniu przestępstwa. Poza tym warunki atmosferyczne trudne — opady deszczu. Mimo to po wywężeniu śladów obuwia pies podjął woń.

Prowadził piaszczystą drogą do Tuszyń-Lasu. Pod koniec pierwszego kilometra znalazł w trawie butelkę po „Zyt-niej”. Trzysta metrów dalej zatrzymał się przy porzuconej sztachecie. I zapewne pies sam dotarby do celu, gdyby mu nie przeszkodził znany nam skądinąd pijany malarz, który wynurzył się z lasu, aby zatrzymać jadący z tyłu radiowóz.

W radiowozie malarz z miejsca wyrzucił i wyznał, że w Prawdzie byli znani mu bracia Zdzisław i Marian S. oraz Joanna. W ten sposób milicja zdążyła wszystkich uczestników zabawy zamieszkałych w Tuszyń-Lesie i Poddebnie, jak i bawiących gościnnie lokatorów łódzkiego hotelu robotniczego. Malarz rozpoznał wśród nich jeszcze dwóch zabiłków, m.in. jednego z braci L. Dzięki temu stosunkowo szybko udało się otworzyć minutę, w których doszło do zbrodni.

7.

Kiedy w kręgu światła ulicznej latarni pojawił się samotny rowerzysta, ktoś wrzasnął:

— Zdzichu, uważaj!

— Co jest?

— Jedźcie ten, co ciebie bił!

Oddział tuszyński jak na rozkaz stanął zwartym szeregiem w poprzek drogi, aby cyklista nie przemknął im bokiem.

— Stój! — ryknął Zdzisław, wystąpiwszy do przodu ze sztachetą.

Czesław Kisiel skręcił w prawo i znikł w cieniu zatutowanej Jadwigi Popy. Rzucił rower, szarpnął za kłamek, lecz nikt mu nie otworzył. Słysząc, jak Zdzisław S. wydaje rozkaz, żeby go gonić, zaczął szukać jakiegos narzędzia do obrony.

Na podwórzu wbiegli bracia L. i jeszcze ktoś trzeci. Zatrzymali się zdezorientowani.

— Dawać go!!! — wrzeszczeł ci na drodze i tupali na postrach, jakby ich było co najmniej pół setki.

Tadeusz L. zauważył, że ściganym wymyka się na drogę z jakimś narzędziem w ręku.

— Uwaga, ma siekiere! — krzyknął ostrzegawczo.

Piotr L. podniósł rower, a ci na drodze skryli się w pobliskich krzakach. Stwierdziwszy jednak, że Kisiel trzyma w ręku widły, wyskoczyli i zaatakowali. Poborowy Baranowski potknął się, nadziewając się nieszczęśliwie na widły. Upadł i stoczył się do rowu, skąd wrzeszczał rozpaczliwie: — Jezu, ratunku! Zabił mnie, zabił!

Miał powierzchowną ranę kłutą i dziury w kurtce. Leżąc widział Joannę, Okularnika, Adamskiego i Pietrzaka, którzy nie brali udziału w walce.

Pierwszy zaatakował sztachetą Zdzisław S., po nim zaś Tadeusz L. Dostał widłami w prawy bok (rana kłuta w okolicy biodra, plamy krwi na koszuli) i to go jeszcze bardziej rozścieściło. Kto miał sztachetę, ten walił, gdzie ponadto, aż Kisiel upadł. Wtedy Zdzisław S. dosiadł go okrzakiem, walił pięściami, tłukł jego głową o ziemię. Joanna szarpała męża za włosy, próbując przetrwać tę makabrę, lecz Zdzichu tylko chrząpiał rozszczęszony.

— Dobiję cię, ty chamie!

Kiedy wrzeszcze odstąpił, pozostali kopali leżącego, żeby się wykazać charakterem.

Tadeusz L. skakał po klatce piersiowej Kisiela.

Mirosław S. skakał po jego rowerze.

Kiedy rower znikł za plotem, wszyscy poszli do domu. Mówili:

— Rowerzyście należał się wpiędo!

— Dostał, ale żyje, nie?

— Taa, ale żebra ma pewno połamane.

— Cholera — narzekał Mirosław S. — uparałem sobie prawy bok we krwi...

— Nie było żadnej bójki — zapowiedział Zdzisław.

— Jasne!

— A najlepiej, to myśmy w ogóle nie byli na zabawie.

Rozstali się w Poddebnie. Okularnik, Mirosław S. i ranny poborowy udali się do Zdzisława. Joanna zrobiła Darkowi opatrunek, zjedli po kanapce i położyli się spać.

8.

Wystąpiwszy w roli obrońcy mężczyzny duszonego przez krewkiego Zdzisława, Czesław Kisiel poszedł do kolegi Skrobiszewskiego. Umył się, wsiadł na rower i pojechał wprost na spotkanie własnej śmierci. Nie pomogli mu nawet widły użyte w samoobronie.

Zmarł śmiercią gwałtowną na skutek urazu czaszkowo-mózgowego. Oprócz licznych obrażeń zewnętrznych, miał też złamany nos.

Metodą Widmarka w jego krwi wykryto 1,86 promille alkoholu.

Niestety, nie mógł już nie powiedzieć na swoją obronę. Postronni świadkowie też niewiele mieli do powiedzenia, gdyż prawie wszyscy byli pijani.

Zbadano odzież i obuwie zszeszci najaktywniejszych sprawców zabójstwa. Były na nich ślady krwi. Ponieważ jednak nie udało się w pełni ustalić przynależności grupowej krwi denata, stwierdzono, iż ślady na obuwia i ubraniach oskarżonych mogą pochodzić od zabitego oraz od każdej osoby z czynnikami grupowym GM/1.

Wobec powyższego istotnymi dowodami w tej sprawie były: 1. zegarek na rękę marki „Poliot” należącej do denata.

2. zniszczony, połamany rower damski bez marki (a był produkcji radzieckiej), należącej do matki denata.

3. widły oprawione w drewnianym trzonku.

4. deski sosnowe (czyt. sztachety) i ich odłamki w łącznej ilości 28 sztuk.

W czasie pogrzebu ludzie mówili o nieszczęśliwym chłopcu i o jego równie nieszczęśliwej matce, która musi się teraz mężczyzną na gospodarstwo.

Wspominali dzielnego komendanta posterunku MO w Rzgowie, którego specjalnie ściganieto w nocy z domu, aby pokierował akcją pościgową za zabójcami.

Spytały się wnioski i postulaty Najważniejszy był taki: jeśli na podmiejskie zabawy ściganego najgorszy element z miasta i ze wsi, to trzeba by odpowiednio zabezpieczyć.

Jedni pytali, gdzie byli w sobotę dzielni ormowcy, drudzy zaś mówili, co myślą o ormowcach.

Wniosak końcowy: Skono na si strażacy dla utrzymania porządku mają do dyspozycji jedynie atrapy defladowych to-borków oraz kłamy przy swych bejowych paskach, to na zabawie w Prawdzie powinien być przynajmniej dzielnicy z posterunku w Rzgowie. O buciecie zwalczającym alkoholizm nie wspomniano.

Na pogrzebie było więcej ludzi niż na zabawie.

Dla tej grupy utworów bardzo typowa wydaje się powieść Filipa Bajona „Serial pod tytułem” (1976). Pomyślana została jako komiks. Rozpoczyna się obrazkiem, w którym gwiazda otacza słowa narratora: „Kurwa. Duszę się. BANG”. Świat, o którym opowiada narrator przedstawiony zostaje w ścisłej korelacji z „Dziennikiem telewizyjnym”, jako że seriale pokazywane są w telewizji zazwyczaj po głównym wydaniu dziennika. Ten prosty pomysł ma na celu przede wszystkim kompromitację formy: każdy jej przejaw może „gorącemu życiu” jedynie zaszkodzić. Prawdziwego życia nie da się w żaden sposób przedstawić, prawda bowiem to podskórność, podpowierzchniowość, niewidzialność, niezauważalność i taki właśnie jest sens tej powieści. Sens negatywny.

Podpowierzchniowość życia stara się uchwycić proza kobieca. Maria Nurowska w powieściach „Moje życie z Marlonem Brando” (1976) oraz „Po tamtej stronie śmierci” (1977) przedstawia długotrwały proces, jaki dokonuje się w świadomości nadwrażliwej młodej kobiety: odchodzenie od absolutnej bezsilności wobec życia ku stopniowej akceptacji zszarganego świata. Krytyczny stosunek do rodziny, wyidealizowana miłość, śmierć bliskiej osoby, ucieczka w krainę marzeń — to kolejne wyznaczniki owego procesu, który równie dobrze można nazwać pokonywaniem samotności.

Kobiety w prozie Nurowskiej nie potrafią uporać się z nadmiarem uczuć. Uczucia w nich wręcz kipią. Ścierają się uczucia między kobietą a kobietą, między kobietą a mężczyzną. Efekt okazuje się niezmiennie ten sam — kolejna próba rozpoczęcia życia na nowo, której towarzyszy nadzieja iż tym razem się uda. Proza ta polega na puentowaniu nie tyle sprzecznych postaw, co odmiennych sposobów wrażliwości, wywołujących długotrwałe i często nie do przezwyciężenia konflikty. Tak właśnie jest w utrzymanym w realiach stanu wojennego „Kontredansie” (1984).

W prozie Haliny Danilczyk dostrzegamy delikatność w rozpatrywaniu podstawowych spraw egzystencjalnych. Tak jest w powieści „Brasilia jest w tobie” (1978), choć funkcję narratora pełni tu mężczyzna. Jego świadomość znajduje się niezmiennie w „punkcie zerowym”, nie dokonaj jeszcze zasadniczych życiowych wyborów, jakkolwiek czas byłby po temu najwyższy, młody człowiek ukończył bowiem uczelnię i podjął pierwszą pracę. To typowy inteligent pochodzenia wie-

skiego, w wersji opisanej już przez Juliana Kawalca. Głównym rysem osobowości Jacka pozostaje charakterystyczne rozdwojenie: nie jest już człowiekiem wsi, ale też nie potrafi zaaklimatyzować się w mieście. „Brasilia jest w tobie” to jakby mikroodyssey, przedstawia jednodniową — rozpiętą na minuty — wędrówkę po ulicach wielkiego miasta. Trudno oczywiście stwierdzić do jakiego stopnia powieść ta może być parodią, ale nie można przeczyć brać serio człowieka, który do wszystkiego podchodzi z okrzykiem Hamleta. Każda sprawa urasta do rozmiarów niebotycznych. Każde wspomnienie wyzwala rozrzewnienie. Każda trudność równoważona jest marzeniem o przyszłych sukcesach (tytułowa Brasilia

wiad z gwiazdą”, dokonuje weryfikacji życia znanego sportowca, przykutego do szpitalnego łóżka. Z tej perspektywy łatwiej dostrzec życiowe falsyfikaty. Jako jedyną wartość pozostaje oddanie drugiemu człowiekowi. Tymczasem wszystko okazuje się wymysłem samotnej kobiety, odsłaniającej w drugiej części „Lówów” swe marzenia, rozczarowania i fobie. Otrzymujemy precyzyjną i subtelną analizę przeżyć starzejącej się kobiety, która nie traci nadziei na znalezienie partnera i wierzy, że drugi człowiek zrekomensować może dotychczasowe zawady.

Powieść Andrzeja Pastuszka „Dobranoc” (1980) ukazuje rozprzestrzenianie się „filozofii życia codziennego”. Byłe do ju-

ca niż wkurwionym na życie technikiem. Ale inni, ci z odrobiną talentu, cóż ci inni? Zrobili z tego szaletu prywatną mennicę, cynicznie kłamią i budują marmurowe kominki. I jak wy, kurwa, staniacie przed Bogiem?”.

Specyficzną, ostrą uczuciowość prezentuje powieść Dariusza Bitnera „Ptak” (1981). Podczas lektury przypominają się naiwne i wulgarnie pomysły mechanistycznych materialistów, głoszących, że materia wydziela myśl na podobnej zasadzie jak na przykład organizm żółć. Bo też jest to książka po floszce żółcia pisana: bohater doznaje niepowodzeń, bądź zaznaje jedynie namiastek. Jego ciało jest dlań wszystkim, ale okazuje się słabe. Gdy poznał słabość włas-

czytelnika. Świat przedstawiony jest więc zwykłym światem, znanym czytelnikowi. Aby odnaleźć właściwy ton młodzi autorzy zwracają się ku plebejskości. Chcą przyswoić literaturę odruchy najprostsze, co nie znaczy przecież prostactwo. Realność usiłują podnieść do rangi kultury.

## W PÓL DROGI

Teśknoty młodej prozy najzwyklej może ujął Tadeusz Wyrywa-Krzyżaniński w powieści „Kobieta anioł” (1983). Słychać w niej wołanie: „Być, być, być! Kim? Sobą”. I cisza. Zamiast odpowiedzi, jak to osiągnąć. Trudno oczywiście zaprzeczyć, że większość postaci młodej prozy chciałaby być sobą, chciałyby przyjąć spodziewane role społeczne, zadomowić się w teraźniejszości. Tyle tylko, że albo odczuwają zagubienie, albo — co częstsze — nie bardzo wiedzą, jak to osiągnąć. Zastygają w beznadziejnej pozycji.

Co to znaczy, że pisarz chce być sobą? Po prostu usiłuje uodostępnić własne, niepowtarzalne doświadczenie i przeżycie, całe JA chce przekazać w odrębny od innych sposób, chce przemawiać przede wszystkim we własnym — jednostkowym — imieniu. Nie powinna zatem dziwić okoliczność, iż w młodej prozie jednostka z reguły zostaje przeciwstawiona społeczeństwu, a wewnętrzne przeżycie temu, co dzieje się publicznie. Nie zawsze oznacza to odejście od społeczności, bywa także próbą poszukiwania porozumienia między racją osobistą a ogólną. W konfrontacji tego, co subiektywne, z tym, co powszechne, wyraża się przecież jedna z podstawowych racji bytu literatury.

W momencie, gdy zaczynało się rodzić zjawisko, które dzisiaj nazywamy młodą prozą pisał Julian Kornhauser i Adam Zagajewski w głosnej wówczas książce „Świat nie przedstawiony” (1974): „Pełne ujęcie rzeczywistości możliwe będzie dopiero wtedy, gdy nabierze siły pokolenie widzące ten świat od wewnątrz i traktujące go jako swój świat jedyny, nie gorszy, nie alternatywny. Pokolenie to będzie chciało ulepszyć ten świat, wymościć go wartościami, opisać go bezwzględnie i ostro, ale nie traktować jako prawie-niczego, tylko jako wszystko, co jest”. Nie uzbrojonym w szkiełko okiem widać, iż przepowiednia ta nie spełniła się. I sądzę, że w najbliższych latach też się nie sprawdzi. Bo stosunek młodej prozy do rzeczywistości okazuje się niezmiennie ambiwa-

lentny. Efekt rozdwojenia nie pojawia się tu przypadkowo. Ograniczanie się do rejestracji przejawów życia codziennego ma głównie na celu stworzenie małych (choć niekoniecznie zaraz intymnych) światów, w których możliwe są jeszcze prawdziwe ludzkie sprawy i kontakty. Jest to izolacja w pełni świadoma, choć różnie można ją motywować. Chodzi z pewnością o zwięźlenie ambicji poznawczych, o wyraźną niechęć do śledzenia faktycznych sił determinujących kształt dzisiejszych warunków życia. Niemała rolę odgrywać może również niewiara w siłę społecznego oddziaływania literatury.

Jak łatwo się zorientować przedstawilem tylko wybrane tendencje i wybrane utwory z zakresu młodej prozy. Szkic ten traktować można jedynie jako próbę wprowadzenia do opisu tego wciąż kształtującego się zjawiska. Niemniej jednak nawet na podstawie owego fragmentarycznego materiału można bez specjalnego ryzyka odnieść do sytuacji polskiej niedawne spostrzeżenie węgierskiego krytyka. Attila Szalay w artykule „Zamiast recenzji. Rozmyślenia o młodej prozie węgierskiej” („Literatura na świecie” 1979 nr 5) zauważył, że czytając utwory młodych prozaików węgierskich wiadomo, w jakim stopniu są oni obecni w otaczającej rzeczywistości, nie widać natomiast w ich utworach wyrazistej obecności samej rzeczywistości.

Diagnoza świata i człowieka, jaką wyczytać możemy z polskiej młodej i najmłodszej prozy świadczy przede wszystkim o beznadziejności. Jeśli wolno tedy na koniec skorzystać z metafory niezbyt odkrywczej, za to wyrazistej, to powiem, że obraz młodej prozy przypomina widok utrudzonego przedwcześnie wędrowca, który utknął w pół drogi i zadumał się nad tym, czy pójść dalej, czy też zawrócić. Do sformułowania takiego upoważnienia rozdwojenie postaw młodych autorów; obojętne poetyki oczywistości spotykamy poetykę pytań bez odpowiedzi, estetykę iluzji towarzyszy estetyka aluzji, różnokierunkowym przymiarkom towarzyszy zazwyczaj brak zdecydowania i konsekwencji.

Znacznie naganne? Tak, jeśli oznacza uległość pisarza wobec zjawisk pozaliterackich. Nie, jeśli pozostaje on — jak to określiła Maria-Luise Kaschnitz — „megafonem beznadziejności swojej epoki”.

(Fragment większej całości przygotowanej dla Krajowej Agencji Wydawniczej)

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

# Życie prawie na gorąco

symbolizuje nieprzebrane możliwości tkwiące w marzycielu. A tu pospolitość skrzeczy. Ambicja młodego myśliciecia kieruje się ku wykryciu „jedynolitych praw” rządzących światem. O co więc chodzi? O najzwyklejszy banał, o „odkrycie”. Iż wszyscy jesteśmy ludźmi i podlegamy takim samym ograniczeniom typowym dla gatunku. Ale każdy jest przecież inny. Dlatego też musi „dopasować do siebie kształt życia” czyli rozstrzygnąć o indywidualnym losie. I o tym delibruje bohater przez prawie trzysta stron. Rozterki bohatera powieści „Brasilia jest w tobie” wyglądają na zgrzywe, bo nie jest on taki nieswiadomy, za jakiego pragnie uchodzić. Niemal na początku relacji stwierdza: „Dlaczego wymyślać zaklęcia, skoro dana jest nam możliwość czynienia”. A potem z ogromną przyjemnością bawi się w „ciuciubabkę”. Tylko z kim? Ze sobą, z czytelnikiem, czy z prawdziwymi zaklinaczami rzeczywistości?

Kolejna powieść Haliny Danilczyk wydaje się utworem dojrzałym. Zwłaszcza w sprawach warsztatowych. W „Lówwach” (1979) mamy do czynienia z powieścią w powieści. Ta pierwsza, zatytułowana „Wy-

tra. Byłe z dnia na dzień. Zapomnieli o kompleksach i trudnościach, utopili je w alkoholu. Bezsilność i bezradność pokrywają odurzeniem. Udać się silnego, drząc jednocześnie z obawy, iż słabość może się w każdej chwili ujawnić. „Dobranoc” to studium alkoholizmu utrzymane w konwencji okrutnej bajki. Obserwujemy bezskutecznie podejmowaną walkę o powrót do normalnego życia rodzinnego i społecznego. Nie udało się życie bohaterowi powieści, choć miał niezłą szansę: kochającą żonę, syna, talent pisarski. Zgubił go alkohol, który miał stanowić skuteczny lek przeciw różnym wątpliwościom. Spotykamy się z motywacjami znanymi choćby z twórczości Marka Hłaski: świat jest zły, a ludzie wszystko popsuja. Tak więc świat przedstawiony w powieści Pastuszka jest odradzający: brudny dosłownie i moralnie, wulgarny, oszukawczy i zaplącany. Wszyscy oszukują się nawzajem. Nikt nie znajduje wyjścia z zakłętego kręgu „pólistnienia”. Młodego literata stać jedynie na wylewanie żalów pod adresem kolegów po piórze: „Udajcie kulturę, państwo. Większość z was to ludzie niezdolni — im się nie dziwie, muszą żyć, stokrój łatwiej być optymistycznym twór-

nego ciała zrozumiał jasno i precyzyjnie, „jak bezwolną i osamotnioną istotą jest człowiek”.

Twórczość Dariusza Bitnera zmierza w kierunku witalizmu ontologicznego. Jaskrawym tego dowodem okazuje się najnowszy tom jego prozy zatytułowany „Owsem” (1984). Zasadniczą kategorią prozy Bitnera staje się żywiołowy, nieskrępowany i niekontrolowany przepływ zjawisk i wydarzeń, szczegółowa i namiętna rejestracja „potoku życia”.

Jan Bolesław Ozóg zanotował przy jakiejś okazji: „Do ujmowania życia w mity zmusza nas dramat życia, nie lektura”. Dramat życia, jaki zauważamy w utworach rejestrujących okruciny codzienności, polega na emocjonalnym zdawaniu sprawy z groźby zredukowania współczesnego człowieka do roli maleńkiej śrubki w skomplikowanej maszynie życia, na wyrażaniu lęku przed uniformizacją. W ucieczce na margines, w izolacji od głównego nurtu życia szukają ratunku jedni, inni rekompensują sobie wzmogłą uczuciowością, jeszcze inni zastygają niejako w bezwładzie.

Lekcja życia musi trafić do

## Wiersze i piosenki

Włodzimierz Wysocki



Raz tak, raz siak, podłapiasz fart lub przerznięsz jak w pokera, obmyślisz plan, zagrasz w banque, oskubiesz gdzieś frajera, odsiedzisz rok, i znów na skok namówisz kumpli paru, oczyścisz sklep, dasz komuś w łeb i zrobisz go na szaro.

Żyć byle czym, unikać glin i cieszyć się wolnością, Użyłem dość, Pietrowka. Klops. Numer trzydzieści osiem. Poznałem życie z wielu stron, nie bałem się wyroku — gdy wieźli na ludowy sąd, ręce mi drżały trochę.

Dlaczego iza — „ludowy sąd”, ludu tam ani śladu, zwyżsajny sąd, a sędzia — głab od razu mnie obraził, mówię, co było, jak i gdzie, a wyrok — tomem w ciemie! A niech to szlag, nie zgadzam się na takie orzeczenie!

Ja nie o winie — wpadłem, fakt, odsiadka rzecz normalna, ale wpisał mi do akt, że rozbój był brutalny, nieprawda — powiesz grzecznie „Cześć”, pogmerasz po kieszeniach — i gdzie tu kastet, nóż czy pięść? Zmieniacie orzeczenie!

Ech, byłby tłum, podniósłbym szura i rzekł: Kochani moi! O co ten wrzask, wszak każdy z was hołubił mnie i poił.

8 ODGŁOSY

każdy mi forszę dawał sam, bez krzyków i skandali, dzięki serdeczne wszystkim wam, coście mi tak dawali.

I ludzie z ław nie szczedzą braw wstawiliby splotani, a ja bym wołał, tonąc w łzach: — Dziękuję wam, kochani, to by jak nie zadało kłam sędziowskiemu przypuszczeniom — jakże wam w oczy spojrzę mam z tak wrędnym orzeczeniem?

## Piosenka o rozstrzelanym echu

Na górskiej przełęczy, w sąsiedztwie obłoków i smreków, wśród skał niedostępnych i stromych, gdzie nie wspiął się nikt, nie wspiął się nikt.

mieszkało wesołe, wesołe, figlarnie, śmiejące się echo, gotowe jak druh odpowiedzieć na krzyk, ludzki krzyk.

Gdy jesteś samotny i widzisz, że szlak się urywa, urywa, gdy jęk o ratunek w kamiennej potoczey się toń, potoczey się toń, podchwycił go echo, uniesie, zanieś, zanieś troskliwie do tych, którzy ruszą na pomoc, by podać ci dłoń.

I co jest przyczyna, czy szaleć, czy płotun, czy błąkać, czy błąkać, że obłąd ogarnia w człowieku i serce, i mózg, serce i mózg? Zjawili się ludzie, by zabić wesołe, przyjazne im echo, związali je mocno i knebel wcisnęli do ust.

I mieli zabawę, i mieli mordery uciec, uciec, a ono młazało, choć klei i bili do krwi, i bili do krwi; o świecie, gdy poszli rozstrzelać bezbronne, umilkła już echo, że skał poronionych trysnęły kamienie, jak izy...



Czy pisze coś, czy robię coś, czy przyjdzie jakiś gość, albo blondynka pewna wpadnie na herbatę, wrażeń mam, że dzień i noc przygląda mi się ktoś — dyskretny, niewidzialny obserwator.

Zrywam się, zaglądam wszędzie, przetrząsam każdy ką, narzeczona ma prelekcję, bo nic z tych rzeczy z nią, z narzeczoną o pogodzie rozmawiamy aż po brzask, nic innego nie wychodzi, gdy on patrzy cały czas, mądrze mi, paskudnie mi, lecz trudno...

Na wódkę mam ochotę, a kto nie lubi pić, lecz wódka dziwnie grzeźnie mi w przelęku, to znowu on — przygląda się, jak gdyby nigdy nic, i każdy łyk podlicza w notesiku.

Ponoś mnie, wychodzę z nerw, wyteżam cały spryt, nacłagam koc na łeb i głośno chrapie, na stole są zakąski i koniak stławiam litr, polaszcy się — i wpadnie w moje łapy...

Złosiłwy z niego drań, na przykład wczoraj podczas gry — jak dorwę, ukatrupię go, bydlaka! — chciałem powiedzieć tref, zaglądam w karty — a tu pik, a w banku, kurczę, trzy patyki z hakiem!

Dziś rano w pracy pewien list dał mi przeczytać szef, niesamowicie głupi wręcz anonim, ja ten charakter pisma znam, no tak, już wiem, psiakrew, to on, ten obserwator, mój rodzony!

Rozpoznałem przeciwnika — domyślać się już? Macie rację, ta blondynka, co to z nią ani rusz, oniamiałem... ta blondynka... Postawiłem oczy w słup, pytam: — Ale czemu, Ninka? — Bo nie mówisz, kiedy ślub! Mądrze mi, paskudnie mi, lecz trudno...

Tłum. MICHAŁ B. JAGIEŁŁO



# Bigos hultajski

Mieszanka firmowa  
literacko-obyczajowa

## KACZKA PO WŁOSKU

W naszej kuchni literackiej stanowczo za mało przepisów kulinarnych. Aby temu zaradzić oddaję głos Józefowi Rogoszowi „Wspomnienia z Włoch od roku 1864 do 1887” (Lwów 1876), nie zalecając wszakże naszym panicom podobnych rozwiązań z powodu braku niezbędnych po temu opierzonych „produktów spożywczych”:

Było (dwóch złotych młodzieńców z Księstwa Poznańskiego). Obadwaj majątni, obadwaj młodzi, obadwaj weseli, obadwaj lekkomyślni. Przyjechawszy do Florencji, stanęli w hotelu New-York nad brzegiem Arna. Przyzwyczajeni w domu do wcześniejszych obiadów, zeszli do restauracji o godz. 4-tej. W sali zastali jednego tylko garsona, który po francusku nie rozumiał, a nasi panowie nie mówili słowa po włosku. Jeden zaprzagnął kaczki. Mówi po francusku, garson mu odpowiada: — Non capisco. Powtarza nazwisko ptaka po niemiecku, garson odpięra: — Non comprendo. Zrozpaczony młodzieniec wpada na genialny pomysł. Zwracając się do garsona, nasładowuje ile możności głos kaczki, woła kilkakrotnie:

— Kwa! kwa!

— Ho, capito! — odpowiada Włoch domyślając się i pędem z sali wybiega.

Po upływie dwudziestu minut wraca z jakimś ptakiem na półmisku. Nasz smakosz przypatrzy się z niedowierzaniem, zaczyna krajać, ptak twardy jak żelazo. Tymczasem nadszedł garson starszy, mówiący kilkoma językami.

— Co on mi przyniósł, tego jeść nie można! — woła rozgniewany syn Wielkopolski.

Nastąpiła krótka konferencja między starszym a młodszym garsonem.

— To, co eccellenza rozkazał! Świeżo ubita, wybrałszy najpiękniejszą, kucharz zapłacił za nią 30 franków.

— Czy być może? Wszak w Paryżu kaczka kosztuje najwięcej pięć franków.

— Ależ to nie kaczka, to papuga!..

Chłopiec słysząc głos gościa był pewny, że chce papugi i nią go poczęstował. Głosu kaczki on nie słyszał, a papugi wrzeszczała we Włoszech niemal w każdym oknie.

## CHARAKTERYSTYKA BISKUPA

Krasicki nie miał nic wspólnego z ascetyzmem średniowiecznych księząt Kocińskich, był natomiast nieodrodnym dzieckiem wieku Oświecenia, uosobieniem tych cnót i przywar, które niosło francuskie rococo i niemiecki galante Zeit. Najlepiej te cechy charakteru młodego biskupa, który dopiero co dochrpał się bogatej diecezji warmińskiej, dostarczył współczesny mu anonimowy wierszopis.

*Biskup warmiński, gładyś gładkich  
sentymentów.  
Nie lubi mieć o wiare trudów i zakrętów.  
Czyli w tej, czyli w owej wierze, żyć jest  
jedno,  
Lepiej zawsze w rozkoszy, niż tam kędy  
biedno.*

Gdy idzie o kwestię wiary, opinia wierszopisa jest krzywdząca, stanowi duchowemu i religii pozostał bowiem Krasicki wierny do końca życia, umarł przecież jako wysoki dostojnik Kościoła — arcybiskup gnieźnieński. Prawdą jest natomiast, że był sybaryta, a oświecony liberynizm dodawał mu uroku, był zresztą w owych czasach przywiejem ludzi gruntownie wykształconych.

## TOASTY

Były namiestnik Galicji hr. Kazimierz Badeński urządził u siebie przyjęcia, na których bywały przeważnie osoby blisko z nim żyjące. Jednym z zaufanych namiestnika był bardzo zdolny i cioty w języku adwokat Majewski. Podczas jednego z takich przyjęć, kiedy już rozpoczęto toasty, podniósł się sam gospodarz, który lubił być czasem złośliwy i wzniósł toast na cześć Majewskiego:

*Tam gdzie są duże psy, tam i małe pieski,  
Vivat! niech żyje adwokat Majewski!*

Skoro tylko namiestnik skończył, zadzwonił Majewski nożem w szklankę i z miejsca odpowiedział:

*Wielka sława dużego, gdy małego ceni,  
Vivat! niech żyje wielki pies Badeński!*

„Kurier Literacko-Naukowy”, 1927, nr 108

Opracował:  
ANDRZEJ KEMPA



## W poszukiwaniu straconych ideałów

### „RECE DO GÓRY”

Reżyseria, scenariusz, scenografia: Jerzy Skolimowski.  
W rolach głównych: Jerzy Skolimowski, Tadeusz Łonicki, Joanna Szczepińska, Bogumił Kobiela, Adam Hanuszkiewicz.

Wreszcie po osiemnastu latach od momentu powstania na ekranie wchodzi zatrzymywany do tej pory na półkach film Jerzego Skolimowskiego „Rece do góry” film obrosły mitem i legendą. Po tak długim okresie przychodzi mu skonfrontować się z aktualnymi postawami percepcyjnymi odbiorców. Czy z tej konfrontacji wychodzi zwycięsko, w czasach królujących „Gwiezdnym wojen” i „Klasztorów Shaolin”? Myślę, że zdecydowanie tak, choć jest to pozycja przeznaczona dla odbiorcy poszukującego w kinie innych wartości, niż tylko rozrywkę. Można rzecz, że czas (co w kinie jest rzeczą niezmiernie istotną, gdyż filmy potrafią starzeć się niezwykle szybko) obeszła się laskawie z filmem Skolimowskiego, mimo że powstał on w 1987 roku i obrazuje ówczesny stosunek pokolenia trzydziestoparolatków do rzeczywistości lat 60, jak i do historycznych doświadczeń. Jednak elementy uniwersalności sprawiają, że film ten może być interesujący od względem intelektualnym zarówno dla pokolenia ZMP, jak i dla pokolenia ich dzieci.

Jerzy Skolimowski, zanim rozpoczął swą karierę filmowca, tworzył poezję. Fakt ten jest o tyle istotny, że przenosił on później na ekran elementy niejako wynikające z poezji i jej przynależne łączenie znaczeniowo-odległych obrazów i metafor na taśmie filmowa, wypracowując swój własny styl, oparty na ciągu skojarzeń, impresji, subiektywnych odczuć. Jego filmy przypominają pod względem konstrukcji i narracji luźną, choć niezmiernie precyzyjną mozaikę. W ten właśnie sposób budowana była „Bariera” i „Rece do góry”. Te dwa filmy odznaczają się spośród czterech zrealizowanych w Polsce największą symboliką i metaforą. Z zagranicznych dorównuje im tylko „Wrzask”.

W „Rekach” Skolimowski posługuje się wielowarstwową symboliką, podporządkowaną przekazowi treściowemu i ideowemu. Już sam wybór przestrzeni filmowej nacechowany jest silnie znaczeniowo. Grupa przyjaciół spotyka się na balu z okazji zjazdu absolwentów, po czym udaje się w na polę realną, na polę wyimaginowaną podróż do jednego z przyjaciół, który ma znajdować się o „15 km na prawo lub na lewo”. Podróż odbywa się w towarowym wagonie. Skolimowski tworzy zamkniętą przestrzeń — wagonu. Przypomina ona sytuację zamknięcia w egzystencjalnej klatce, w jaką wpadli bohaterowie „Rak”. Mają oni po 30 lat w życiu są ustawieni (każdy z bohaterów

nie ma imienia, gdyż imion już nie pamiętają, za to posługują się markami swoich samochodów: Alfa, Romeo, Wartburg, Zastawa, Opel), mają pieniądze, pozycję, żony, dzieci, lecz gdzieś po drodze, którą teraz odbywają w przeszłość, w poszukiwaniu straconych ideałów młodoci, zatraćli własne twarze.

Należy pamiętać, że okres lat sześćdziesiątych w społeczeństwie polskim był czasem, w którym zaczęto odchodzić od wielkich haseł wynikających z powojennej rzeczywistości na rzecz coraz bardziej widocznych postaw konsumpcyjnych, tzw. małego realizmu i narastającego etosu drobnomieszczanstwa, którego status majątkowy zaczął ulegać poprawie. Wszyscy bohaterowie, jedynie może poza alter ego reżysera — Andrzejem Leszczycem, pojawili się on w poprzednich filmach: w „Rysopisie” jako chłopak idący do wojska, poszukujący w życiu wartości, w „Walkowerze” jako bokser utrzymujący się z pierwszych kroków bokserkich, i wreszcie w „Barierze” jako ten, który praktycznie wybrał drogę, prowadzącą do własnego samochodu, choć u niego jeszcze toczy się walka o pewne ideały, który próbuje odnaleźć siebie sprzed lat, mimo że i on uległ konsumpcyjnym nastawieniom i ma „upragniony samochód i lodówkę”. Skolimowski bezwzględnie obnaża swoich bohaterów z ich życiowej postawy, zderzając i konfrontując ich młodzieńcze ideały z okresu ZMP, z latami sześćdziesiątymi. Dokonuje rozrachunku pokoleniowego. Andrzej należy do tych bohaterów, którym czas ZMP dał się najbardziej we znaki. Za przykrocień dwóch par oczu Staliniści zostaje wyrzucony z uczelni i z akademika. W ciągu jednego popołudnia przerażony perspektywą własnej młodości szuka nowej drogi życiowej. Jak się później okazało, udało mu się w końcu zrobić dyplom. Andrzej staje się pokoleniowym „męczennikiem”, (świetna metafora z przyłożoną nad głowę patelnia), który w tamtych czasach, podobnie, jak jego koledzy, nie miał nic za wyjątkiem łóżka w akademiku, a z biegiem lat upodobał się do ich postaw, znamionujących jednak olbrzymi kryzys wartości.

Bohater Skolimowskiego prowokuje tę podróż w głąb siebie i przyjaciół, aby podjąć próbę poszukiwania innych wartości i samookreślenia się na dalsze lata życia.

Pokolenie ZMP szukało takiego określenia się wobec pokolenia ojców, biorących udział w wojnie. W „Rekach” Skolimowski konfrontuje postawy dzieci wobec ojców, mówiąc, że takimi wagonami, jakimi oni tej nocy podróżują, ich otcowie byli wywożeni na śmierć, do obozów, a oni jada teraz jak bytło, i zachowują się jak zwierzęta. Nie przypadkiem profesją Andrzeja jest właśnie weterynaria. Zestawiając pokolenie Kolumbów, którzy mierli swoje barykady, na których ginęli w chwale bohaterów z

pokoleniem ZMP, tych późniejszych wobec możliwości wykazania się bohaterstwem, Skolimowski daje własną analizę kształtowania się późniejszych postaw, obrazując zarówno jednoczesną odmienność, ale i ciągłość pokoleniową. Bohater Skolimowskiego w pewnym sensie jest zafascynowany tym rodzajem śmierci, w jaki ginęli Kolumbowie, a i sama śmiercią w ogóle. Odgrywa ona w metaforze Skolimowskiego niezmiernie istotne znaczenie. W stosunku do śmierci na „barykadzie” uwidacznia się to w padających zza kadru strzałach z pistoletu maszynowego, natomiast śmierć w znaczeniu przejścia z jednego stanu: stanu ruchu działania w stan fizycznego zastępnictwa pojawia się w postaci zagipsowanego „Wartburga”, którego trochę dla zabawy, dla kawału, a jednocześnie dla umysłowania sobie nieuchronnych praw biologii, przyjaciele przemieniają w mumie.

Skolimowski tworzy w „Rekach do góry” poetyckie wizje, podobnie jak czynił to w „Barierze”. Posługuje się symboliką wyrosłą z tradycji nieomal chrześcijańskiej. Zagipsowany Wartburg ma rozłożone ręce jak Chrystus, motyw ten pojawił się już w „Walkowerze”, w postaci człowieka zawieszzonego na słupie telegraficznym. Do ulubionych motywów stosowanych przez Skolimowskiego należy poetyka ognia, palących się świec. Mają one symbolizować pamięć o poległych, zmarłych, jak i są elementem plastycznym, scenografii, zaprojektowanej przez samego reżysera. Kiedy kończy się noc i okazuje się, że wagon nie ruszył się wcale z miejsca, czyli w życiu bohaterów praktycznie nic się nie zmieni i dalej będą oni tkwić w malej, zastępnym stabilizacji, Skolimowski wykorzystuje motyw oczyszczenia z dręczących ich wątpliwości poprzez katarsyczne obmycie wodą na kolejowej rampie, na której stoi platforma z nowymi samochodami. Jakże celny to skrót myślowy!

„Rece do góry” są świetnym przykładem na wykorzystanie plastyki i operowania dwoma tylko barwami: bielą i czernią. Skolimowski wytworzył prawie ekspresjonistyczną wizję, wykorzystując bezbłędnie antynomie bieli i czerni. Już na balu Andrzej ubrany, jak i jego koledzy, w czarne garnitury i białe koszule (pewnie typu non-iron) odsłania twarz obwiązaną bandażami.

Już z tych zaprezentowanych uwag wynika jasno, że „Rece do góry” stanowią interesującą pozycję dla miłośników kina opartego o symbolikę i metaforę. Są też wręcz idealnym przykładem na wycucie filmowej formy, co uczyniło Skolimowskiego jednym z najoryginalniejszych twórców w historii polskiego filmu.

WALDEMAR  
BĘDZIŃSKI

# Kronika kulturalna

**STOWARZYSZENIE Twórców Kultury w Łodzi** przyznało doroczną nagrodę im. Przeciawa Smolika za wybitne osiągnięcia artystyczne lub twórcze inicjatywy w dziedzinie kultury i sztuki. Laureatem nagrody został Zbigniew Warpechowski, malarz, poeta, teoretyk sztuki, twórca działań typu performance i happening. Wcześniej nagrodą tą uhonorowano m. in. realizatorów filmu „Robotnicy”, A. Chodakowskiego i A. Zajackowskiego, A. Mrocza i pracowników Muzeum Sztuki w Łodzi.

**15 LUTEGO** w Stowarzyszeniu Twórców Kultury odbył się wieczór poezji i plastyki **Bożeny Markowicz**.

**UNIwersytet Łódzki** był organizatorem sesji naukowej, która odbyła się w gmachu Biblioteki Uniwersyteckiej. Sesja poświęcona była **prof. dr Helenie Więckowskiej**, jej życiu i działalności. Jednocześnie z sesją otwarta została wystawa pt. „Prof. Helena Więckowska we wspomnieniach współpracowników i uczniów”.

**W STOWARZYSZENIU Twórców Kultury** w Klubie Prasy odbyło się interesujące spotkanie z **prof. Iją Lazari-Pawowską**.

**25 LUTEGO** w Domu Technika z inicjatywy Naczelnej Organizacji Technicznej i Rady Wojewódzkiej Federacji SNT NOT odbyło się spotkanie z okazji 40-lecia Technicznego Ruchu Stowarzyszeniowego w Łodzi.

**W PABIANICACH**, w „Pamotexie” 21 lutego odbyła się sesja popularyzacyjna pt. „Hitlerowska polityka eksterminacyjna wobec mieszkańców Pabianic (1939—1945)”.

**W BIURZE** Wystaw Artystycznych w Galerii Bałuckiej czynna jest wystawa pt. „Akwareliści 84”. Natomiast w Galerii Sztuki BWA obejrzeć można malarstwo, grafikę i rysunki **Cecylii Wodnickiej-Ząbkowskiej** i **Józefa Lucjana Ząbkowskiego**.

**6 MARCA** Związkowy Ośrodek Kultury Służby Zdrowia organizuje dla miłośników fotografii spotkanie autorskie „Fotografia Edwarda Kocińskiego”. W środę także rozpocznie się tu koncert pt. „W świecie muzyki”. Tego samego dnia, wieczorem odbędzie się koncert **Tadeusza Chyły**.

**W MUZEUM** Historii Miasta Łodzi odbyło się kolejne spotkanie z autorem łódzkich oficyn wydawniczych, Gościem Rady Łódzkiej PRON był **Edward Szuster**, autor wielu znanych, nie tylko w Łodzi, książek. Ostatnią pt. „Jedenaste dni” można było kupić w hallu muzeum, podczas spotkania. Wieczór uświetniła **Teresa May-Czyżowska**, która przy akompaniamencie **doc. Tadeusza Chmielewskiego** śpiewała pieśni moniuszkowskie.

**W CENTRALNYM** Muzeum Włókiennictwa otwarta została wystawa przygotowana przez Zjednoczone Muzeum Historyczno-Rewolucyjne w Iwanowie. Wystawa nosi tytuł „Z ojczyzny iwanowskich perkali”. Wśród eksponatów znajdują się m.in. tkaniny zdobione w słynne bukiety charakterystyczne dla wzornictwa okręgu iwanowskiego oraz autentyczne stroje ludowe z XVIII i XIX w.

**W GALERII FF** przy DDK Łódź-Widzew czynna jest wystawa fotograficzna **Krystyny Andryszkiewicz** „Wnętrze z uwiecznioną”

**ZWIĄZKOWY** Ośrodek Kultury Służby Zdrowia 3 marca zorganizował kolejną „Dziecięce spotkania klubowe”. Gospodarzami kabaretu byli łódzcy aktorzy **Janina Borońska** i **Andrzej Łągwa**.

**W WARSZAWIE**, w Teatrze Narodowym w minioną sobotę odbyła się premiera sztuki **Maril Dąbrowskiej** „Geniusz sierocy”. Adaptacji dokonał i sztuce reżyseruje **Jerzy Krasowski**. Scenografię przygotował **Jerzy Michałak**. Grają m.in. **Halina Kossobudzka**, **Krzysztof Chamec**, **Stanisław Mikulski**, **Jerzy Nalberczak**, **Kazimierz Wichniarz** i **Janusz Zakrzęski**.

# Mnie nie wolno się pomylić...

Rozmowa z pogromcą węży CZESŁAWEM WARAOKSA

CZESŁAW WARAOKSA jest artystą estradowym o unikalnej specjalności — pogromcą węży. Obecnie jest jedynym w Polsce, który prezentuje program z wężem na estradzie. Pyton tygrysi, który wychodzi z wiklinowego kosza i oplata szyję, ramiona, ciało człowieka robi na publiczności duże wrażenie. Łodźnianie mogli to obejrzyć w programie „Variete” przygotowanym przez agencję koncertową „STOMUR”.

Niezbyt często rozmawia się z artystami iluzji, sztuk cyrkowych i pogromcami dzikich zwierząt lub gadów. A przecież i oni, podziwiani, oklaskiwani przez masową i lokalną publiczność, prezentują wysoki stopień profesjonalizmu swoich niecodziennych lub wręcz unikalnych umiejętności.

„Odgłosy” odwiedziły Czesława Warakę nie tylko w programie „Variete”, ale i w jego apartamencie w łódzkim Grand Hotelu, który zajmuje wraz ze swoim wężem, umieszczając tego ostatniego w hotelowej łazience przy hotelowym grzejniku.

Do pokoju nr 527 nigdy nie wchodzi obsługa hotelu, bo kto wie — czy jego mieszkaniec, pyton tygrysi, nie jest przypadkowo w złym humorze?

Jaki jest ten pana węź?  
Bardzo różny. Potrafi być sympatyczny i chętnie przypelza do moich nóg i rąk, ale bywa też nieprzyjemny, wręcz groźny i wtedy syczeniem daje znak, że wolałby być sam. Liczy sobie 3 metry długości, ale ma 4 lata i ciągle rośnie, do długości 6 m i wagi kilkudziesięciu kilogramów. Kolor ciemnozielony w żółtawe pregi.

Płeć?  
Męska.  
Po czym można to poznać?  
Rozpoznawalność jest praktycznie niemożliwa i tylko wytrawny fachowiec poprzez specjalne badania lekarskie może rozróżnić płeć węży.

Jak trafił do pana?  
Otrzymałem go w prezencie. A jak pan trafił do węży?  
Kilka lat temu oglądałem występ pary pogromców węży i bardzo mi się spodobał, nie przypuszczałem wtedy, że sam będę się tym zajmował. Mój

pierwszy kontakt z wężem zaczął się w chwili, gdy otrzymałem pytona od koleżanki z RFN, która kupiła go dla mnie w hamburskim sklepie zoologicznym.

Pyton tygrysi wygląda groźnie, ale praca z boa dusicielem to jeszcze wyższy stopień odwagi u jego właściciela?

Waż boa, z którym pracowałem jednocześnie, gdy pyton był mały i traktowałem go jak zabawkę-bransoletkę, należał do kolegi, który pasjonował się tymi gadami. Boa o imieniu Uduś miał zupełnie inny charakter niż pyton, był bardziej impulsywny, wszystkiego ciekawy, bardzo ruchliwy. Zginął w grudniu ub. roku w Zielonej Górze, zatrując się wodą z miejscowych wodociągów. Jak więc widać, węże są bardziej wrażliwe niż ludzie, bo nam pijącym tę samą wodę nic się nie stało. Po Uduśiu zostanie mi tylko skóra.

Mózg węży jest mały, a więc i inteligencja minimalna?

Tak, jego reakcje powodowane są instynktem, a nie rozmyślnym działaniem. Węże reagują podobnie jak inne zwierzęta na strach, głód, warunki w jakich się znajdują. Czując się bezpieczne i niezagrożone wykazują dużą swobodę.

Który z węży jest najdłuższy i najgroźniejszy?  
Najdłuższe są anakondy, największy respekt czubym przed grzechotnikiem, bo słyszałem, że jego ukąszenie powoduje zgorzele, który natychmiast trzeba wyciąć.

A jak to się ma do pytona tygrysiego?  
Nie jest on najdłuższy, jego ukąszenie nie powoduje zgonu, nie trzeba więc usuwać fragmentu ciała, jedynie zęby, które może zostawić przy ukąszeniu w ranie.

Czym karmi pan swego pupila?  
Drobnymi gryzoniami, szczególnie lubi świnki morskie i króliki.

Waż te świnki i króliki polyka, zagryza, przeżuwa?  
Dusi i polyka w całości. Bezkrwawo.

I pan może spokojnie patrzeć na to morderstwo w biały dzień?  
Mam kilku przyjaciół do pomocy, którzy lekko ogłuszają

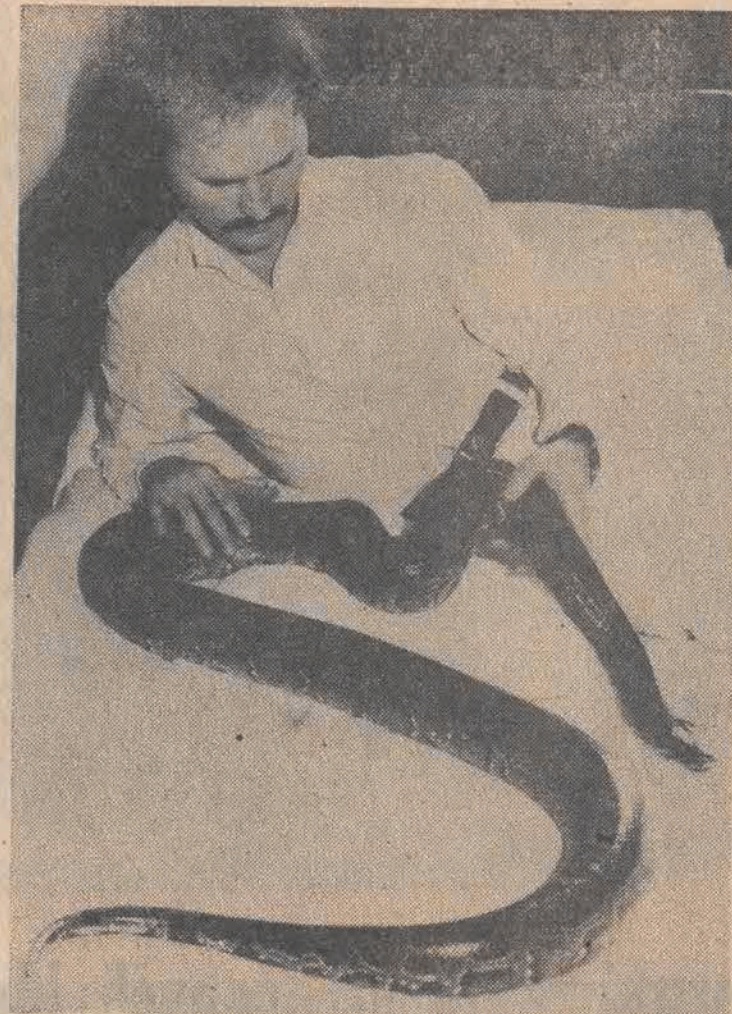


Foto: Grzegorz Galasiński

te miłe zwierzęta.  
Królik po poknieniu stoi nogami do tyłu w węży i czeka na...?

Ogłoszony królik jest bezpośrednio podawany wężowi, który chwytą go za głowę, dusi i polyka. Tuż po poknieniu wyraźnie widać w ciele węży jak jest ułożony królik, gdzie ma głowę, a gdzie nogi. Robi to niesamowicie wrażliwie, taki stan trwa kilka dni i w tym okresie nie pracuje z wężem.

Jak często podaje pan wężowi żywe pożywienie?

Dość różnie. Przed przyjazdem do Łodzi, a przyjechałem tu w październiku, waży nie jałd nie prawie dwa miesiące. Za to ostatnio w ciągu jednego miesiąca zjadł cztery świnki morskie i dwa króliki.

Takie pożywienie proponuje mu co dwa-trzy tygodnie. Nie innego nie przyjmuję.

Nie było wypadku, żeby waży zaatakował człowieka?

Dwa razy zaatakował, przez przypadek, skończył się na niewielkiej ranie i nieco większym strachu.

A kiedy nie jeździ pan po Polsce i odpoczywa wraz ze swoim pupilkiem w domu?  
Waż ma specjalne terrarium w mojej willi na Wybrzeżu. Jest ono dość duże, wielkości

pół pokoju. Ma mały basen, skałki, konary drzew. Panuje tam temperatura ok. 30 stopni. Myślę, że jest mu wygodnie.

A kiedy wężowi znużył się domowe terrarium?

Wydawałoby się, że w tak ciepłarnianych warunkach powinien czuć się dobrze, ale zdarzyło się, że wypełzał z terrarium do pokoju i gdy wracałem do domu — mieszkanie wyglądało jak wielkie pobożstwo. Obrazy, kilimy znajdowały się na podłodze, potłuczona porcelana, np. zniszczył mi stary i cenny zegar. Początkowo myślałem, że to wianami, ale wystąpiła spod kanapy główka węży wyprowadziła mnie z błędu.

Tak bywa w domu, a na estradzie? Jak działają na węża reflektory, kolorowe światła, tłum ludzi wpatrzony w każdy jego ruch?

Czasami bywa zdenerwowany, co ja odczuwam na swojej szyi, którą mocno oplata.

Waż owiwa swym długim ciałem pana szyję, a pan wiąże je na pęki, rozwiązuje, wkłada główkę węży do ust i nie ma w tym nic z czarnej magii?

Nie, to tylko cierpliwość, przyzwyczajenie, oswojenie. Na

razie ma ochotę zaglądać do moich ust i jak do tej pory udaje się to bez wypadku i konsekwencji. Pomaga moja wytrzymałość i cierpliwość.

Później pełnia po estradzie, zbliżając się do pierwszych rzędów, aby pan złapał go w ostatniej chwili i wsadził do koszyka?

To część numeru mroząca widzom krew w żyłach. Reakcje są różne, panie piszcza, a panowie udają, że się nie boją. Każdy ruch pytona bacznie obserwuję i nie dopuszczam do ewentualnego skoku na przerażonych widzów.

Jak silna musi być pana koncentracja przy tym niebezpiecznym numerze?

Można by ją porównać do koncentracji minera, który co prawda myli się raz, mnie nie wolno się pomylić ani razu. Pracuję przecież w bezpośrednim kontakcie z ludźmi, bo nie chodzi tu tylko o mnie.

Widział pan innych pogromców węży w akcji na estradzie?

Widziałem tylko raz w zachodniemieckim programie telewizyjnym, gdzie pani otaczająca się dwoma pytonami w oparach dymu przy bardzo ekspresyjnej muzyce i oświetlonej tańcząca. Było to bardzo efektowne.

W Polsce ostal się pan sam w swojej specjalności, co przy braku konkurencji może doprowadzić do zrutynizowania i braku ambicji w wymyślaniu wciąż nowych, bardziej atrakcyjnych układów z wężem?

Od tego roku prawdopodobnie będę miał konkurencję w osobie pani Grażyny Galusko, młodej pogromczyni lwów, tygrysów, pum i panter, która ma dwa maleńkie pytony i jednego boa i zamierza z nimi wystąpić w cyrku „Arena”. Będzie więc musiał powiększyć gromadkę swoich pupilów do 3-4 węży.

Woli pan bawić się z pytonem tygrysim czy z tygrysem w cyrkowej klatce?

Bardzo chciałbym spróbować tresury dzikich kotów...

Dlaczego więc nie występuje pan w cyrku?

Z wielu powodów, chociażby dlatego, że pracując na estradzie sam ustalam terminy występów, urlopów, przerw, wybierając takie kontrakty, które mi najbardziej odpowiadają.

W cyrku jest praca ciężka, co powodowałoby, że nie byłbym w ogóle obecny w domu.

Jak wygląda status zawodowy takich artystów jak pan?

Mimo że pracuję na estradzie, jestem zarezerwowany w kategorii artystów cyrkowych. Uprawnienia zawodowe daje szkoła cyrkowa lub ministerialny egzamin weryfikacyjny. Wszelkie świadectwa pracownicze określają oddzielne przepisy takie jak wszystkich artystów.

Pana dodatkowa specjalność to żonglerka i polkanie ognia?

Jest ona uzupełnieniem pokazów z wężem, chociaż coraz częściej myślę o tym, żeby odejść od popisów z ogniami na rzecz bardziej urozmaiconego programu z wężami.

Co jeszcze potrafi pan robić jako artysta estrady?

Z różnym skutkiem śpiewam i prowadzę programy estradowe. Cieszę się, że już tego nie robię.

I kto by się spodziewał patrzeć na pana drobną, szczupłą sylwetkę, delikatne rysy twarzy, że to pogromca węży dusiocieli?

W pracy z wężami bardziej liczy się spokój, łagodność, refleksja aniżeli siła i masywna budowa ciała.

Czasami niski wzrost, dziewczęca buzia czy małe dłonie wywołują u mężczyzn kompleksy i wymyślają sobie inuymi, np. pogromcami dzikich zwierząt, węży, słoni. Te węże to taki pana pomysły na siebie?

Węże to moja pasja, a nie antydotum na kompleksy i bez węża czuję się wystarczająco meski.

Kto tu kogo utrzymuje: pan węży czy węża pana?

Utrzymujemy się wzajemnie.

Zarobki są zapewne wysokie, bo i ryzyko duże?

Za występ otrzymuję od 1500 do 2000 złotych.

A dodatek za trudne warunki pracy i nocną porę?

Tego się nie uznaję.

Uchylili się drzewi łazienki... Widać, że wąż poczuł potrzebę przywitania się z panem.

Drzewi były nie domknięte... Przepraszam, nie zauważyłem, waży zakończył kąpiel w łazience. Niech pan spojrz — jaki jest czysty i śliski.

Proszę natychmiast zamknąć tego gada w koszyku!!!

Zgoda, ale on tego nie lubi. Jest przyzwyczajony do swobody i przestrzeni. Ale niech się pan nie boi, proszę go pogłaskać.

Nigdy nie odważyłbym się dotknąć tego śliskiego ciała!

Ależ on wcale nie jest śliski, jego skóra jest atlasowa i niezwykle przyjemna w dotyku.

Fe, całuje pan tę galaretowatą skórę!  
Bardzo lubi takie pieszczoły. To go uspokaja.

Tylko — kto teraz całuje pana, gdy o tym przeczyta w „Odgłosach”?

A wie pan, że nie zastana-wiałem się nad tym.

Rozmawiał:  
BOHDAN  
GADOMSKI

# „Niech żyje rock!”

Niedawno zachodnia prasa muzyczna doniosła o ukazaniu się w sprzedaży dwupłytkowego albumu nie istniejącej już od dwóch lat grupy The Who. „The Who's Last” jest zbiorem nagrań koncertowych, zarejestrowanych w 1982 roku. Zanim płyty dotrą do Polski warto przypomnieć ten interesujący zespół rockowy.

„The Who” zajmują szczególne miejsce w historii rocka i w naszych sercach. Tak o brytyjskim zespole powiedział krytyk muzyczny Dave Marsh. Nie sądzę, aby pod tym stwierdzeniem mogli podpisać się polscy melomani. Pete Townshend, Roger Daltrey, Keith Moon i John Entwistle, mimo iż należeli do najwybitniejszych wykonawców rocka, nie cieszyli się u nas popularnością. Od agresywnej muzyki The Who woleliśmy bardziej melodyjne piosenki Lennona i McCartneya. Tymczasem w Wielkiej Brytanii część krytyków uważa, że to właśnie The Who — bardziej niż The Beatles, których twórczość łączyła wiele stylów i form muzycznych — zasłużyli się dla rozwoju klasycznego rocka, zdecydowanie oddziałając go od innych odmian tzw. „muzyki popularnej”.

Początki działalności grupy związane były z młodzieżowym ruchem „Mod”, który rozwinął się w Wielkiej Brytanii w latach sześćdziesiątych. Jego uczestnicy wywodzili się głównie ze środowiska robotniczego. Łączyły ich podobne zainteresowania i problemy. Próbowali znaleźć własną receptę na życie, odrzucając rozwiązania, które proponowało im starsze pokolenie. Czesali się na modny styl francuski, nosili białe koszulki, kuse marynarki, proste spodnie z mankietami i włoskie buty. Marzyli o pokrytych chromem skuterach, a ucieczki od kłopotów dnia powszedniego szukali w ulicznych walkach z rówieśnikami i muzyce. „Nasze możliwości były ograniczone” — wspominał Roger Daltrey, wokalista The Who. „Jeżeli ktoś nie chciał pracować w fabryce, mógł zostać bokserem, piłkarzem, przestępcą lub piosenkarzem. Mnie zbawił rock and roll”.

Pierwszą płytę, zawierającą piosenki „I'm The Face” i „Zoot Suit” zespół nagrał w 1964 roku. Wcześniej Townshend i jego koledzy występowali w klubach, początkowo jako The High Numbers, później pod nazwą The Who. W 1963 roku wzięli udział w koncercie, którego gwiazdą była grupa The Rolling Stones, lansująca swój pierwszy singel z utworem „Come On”. Wspominając po latach tamten występ Pete Townshend powiedział: „Nie mogę zapomnieć jak Mick Jagger wyglądał na scenie. Ten przeraźliwie chudy młodzieniec tańczący twiście spowodował, że postanowiłem całkowicie poświęcić się muzyce”.

To właśnie Townshend stworzył zespół The Who i kierował nim przez blisko 20 lat aż do pamiętnego pożegnania koncertu, który odbył się w Toronto w 1982 roku. Wszelkimi talentami i charyzmatycznym, przekształcił muzykę rockową w kult. „I Can't Explain”, „My Generation”, „Anyway, Anyhow, Anywhere” i inne jego kompozycje urastały w oczach młodzieży do rangi hymnów. „Ludzie chcą nas zniszczyć, tylko dlatego, że tu jesteśmy... To jest moje pokolenie. Niech oni wszyscy odejdą”. Teksty Townshenda, zwłaszcza te z lat sześćdziesiątych trudno znaleźć do poezji. Jednak trafnie oddają ówczesne nastroje młodzieży uwikłanej w walkę pokoleń. Mówią o jej kłopotach i ambi-cjach. W połączeniu z muzyką działały jak zaklęcie. „Nigdy nie czułem się jak bohater, ale zawsze sądziłem, że jestem głosem wielu ludzi” — wyznał niedawno w wywiadzie Pete Townshend.

Twórczość The Who trafiła na właściwy grunt. Jednak nie tylko stąd płynęła jej siła. Zespół zaproponował zupełnie inną muzykę od tej, która dominowała wówczas na listach przebojów. Jej agresywność, im bardziej bulwersowała starsze pokolenie, tym entuzjastyczniej przyjmowana była przez młodzież. Równie fascynująca jak muzyka była strona wizualna koncertów The Who. Daltrey tańczył i wymachiwał nad głową mikrofonem. Town-



Pete Townshend — lider grupy THE WHO podczas pracy

shend podskakiwał z gitarą, zadziwiająco precyzyjną gry i inwencją. Moon szalał przy perkusji. Jedyne basista John Entwistle stał nieruchomo i w skupieniu grał na swoim instrumencie. Muzycy kończyli występy umyślnym niszczaniem wzmacniaczy i gitar, wprawiając siebie i słuchaczy w stan ekstazy.

Pięć lat zespół koncertował i nagrywał przebojowe piosenki. Jednocześnie Townshend myślał o stworzeniu bardziej rozbudowanego dzieła muzycznego. W 1969 roku powstała opera rockowa „Tommy”. Był to zestaw piosenek luźno powiązanych fabułą. Początkowo muzycy nie myśleli o wystawieniu jej na scenie. „Tommy” odniósł sukces, o jakim Townshend i jego koledzy nie marzyli. Utwór doczekał się trzech wersji płytowych. Przygotowano widokowo sceniczne z orkiestrą symfoniczną, w którym wzięli udział aktorzy i muzycy rockowi. Powstał też pełnometrażowy film w reżyserii Kena Russella. The Who zaproszeni zostali na koncert do Metropolitan Opera House w Nowym Jorku, gdzie przed nimi żadna grupa rockowa nie występowała.

Byli również jedną z głównych atrakcji słynnego festiwalu w Woodstock.

Drugie większe przedsięwzięcie The Who to wydana w 1973 roku „Quadrophonia”. Ten dwupłytkowy album zawiera kilkanaście kompozycji Townshenda, w których autor powraca do tematu walki pokoleń i młodzieżowego ruchu „Mod”. Bohaterem „Quadrophonia” jest chłopak szukający odpowiedzi na nurtujące go problemy. Jest podobny do wielu młodych ludzi, wśród których dorastali członkowie The Who. Buntuje się, bo nie chce być taki, jak jego rodzice. Utwór Townshenda jest dojrzałym i starannie opracowanym dziełem muzycznym. Zarówno kompozycje, jak i wykonania zaliczyć można do największych osiągnięć w muzyce rockowej. „Quadrophonia” przynosi również zestaw niebanalnych tekstów, w których ujawnia się w pełni talent twórcy lidera grupy. W 1979 roku na podstawie utworu The Who nakreślono film — „pełen werwy obraz robotniczej Anglii 1964 roku” — jak w tygodniku „Newsweek” napisał o nim David Ansen. Zespół wydał kilkanaście płyt długogrających, wśród których trudno znaleźć nieudaną. Tytuły takie jak „Who's Next”, „The Who By Numbers”, czy z późniejszego okresu „Face Dances”, znane są dobrze miłośnikom muzyki rockowej. W nagraniu dwóch ostatnich albumów wziął udział Kenney Jones, który zastąpił przy perkusji Keitha Moona. Może właśnie śmierć Moona przyczyniła się do tego, że zespół zaczął myśleć o zakończeniu działalności. Powodem rozwiązania The Who mogło być również zmęczenie koncertami lub po prostu zabrakło pomysłów, co wyczuwało się już na ostatniej płycie studyjnej zatytułowanej „It's Hard”, którą grupa pożegnała swoich słuchaczy. Po niej ukazał się jedynie wymieniony w wstępie koncertowy album „The Who's Last”.

Muzycy nagrywają też płyty solowe. Największym powodzeniem cieszą się utwory Townshenda, który był niewątpliwie czołową postacią w zespole. Ten utalentowany autor tekstów, instrumentalista i kompozytor jest artystą, jakich nieczęsto spotyka się wśród przedstawicieli rocka. Na pewno jeszcze wielokrotnie o nim i o jego kolegach usłyszymy. Grupa już nie istnieje, a muzyka trwa. Jak w piosence The Who — „Rock umarł. Niech żyje rock!”

GRZEGORZ WALENDA

## „Wrzód”

Pogotowie Łódzkie pod prelegierem opinii publicznej — stało się tak na skutek jednego zwolnienia z pracy, które zostało lekarce Zespołu Położniczego. O tej sprawie pisał: „Przegląd Tygodniowy”, „Odgłosy” i „Służba Zdrowia”.

Wiadomo już że skargę pani doktor rozpatrywały dwa sądy: Terenowa Komisja Odwoławcza i Sąd Pracy i Ubezpieczeń Społecznych. Uzasadnienie, wyrok, które obejmuje kilka stron maszynopisu w sposób nie budzący żadnych zastrzeżeń (za wyjątkiem red. Bryla i Sienkiewicza) orzeka, iż wymówienie od strony prawnej jest bez zarzutu, a że względu na dobro pacjentki konflikt, który narastał należało przeciąć zwalniając konfliktową lekarke.

Chciałabym już nie o samej sprawie konfliktu. Obrzucaniem błotem Łódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego zajął się p. red. Bryl. Jego artykuł „Wrzód” to wielka krzywdą moralną wyrządzona Zespołowi Położniczemu, który ma swoją tradycję i jest jednym z dobrze pracujących zespołów na terenie Stacji. Za ten artykuł Łódzkie Pogotowie wytoczyło redaktorowi proces sądowy.

Chciałabym napisać o pracy samego Zespołu Położniczego. Łódź jest największym miastem w województwie łódzkim, samo miasto liczy przeszło 800.000 mieszkańców. W skład rejonu położniczego oprócz miasta wchodzi pięć gmin: Rzgów, Brójce, Andrespol, Konstancinów i Nowosolna. Ten olbrzymi teren obsługują dwa zespoły położnicze. Od początku działalności zespołów pracujących w nich położne i lekarze ginekolodzy. W najlepszych układach na jeden zespół przypada jedna położna i jeden lekarz. W okresie urlopow, świąt, zachorowań bywa jeden lekarz i dwie położne na dwa zespoły. Przez 40 lat pracy zespołów można już podsumować i ocenić trud ludzi tu zatrudnionych. Nie ma uwag, skarg i spotkań z prokuratorem. Na karetkę położniczą nie czeka się długo. Gdy oba zespoły wyjadą z bazy, a pada hasło: urodzone dziecko lub poród u wieloródki, pozostała w bazie położna lub lekarz otrzymują od dyspozytora tzw. „rezerwę” lub wręcz wolny zespół i jadą na wizytę. Jest to zarządzenie Dyrekcji. Ma zespół z powodu swojej szybkiej interwencji zdarzenia potwierdzające jego popularność w łódzkim społeczeństwie. Podczas wizyty okazuje się nieraz, iż pacjentka nie jest rodzącą, a chorą internistycznie. Na pytanie lekarza czemu zgłosiła pani poród pada odpowiedź — bo na to hasło karetka przybywa natychmiast.

Okolo 100 porodów rocznie to porody urodzone w domu. Są to rodzące, które albo zbyt długo czekały z północiami do szpitala, lub tzw. porody uliczne — szybkie. Warunki w jakich odbywają się one są różne, często wręcz tragiczne. Bywają surowe zimy, drogi zaspane śniegiem, szczególnie poza miastem, wówczas parę kilometrów dojeżdżamy saniami, końmi lub wręcz dochodzimy pieszo. Nasze położne to — panie z doświadczeniem i praktyką, na które można liczyć — mówią lekarze zespołów położniczych. Właśnie dlatego te czasy „skarg i zażaleń” jest pusta.

Satysfakcja Zespołu to dobrze obsłużona rodząca, to szczęśliwa mama i dziękujący nam tata. Nikt nie jest w stanie przekreślić tych mozołnych 40 lat pracy Zespołu Położniczego, wprawdzie odbywała się ona bez fanfar i bicia w dzwony, ale rzetelnie i bez konfliktów. Dlatego też nie domagamy się stawiania pomników, bo tam gdzie praca idzie dobrze nikt o tym nie mówi, bo po co? — to nasz obowiązek. Dopiero od 4 lat pracy z panią doktor w Zespole Położniczym coś się zepsuło. Nie w sensie że zatławianym wyżył, ale w sensie że w sposób nieuczciwy, w wynoszeniu spraw „jedną panią, drugą panią” przez lekarke na forum całej Stacji, a potem poza Pogotowie. Pan redaktor Bryl wszystko co napisał o Zespole, dowiedział się od tej właśnie pani doktor. Szkoda jednak, że nie próbował kontaktować się z pozostałymi pracownikami Zespołu Położniczego. Może obawiał się, że wówczas nie mógłby napisać tak pozytywnego artykułu. Będzie znów sąd i w oceni, czy pan redaktor miał prawo pisać w ten sposób. Jedno jest pewne, że Zespoły Położnicze będą pracować i to pracować dobrze.

Łódź własnym mieszkankom nie jest w stanie zapewnić łóżek położniczych w samym mieście Łodzi. Wozimy więc rodzące do odległych szpitali Zgierza, Pabianic, a nawet Głowna. Czynność porodowa wywala się często w nocy, trudno by ciężarne czekały na miejski środek lokomocji do godzin rannych. Sprawy przewożu do szpitala załatwia zespół położniczy z położną. Mówi jedna z rodzących: „nie wiem siostrzo czy pani wie, że w tej chwili mogłabym jechać do szpitala tylko taksówką, za którą zapłaciłabym 2.500 zł (Andrespol, Głowno), to jest tyle ile wynosi mój jednorazowy zasiłek na dziecko. I tak będę płacić, jak będę wracać ze szpitala”. Rozumiem te rodzące. Jest właśnie tak, a nie inaczej. Na pewno Pomnik Matki Polki rozwiąże w jakimś stopniu problem łóżek położniczych w Łodzi, ale do tego momentu jest sens zatławiać przewożących rodzących włókienników do odległych szpitali nawet ze skierowaniem w ręce. To nie one winne, że nie ma dla nich łóżka w Łodzi.

Kontrolę, kontrolę i jeszcze raz kontrolę wstąpiły na teren Stacji Pogotowia Ratunkowego. To dobrze. Właśnie one uwolnią pracowników Pogotowia od pomówień o pijaństwo, nieuczciwość, niedbalstwo itd.

Mam głębokie przekonanie, iż zapanuje znów spokój i będzie można dalej uczciwie pracować.

WIESŁAWA HERBICH  
(Pabianice)

Po przeczytaniu artykułów „Poślizg” i „Wrzód” jestem wstrząśnięta i załamana moralnie — kto to są Ci „ludzie” w Łódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego oraz Ci wszyscy, którzy odpowiadają co najmniej służbowo za taki stan rzeczy; co to za Sąd, który przyznaje rażąco pijaństwu, demoralizacji, znieuczciwieniu, kumoterstwu w instytucji, która powołana jest do niesienia pomocy i ratowania życia człowiekowi?

Uważam, że w Pogotowiu Ratunkowym winni pracować wyłącznie i tylko tacy lekarze jak dr A. Targaszewska, która całe swoje życie i wiedzę poświęciła dla chorych.

Dzięki dr. A. Targaszewskiej uwierzyłam, że w PRL są jeszcze lekarze, dla których sprawa zdrowia i życia pacjenta jest w danej chwili najważniejsza, bez względu kto jest tym pacjentem.

Miałam szczęście, swego czasu, trafić pod Jej opiekę w szpitalu w Zgierzu. Przez miesiąc mogłam przypatrzeć się pracy dr A. Targaszewskiej na tle pracy pozostałego personelu lekarskiego i pielęgniarskiego. Doszłam wtedy do wniosku, że dr Targaszewska jest jedną z tych, którym nie można nic zarzucić w stosunku do wykonywanej pracy.

Wierzę, że dzięki pracy dr A. Targaszewskiej w Pogotowiu Ratunkowym niejedno życie kobiety i dziecka zostało uratowane.

A teraz? Uczciwy i pracowity człowiek został zdeptyany przez osoby, które nigdy nie powinny być zaliczane do ludzi — przykład, sam Pan dyrektor, który jako jedyny pediatra odmawia wyjazdu do ciężko poparzonego dziecka.

Z poważaniem  
BARBARA SIEROŃ  
Łódź

P.S. List tej samej treści wysłałam do redaktora „PT” — To-masza Sienkiewicza.

Nie należę do osób, które kiedykolwiek wypowiadały się na łamach prasy. Jednak po przeczytaniu dwu artykułów „Poślizg” (Przegląd Tygodniowy nr 3) oraz „Wrzód” („Odgłosy” nr 6) pragnę dać wyraz swemu oburzeniu, które zostało wywołane ujawnieniem ogólnie znanej tajemnicy o łódzkim pogotowiu. Bulwersującym jest fakt tak niewłaściwego potraktowania doktor Anasztazji Targaszewskiej przez Jej byłego pracodawcę, a wątpliwość budzi wydany przez sąd wyrok.

Z panią doktor A. Targaszewską spotkałam się tylko raz, a było to 26.06.80 r., tuż po północy, a więc wtedy, gdy każdy człowiek, również pracownicy pogotowia, mogą marzyć o chwili odpoczynku, choćby po trudach dnia. Wzywając pogotowie w celu przewiezienia mnie do porodu, mając w pamięci wcześniejsze niezbyt miłe kontakty z pracownikami pogotowia, byłam pełna obaw, czy wezwanie o tak późnej porze nie spowoduje rozdrążenia lekarza.

Moje zdziwienie nie miało granic, gdy ujrzałam pogodnie uśmiechniętą, okazującą duże zainteresowanie moim stanem zdrowia lekarke. Okazana mi pomoc oraz postawa lekarki nie mogły być ukartowaną grą, lecz autentyczną postawą uczciwego lekarza, godną naśladowania.

Choć od tego dnia minęło prawie 5 lat, a mój kontakt z doktor Anasztazją Targaszewską jednorazowy, pozostawił dobre wspomnienie o lekarce.

Oburzającym jest finał całej sprawy, w wyniku której kłękę ponosi uczciwość, zwyciężają układy, a winni pozostają bezkarni. Nieodwzajemnionym wydaje się ponowne rozpatrzenie całej sprawy, gdzie zwycięży nie ilość zatrudnionych w pogotowiu pracowników, a ich jakość — chorem i społeczeństwu przywrócić oddanego lekarza.

ANNA KOWALSKA  
(adres do wiadomości redakcji)

## W SPRAWIE „SŁOWA O RYSZARDZIE DOROBIE”

Szanowny Panie Redaktorze!

Zawsze mi się wydawało, że wobec zjawiska śmierci, zwłaszcza śmierci ścinającej życie przedwcześnie i nagłe skruszyć winna próżność i pycha, zawołaniu bodaj ulec egotyzm i zakłamanie osób uważających się za bliskie zmarłemu a dotkniętych owymi ułomnościami.

Inaczej pojmuje te sprawy Zbigniew Nienacki. Oto w 8 numerze „Odgłosów” opublikował on tekst zatytułowany „Słowo o Ryszardzie Dorobie” będący w rzeczywistości słowem o Zbigniewie Nienackim i jego podłej miłości ze sztuką. Wielką rzekomo przyjaźń Nienackiego dla mojego męża charakteryzują dobitnie kilkakrotnie pomniejszanie jego dorobku pisarskiego przez autora „Słowa” (por. tekst Tadeusza Gicigiera w tymże numerze „Odgłosów”) oraz zakłamanie obrazu stosunków między nim a Ryszardem w ostatnich kilku latach jego życia. Przyjaźń, o której pisze Nienacki trwała przede wszystkim w Łodzi i przez kilka tylko pierwszych „jerszwałdowskich” lat. Zbyt wielkie były odmienności etyk Nienackiego i Ryszarda, by przyjaźń ta mogła być trwała. O jej ułudzie przesądzi ostatecznie swoisty „politeizm” Nienackiego, do którego to zjawiska Ryszard początkowo odnosił się z zafascynowaniem, potem z coraz większym dystansem aż wkrótce zrozumiał, a były to lata 1979—1981, że Nienacki jest kimś zupełnie innym, niż ten, któremu pragnął być sędziwym kolegą. Potwierdził to jednocześnie Zbigniew dotkliwym nadużyciem przyjaźni Ryszarda. „Sprzedał” te przyjaźń.

I odtąd rzeczywistość można było widzieć mojego męża zmierzającego z synem do lasu lub nad jezioro droga okrzędną, zmierzdami omijającymi dom Nienackiego. Konsekwencją tego stało się też zaniechanie wyjazdów na Mazury przez Ryszarda.

Dlatego wobec jego śmierci winien był autor „Skroślawek” zasławać milczeniem. Ubolewamy z synem, że stało się inaczej. My także przyjaźniłymi się kiedyś z Zbigniewem Nienackim.

Pragnę nadmienić, Panie Redaktorze, że niełatwo mi przyszło skierowanie do Pana powyższych słów. Pragnę również wyznać Panu, że ewentualne opublikowanie czyichkolwiek wyjaśnień w poruszanej sprawie na łamach „Odgłosów” lub innych pism, oznaczające będzie dla mnie i dla mojego syna chęć zwielokrotnienia naszego bólu po stracie Ryszarda.

Z poważaniem  
JADWIGA ŁUZYŃSKA-DOROBOWA

## „NATURYSKI, RADIESTECI, ASTROLOGOWIE I INNI...”

Do autora tekstu pod tym właśnie tytułem nadszedł list, który tu publikujemy, pozwalając sobie potem udzielić odpowiedzi.

REDAKCJA

PANIE REDAKTORZE

Dobrze pan pisze. Aż tu nagle taka bomba! Dom Kultury Polesie. Nie dajmy się zwirować! A może by tak jeszcze małeńki, zaciszny burdelik dla średniego pokolenia? Też kultura. Pani Kozłowska wymyśla coraz to nowe formy. Brawo! Proponuję: Klub Pederastów. Przecież to samo życie. Pokoje wynajmowane na godzinki — też by się przydały. Jak się bawić to się bawić! A co na to „Sikorki” — Sikorki podrosła i z nauki wyciągnęła nie tylko skoczne kroczki.

Już raz w waszym piśmie pojawił się głupi artykuł. Jakaś pani podzieliła psy na rasy, które mają prawo do życia. I na takie, które praw tych nie mają. Przez długi czas nie kupowałam „Odgłosów”.

Teraz znowu wypalił pan, Redaktorze. A może by tak Pani Kozłowskiej zabronić tych eksperymentów z ludźmi „inteligentnymi”, którzy postanowili tu pod błęgunem chodzić nago. A może by tak ją wreszcie posłać na rentę? Brak szpitali. Ludzie chorzy leżą na korytarzach, a tak ładny dom itd. itd...

Tyle jest do zrobienia. Młodzi ludzie, tak zwani nieprzystosowani społecznie wleczą się po ulicy. Po co są domy kultury? Dla kogo? Gdyby kierownictwo tego dziwnego domu wychowało chociaż dwu chuliganów! Byłoby to osiągnięcie warte nagrody. W tej sytuacji nie tylko ja ale wielu z naszej przywilejowanej dzielnicy pluje na ten Dom. Tam się nie wpuszcza tych, którzy tego potrzebują. Tych, dla których z samego założenia te domy były budowane. Pani Kozłowska ma wstręt do takiej pracy. Do prawdziwej pracy wychowawczej. Znana jest z tego.

Dla tego wszystkiego, panie redaktorze Karolczak, pan się chyba po raz pierwszy trochę wygłupił. Chyba że i pan lubi chodzić nago po Domu Kultury. A czy nie można we własnym domu?

Cała nasza grupa chce poinformować Ministerstwo Kultury o sztuczności tego dziwnego i jedynego Domu. I na co idą te pieniądze...

A w jakim pokrewieństwie jest wasz redaktor techniczny z kierowniczką tego domu? Czyżby rączka — rączka?

(W tym miejscu następują cztery podpisy, których nie podajemy w ich oryginalnym brzmieniu, albowiem mocno powątpiewamy w autentyczność osób pod nimi się kryjących...)

„Mówiła mi mama, bym się nie bał chama, bo cham to jest cham i boi się sam...”

Ten cytat z pewnej kabaretowej piosenki idealnie pasuje jako motto do odpowiedzi na przytoczony tu list. Właściwie można by na tym poprzestać. Skądinąd jednak wiemy, jak dalece nasi czytelnicy są nieustępliwi w dochodzeniu do tzw. prawdy materialnej, toteż musimy wytłumaczyć, dlaczego w ogóle zdecydowaliśmy się wydrukować ten osobliwy list. Osobliwy, aczkolwiek w stosunku do zawartości pewnej — szczęściem skromnej ilościowo — części naszej redakcyjnej poczty, wcale nie aż zbyt egzotyczny ani wyrafinowanie obrzydliwy.

Drukujemy ten list jako szczególne signum temporis — znak czasów rozpięzania się fanatycznego chamstwa. Skąd bierze się taka agresja? Ze strachu — właśnie ze strachu, jak w cytowanej piosence. A czego boi się cham? Boi się odmienności, boi się poczynań niekonwencjonalnych, zmian i zdarzeń, które burzą jego ustabilizowany, pełen ciepłki i wysiedlanych miejsc światek. Oczywiście strach ten jest atrybutem ludzi kulturalnych także. Ci jednak starają się zmianom wychodzić naprzeciw z godnością, cham natomiast rozwiera pysk...

Cham posługuje się insynuacją, kalumnią, pomówieniem. Jest nie tylko brutalny i złośliwy (te cechy akurat mieszczą się na skrajnym kanonie publicznego dyskusowania), ale nadto uwielbia sfałszować i fałsz. Najchętniej przy tym stroi się w szafy obrońcy — już to praworządności, już to finansowych interesów państwa, już to ideologii itp. Inponderabilii. Jego żywiołem jest donos, a marzeniem — być światła otaczającego, urzędzony wedle jego chamskich, nietolerancyjnych prapropiej...

Agresji tej należy się przeciwstawić. Choćby poprzez nazywanie rzeczy po imieniu. Co też niniejszym czynimy, choć z żalem, że zostaliśmy zmuszeni do użycia tak ostrych sformułowań, obcych naszym normom polemizowania.

REDAKTOR DYŻURNY

## NIE WYDRUKUJĘ PANU TEGO

Czy Pan to wydrukuję Panie A. Karolczak?  
ANDRZEJ S. LAUDAŃSKI (pseudonim)  
Skarżysko-Kamienna  
(do tego lapidarnego listu dołączono rekopis biografii autora).  
Ja tego nie wydrukuję Panie S. Laudanski. To jest nudne...  
ANDRZEJ KAROLCZAK

## O POTRZEBIE ZWALCZANIA CHWASTÓW

Pan redaktor Andrzej Karol („Odgłosy” nr 7/85) nie tai swego sceptycyzmu co do skuteczności walki o czystość i poprawność naszego języka — i tego pisanego, i mówionego. A sceptycyzm ten wynika m.in. stąd, że złym i niepoprawnym językiem posługuje się i gazeta, i komunikat PAP, spiker radiowy i prezydent telewizyjny, dokument urzędowy i nazewnictwo zawodowe. Wszystkie te czynniki utrwalają nieprawidłowości, wypierają formy poprawne i z tych nieprawidłowych form tworzą normę. Wszystkie to prawda, ale ogromnie smutna. Czy ma to oznaczać, że należy pogodzić się ze wszystkimi potworkami językowymi, które — jak młótki faraona do nowych bloków — wkisają się do naszej mowy — pisanej i mówionej? Ze należy akceptować wszystkie „włanczania”, „zaspakajania”, „spañnania”, zamiast „właczania”, „zaspokajania” i „spójnania”? Godzić się z coraz mocniej zakorzeniającym się w naszej mowie i piśmie „rzedem”? („Zarobki rzedu... złotych”; „produkcja rzedu... ton”). Przyjąć za „normę” taką formę wypowiedzi, jaką niedawno serwują nam z ekranu telewizyjnego wysoko postawione osobistości, na przykład, że „rolnicy muszą oczymać rozczaszczę do nawozu”, albo „jednorazowe szczykawki do zaszczyków nie zaspakajają poczeb służby zdrowia”? Czy można uznać, że nie złego się nie dzieje, gdy (przykład sprzed kilku lat, ale autentyczny!) nauczycielka w czasie wywiadówki oświadcza rodzicom, iż jeśli nie będzie przez nich wspierana w działaniach wychowawczych, to też „kładzie łachę” na wszystko?

Już i tak wiele dziwołagów zagnieżdżyło się — prawdopodobnie na stałe — w naszym języku, że wymienię tu tylko „krajowców dewizowych”, „produkcję zwierzęcą” (zamiast hodowli), „produkcję roślinną” (zamiast upraw) czy „środek masowego przekazu”.

Rolnik, chociaż wie, że nigdy nie wytepi chwastów do końca, walczy z nimi ustawicznie, aby nie zagłuszyły mu całkowicie upraw (tj. „produkcji roślinnej”). Sądzę, że walkę ze wszystkim, co zachwascza i zaśmieca nasz język, również trzeba prowadzić ustawicznie, mimo wszelkie sceptycyzmy. Sądzę też, że walka taka powinna być powołaniem środków zbiorowego komunikowania, albo jak kto woli „środków zbiorowego przekazu”. O potrzebie obrony naszego ojczystego języka, walki o jego czystość i poprawność, mówił kilkakrotnie, z bardzo wysokiej trybuny, generał Wojciech Jaruzelski. Niestety, na razie nawet ministrowie nie bardzo go słuchają...

Więc może by zacząć „rozliczać” z wykróconej przeciwko ojczystemu językowi wszystkich, którzy tych wykrócań się dopuszczają? Nie bacząc na rangę, funkcje i stanowisko? Nie byłoby to wydarzenie bez precedensu. W czasopiśmie „Obrona Kultury” z dnia 1 stycznia 1939 roku, autor podpisany „Sat.”, w artykule pt. „Poniewieranie języka polskiego” wytyka senatorowi Fuda-kowskiemu, że w swej mowie dwukrotnie użył określenia „agresor” zamiast „napastnik”. Tę samą nieprawidłowość wytyka autor PAT-owi, a stołecznym dziennikom użycie zwrotu „kuriozalny” i „decepcja”, zamiast „osobliwy” i „rozczarowanie”. Oczywiście, może ktoś powiedzieć, że mimo to i „agresor” i „kuriozum” uzyskało — jeśli nie prawo obywatelstwa — to „zezwolenie na pobyt stały” w naszym języku. Prawda. Myślę, że, że określenia zapożyczone z obcych języków nadal będą przenikać do języka polskiego, a nawet się w nim utrwalą. W szczególności ich czynniki do tego powołane (a do takich zaliczam m.in. prasę, radio, telewizję) nie będą wskazywały równoznacznych określeń polskich. Kto na przykład próbował podać polskie wyrażenia na takie zwroty, jak „eskalacja”, „prominent” czy „ekstrema”?

Z pewnością nadmiernemu przenikaniu obojętujących zwrotów do języka polskiego można przeciwstawić skutecznie. Przy-puszczam, że Julian Tuwim ma swoją zasługę w tym, że w nazewnictwie narzucił ślusarskich nie utrwalły się przeczność „holajzy”, „kajle na iberlaufie”, „droselklapy” i „lochbajtle”. Tym bardziej, jak sądzę, można przeciwstawić tworzeniu naszych, rodzimych potworków, w rodzaju „powierzchni zadaszony” czy „ukółkowienu wsi”. Sprawy te nie mogą jednakże być jedynie troską językoznawców, filologów, czy komisji językowych PAN. Potrzebna jest tutaj aktywna postawa wszystkich środków, których siła oddziaływania na społeczeństwo jest znacząca, a takimi są przecież środki zbiorowej informacji, czyli „masowego przekazu”. Nie można zgodzić się z tym, że nieprawidłowości językowe będą się utrwały i przechodzić w „normę” również dlatego, że wprowadza je do języka — prasa! Któż zatem ma wspaniać językoznawców, kto ma bronić jakości języka, jeśli nie ci, dla których język polski jest materiałem służącym do ich codziennej „produkcji”?

Język jest wykładnikiem naszej kultury i świadectwem naszej tożsamości. Walka o jego czystość i piękno, jego obrona, jest powołaniem niektórych i obowiązkiem wszystkich.

PIOTR SIKORSKI

## JAK TO JEST Z TYM BOKSEM?

Nie pomnę już, było to 22 czy 23 lata temu. Pasjonowałem się sportem i na dobre związałem się z dziennikarstwem sportowym, ale gdzieś w głębi zawsze interesowały mnie bardziej losy ludzi znanych ze stadionów, aniżeli konkretny rekord. Szukałem w sporcie uwarunkowań, podtekstów, jakby trochę socjologicznych treści. Ponieważ najlepiej znałem się na boksie, jako że w czasach licealnych i studenckich wkiadałem skórzane rękawice, pomyślałem sobie, że chciałbym bliżej poznać ludzi uprawiających ten zgoła niedelikatny sport. Znałem polskich championów, rozmawiałem z nimi, z niektórymi serdecznie przyjaźniłem się, ale jakoś nigdy nie siegałem w rozmowach do ich początków kontaktu z ringiem. Kiedyś pojechałem na zgrupowanie do „Stammowa”, czyli do nadmorskiego ośrodka w Cetniewie, gdzie od lat rozbił namioty Feliks Stamm. Na obozie było chyba z 60 młodzieńskich pięściarzy, juniorów, takich co ledwo powąchali prochu z rękawicy. Pomyślałem sobie: — kim są ci młodzi ludzie, których tak ciągnie walka, z jakich środowisk pochodzą, co ich zawiodło na ring? Nieudolnie, zmysłem domorosłego socjologa, opracowałem własną ankietę, w której zadałem 5 czy 6 pytań. Odpowiedzi, rzecz jasna, były anonimowe, bo do czego miało mi służyć nazwisko czy adres. Zebrałem odpowiedzi po paru dniach i miałem na kilka kolejnych wieczorów ciekawe zajęcia.

Kim więc byli ci 17—18-letni sportowcy? Zwykłymi młodymi ludźmi, głównie z zasadniczych szkół zawodowych, z techników. Pochodzili w 95 proc. z robotniczych, najbiedniejszych rodzin. Najczęściej mieli po kilkoro rodzeństwa, w ich domach nierzadko gościła bieda.

Co legło u podstaw zainteresowania się boksem? Tu byłem nieco zaskoczony. Pewna grupa młodych ludzi odpowiadała: — było blisko do sali, widziałem takich jak ja trenujących, poszedłem, przyjęli. Drudzy mówili: — Kocham walkę, ale nie zbiorową, taką wręcz, kiedy muszą stanąć „jeden na jednego” i walczyć. Ale chyba największa grupa napisała mi szczerze: — byłem taki słaby, koledy w szkole popychali mnie, krzywdzili — zapisałem się do boks, by im pokazać kto jest! Znalazłem też inne odpowiedzi, chociaż w zbiorowej regule odmienne. Pisano, że na ich wyobraźnię podziały sukcesy polskich pięściarzy oglądane w telewizji, zdjęcia herosów w gazetach sportowych itd. A jeden napisał po prostu, bez żenady: — ja lubię się bić!

Zachęcony tym swoim pierwszym socjospportowym sukcesem, kilkakrotnie później czyniłem podobne próby. Wśród takich samych młodzieńców, z czasem starszych. Raz czy dwa pisałem o wynikach ankiet, ale jakoś wychodziło mi to nieporadnie. Bardziej zadowolony byłem, iż poznałem lepiej środowisko, jego zainteresowania, marzenia.

## BOKSOWANIE WG RECEPTY PANA L. G.

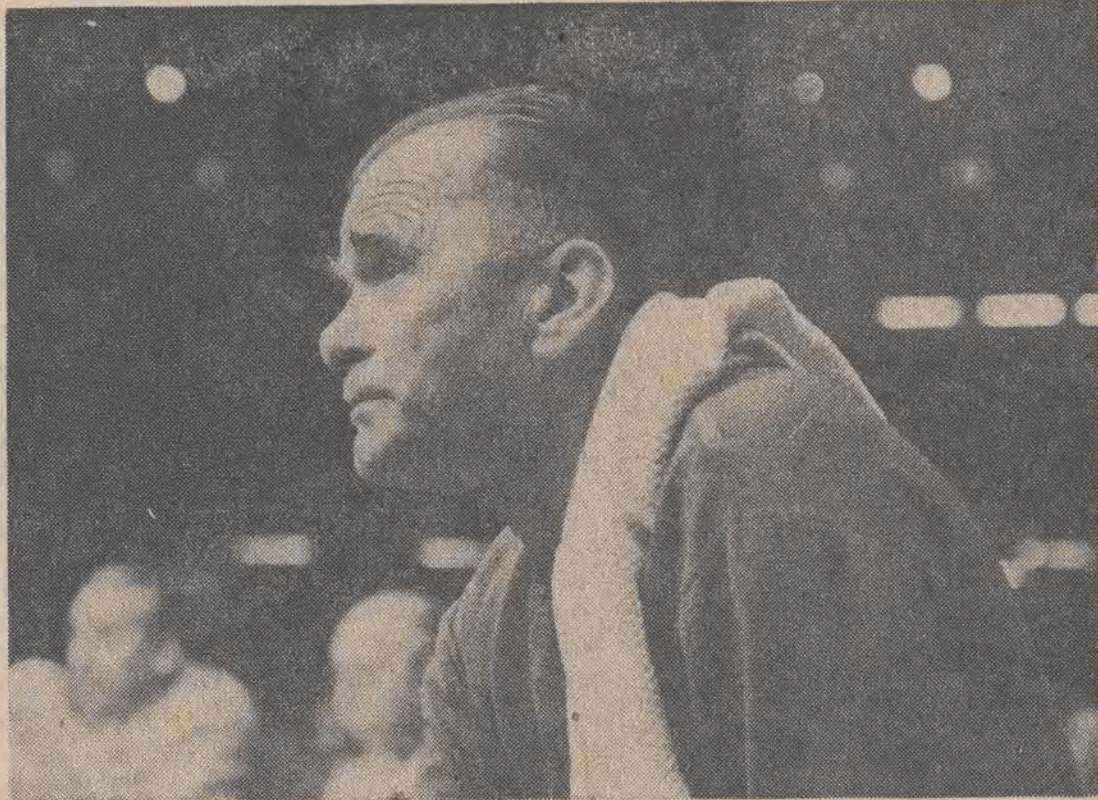
„Boksowanie jest rodzajem walki na pięści, uprawianym z dawien dawna przez Anglików. Obecnie stanowi ono część wychowania fizycznego we wszystkich warstwach społecznych. We Francji sport ten przyjął postać inną, jest jednak właściwie boksowaniem angielskim uzupełnionym przez uderzenie nogą, zapożyczone z dawnego savate. (Tzw. boks francuski był wielce popularny w pierwszych dwudziestu latach bieżącego stulecia, a uprawiał go w młodości najwybitniejszy bokser Francji, późniejszy mistrz świata w boksie klasycznym Georges Carpentier — przyp. L.O.).

Według opinii zwolenników boksowanie stanowi ma ćwiczenia nader zdrowotne, oddziaływające na płuca oraz rozwijające żywość, wytrzymałość, śmiałość i odwagę.

Od pewnego czasu wzbudziło się też zainteresowanie do boksowania w tonie towarzyszym gimnastycznym, gdzie traktowane bywa raczej jako sport, nie zaś środek zapasnictwa zawodowego. A jednak trudno jest bardzo okazać tu umiarkowanie i nie przekraczać granicy, poza którą boksowanie przestaje być sportem godziwym i szlachetnym: jest w boksierstwie tyle pierwiastków bezwzględności, brutalności i nawet okrucieństwa. Kto wie, może zresztą sport ten da się uszlachetnić przez zajęcie się nim gimnastyków, którzy stosują w nim racjonalne metody ku prawdziwemu rozwinięciu ciała. Wprawdzie niepodobna się spodziewać, żeby boksowanie mogło wpłynąć na lepsze kształtowanie się ciała, usprawnieniem jego narządów w znaczeniu fizjologicznym, ale bądź co bądź stać może ważną pomocą w sprawie zainteresowania wychowaniem fizycznym, stać się pewnym systemem ruchów dodatkowych, co ma zawsze znaczenie wielkie przy wszechstronnej kulturze cielesnej. Wśród bokserów spotkać już dzisiaj można takich, którzy niemal bezwiednie zmierzają powyższą drogą, pozbawiając produkcję swe owego okrucieństwa czy brutalności. Widok ich napędza nas otucha, że więc z boksierstwa dzisiejszego poważnie i naukowo traktowanie osiągnie coś, co w okresie przyjemności stanowiłoby wypoczynek dodatni do normalnego rozwoju ciała.”

Czy wiecie skąd zaczerpnąłem ten długi, ale niepełny cytat? Z dwutygodnika „Ruch”, który ukazywał się w Warszawie od 1906 roku. Ten numer z artykułem nosił datę 26 lutego 1908 roku, a tekst pt. „Boksowanie” był chyba pierwszym, jaki ukazał się w polskim czasopiśmiennictwie na temat walki na pięści. Nie wiem kim był autor, bowiem ukrywał się pod literkami L. G. W każdym razie w innych fragmentach opisywał zasady boksowania, dając nawet pewną porcję szczegółów technicznych, z których zacytuję tylko krótkie urywki. A więc:

„Zwycięża taki przeciwnik, co wykaże „styl” oraz osiągnie większą liczbę punktów w napaści i odpieraniu”.



Oto człowiek, który stworzył polskie pięściarstwo, ojciec naszych zwycięstw (i jak niektórzy złośliwi, ale przychylni twierdzili — „dziadek porażek”) — Feliks Stamm

Foto: Józef Bączkowski

# Jak to jest z tym boksem?

## LUCJAN OLSZEWSKI

„Razy powinny być zadawane kłębami pięści, bliżej nasady palców i kierowane ku głowie lub powyżej pasa”.

„...o zwycięstwie decyduje nie tyle ilość rąk, lecz zdolność ich odpierania i szybkość”.

I chyba tym wszystkim oponentom boksowi chciałbym polecić to ostatnie zdanie pana L. G., który już w 1908 roku wiedział, iż ważniejsza w boksie jest nie liczba zadanych ciosów (razów — jak pisał), ale umiejętność bronienia.

Trener uczący walki na pięści w tym miejscu powiedziałby tak: ciosów jest kilka, z odmianami może dziesięć, a obron co najmniej pięćdziesiąt. Tak więc powiedzmy szczerze: boks z dawien dawna nazywano szlachetną sztuką samoobrony, czerpiąc z powiedzenia od Anglików, ale przecież nikt jeszcze nie został mistrzem olimpijskim czy mistrzem świata wyłącznie przy pomocy sztuczek polegających na unikaniu ciosów przeciwnika. Trzeba samemu uderzać. A w współczesnym pięściarstwie mocno.

Ileż to razy słyszałem jak „Papa” Stamm, człowiek, który właściwie stworzył polskie pięściarstwo, powtarzał setkom swoich wychowanków: — Panowie, patrzcie się na was wszyscy. Umiecie się dobrze bić w ringu, ale nigdy nie wykorzystujecie pięści na ulicy. Powiedzą wtedy ludzie — o bokser, łobuz. Pamiętajcie.

Jak pamięcią sięgam ogromna masa tych młodych ludzi, którzy mieli z rękawicami kontakt pamiętając o tych Stammowych maksymach, ale przecież tu i ówdzie wcale nie pamiętało się na przykład, że Jerzy Kulej, wielki pięściarz, a przy tym znakomity pływak i w ogóle „kozak” — kilkunastu ludzi od utopienia się uratował, ale pamiętano mu i to drugie, że gdzieś zawierzysz się w wesołym towarzystwie, wziął udział w jakiejś drance... Czy ja wiem, czy dzisiaj po tylu latach ktoś w Łodzi pamięta, że Zbigniew Piórkowski z płonącego domu ratował dziecko, gdy tacy sami jak on przechodnie gapili się, nie mogąc ruszyć ni ręką ni nogą. Ale przecież w tej Łodzi pamiętają jeszcze paru byłych pięściarzy, którzy utonęli w oparach alkoholu, nie mogąc przegryźć kumpelom od kielicha powiedzić — nie.

A więc gentlemani czy awanturnicy? Myślę, że rzadko przydarza się, by bokser czynił użytek ze swoich ringowych umiejętności. Znam przypadki, gdy znany mistrz musiał salwować się ucieczką, by nie być posądzonym o awanturnictwo. No bo spróbujcie namówić do burdy magistra ekonomii i trenera pięściarstwa, dawnego mistrza olimpijskiego i mistrza Europy Kazimierza Paździora. Zejdzie wam z drogi, choć nie musi. Albo Zbyszka Pietrzykowskiego, Józka Grudnia, Henia Kukiera, Leszka Drogosza, byłego „Czarodzieja”, amatorskiego dzisiaj aktora wielu polskich filmów...

## NO WŁAŚNIE, TROCHĘ O FILMIE

Przyznam się, że nie miałem zamiaru pisać o boksie w filmie i filmie o bokserach, ale skoro tak przy Drogoszu przypomniał mi się filmowe rzemiosło, postanowiłem nieco poszerzać w pamięci i pogawędzić trochę o wielkim ekranie.



Joe Frazier był nie tylko znakomitym pięściarzem, który wywalczył tytuł mistrza olimpijskiego w kategorii ciężkiej w 1964 roku, a później był zawodowym mistrzem świata, ale też zupełnie niezłym showmanem. Widzimy go na zdjęciu w czasie występu w jednym z nowojorskich klubów

Boks był zawsze niezwykle wdzięcznym tworzywem dla języka filmowego. W latach dwudziestych i trzydziestych nakręcono tylko w samych Stanach Zjednoczonych tych obrazów kilkadziesiąt, bowiem pięściarstwo rządzi się swoistą dramaturgią. A raczej dramatem w ringu rodzi się sam. Bez reżysera, pomocy scenarzystów czy też aktorskich kreacji.

Krecono filmy, w których bohaterami byli wielcy mistrzowie pięści, faceci o niezwykłych biografiiach, burzliwych jak spienione fale oceanu, wznoszonych przez sławę pod sklepienie niebieskie i spadających jak wody Niagary.

W Hollywood m.in. nakręcono filmy oparte o kariery Rocky Graziano, Jamesa Corbetta („Gentleman Jim” z Errolem Flynnem w roli głównej), Johna Lawrence’a Sullivana, wielkiego „Smoking Joe” — czyli czarnoskórego Joe Louisa. Sam Cassius Clay — czyli późniejszy Muhammad Ali doczekał się filmu „The Greatest”, czyli „Największy” — bo sam Ali tak się kazał nazywać. W tym filmie, który miałem okazję kiedyś oglądać z wypożyczonej za granicą kasyety, bardzo mało jest o boksie, raczej o „Champie” jako człowieku, który kocha, złości się, walczy, gdy kazano mu służyć w wojsku, a on z racji swojej przynależności do Sekty Czarnych Muzułmanów wcale nie miał ochoty chwycić za broń i walczyć w Wietnamie, dokąd niektórzy jego przeciwnicy radzi byli go posłać. Zresztą mistrz grał sam siebie, jak to zrobił powinni oceniać krytycy filmowi. Osobiście wolałem go w ringu z lat świetności, nie zaś z ostatniego pojedynku z Larry’em Holmesem, kiedy to jeszcze wydawało mu się, że w wieku 40 lat może powrócić na tron.

Jak wskazuje historia filmu i boks, reżyserzy bardzo chętnie korzystali z usług dawnych mistrzów, twierdząc, że pięściarze przed kamerą zachowują się naturalnie, jakby nic innego w życiu nie robili. Takie właśnie recenzje w dawnych czasach zbierał m.in. Georges Carpentier, Jack Dempsey, Max Schmeling, Jess Willard, Tony Galento czy Maxie Rosenbloom. Bardzo chętnie roli bokserów lub też trenerów lub managerów podejmowali się m.in. Buster Keaton, Kirk Douglas, Clark Gable, Robert Taylor, John Wayne, Glen Ford, Burt Lancaster, Tony Curtis, Jean-Paul Belmondo, były pięściarz, trochę manager, automobilista, „Najpiękniejszy Brydale”. A propos Belmondo. Taką miałem ochotę w 1982 r. podczas mistrzostw świata w Monachium zdobyć jego autograf, gdy pojawił się na trybunach. Nie dopchałem się do otoczonego przez tłum panienek i pań gwiazdora.

Niestety, nie udało mi się nigdy zobaczyć ciekawego podobno obrazu powstałego chyba w 1977 roku pt. „Człowiek ze stali” opartego o losy Tony’ego Zale, byłego mistrza świata, a naszego znajomego, bowiem nosił on polskie nazwisko Antoni Zaleski. Reżyserem filmu był syn znanego aktora Lee Cobba — Vincent Cobb, który zafascynował się biografią amerykańskiego Polaka. Ciekawy człowiek — urodzony w USA, ale do dzisiaj mówiący dobrze po polsku. Mieszka w Chicago, jest starszym panem, który przepięknie przeżył swoją sportową młodość. Kiedy USA przystąpiły do wojny światowej po japońskim ataku na Pearl Harbour, Tony Zale ochotniczo złożył mundur, służył we flocie, rezygnując z piastowanego tytułu mistrza świata. Na szczęście znaleźli się wówczas w boksie zawodowym mądrzy ludzie, którzy nie pozabawili go prymatu. Dopiero w 1946 r. „Człowiek ze stali” mógł stanąć do walki z młodzieńkim Rocky’em Graziano, do wielkiej walki. I wygrać. I choć potem przegrał rewanż, jeszcze raz postanowił zaryzykować i odebrał tytuł amerykańskiemu Włochowi, jeszcze barwniejszej niż on postaci.

Graziano był kilka lat temu przypomniany przez polską telewizję w filmie „Między liniami ringu” z Paulem Newmanem w roli głównej. Film wprawdzie stary, chociaż rad bym dzisiaj w nowoczesnym kinie oglądać tyle autentyzmu, który mógł zaprezentować tylko Newman, człowiek, który sam w młodości był pięściarzem. Jego rola jest spontaniczna, żywiołowa, taka jakim bohaterem był Graziano, czyli Thomas Rocco Barbella, bo Graziano to jego ringowy pseudonim. Widzieliśmy więc Wschodnią Dzielnicę Nowego Jorku, chyba taki dzisiejszy obraz ... „Posterunku przy Hill Street”, a w niej przyszłego mistrza, młodzieńca ambitnego w którego życiu było „więcej ojcowiskiego porządku pięści” — jak mówił bohater, aniżeli rodzinnego domu i luksusu.

I już późniejsza historia z „Rocky”, ale nie tym od Graziano. Kolorowy, 118-minutowy „Rocky” nakręcono parę lat temu, który doczekał się aż trzech „Oskarów”. Film jest znakomicie zrobiony, ale nie oparty o biografie bokserów, chociaż życie tego środowiska stanowi jego treść. Historycy boksowi doszukiwali się podobieństwa losów bohatera do życiorysów Rocky’ego Marciano czy nawet Jacka Dempsey’a, ludzi, którzy stanowili całą historię pięściarstwa zawodowego.

## MOŻE O HISTORII LUB ZDROWIU

Aż korci mnie, by znowu powrócić do historii, ale przecież nie samym sportem będzie żył Czytelnik „Ogłosów”. Być może, jeśli będą zainteresowani tym tematem, powrócę do ciekawych losów. Na przykład wielkich postaci polskiego pochodzenia w pięściarstwie zawodowym (Tony Zale, Stanley Ketchell — czyli Stanisław Kiecał, Teddy Jarosz i inni). A może napiszę kiedyś o najciekawszych postaciach naszego pięściarstwa, czy też o samym boksie zawodowym, który wywołuje tak żywe zainteresowanie zarówno w sensie sportowym, jak i zdrowotnym. Właśnie, o zdrowiu chyba warto będzie w przyszłości napisać. No bo jednak boks jest walką, gdzie się nikogo po twarzy nie gładzą, ale gdzie padają mocne uderzenia i zdarzają się wypadki śmiertelne.

W momencie ogłoszenia tej encykliki Watykan był największym posiadaczem ziemskim na Ziemi. „Populorum Progressio” zawiera również osobliwe pouczenie, że nawet wówczas, gdy masa społeczeństwa jakiegos kraju cierpi z powodu poważnej niesprawiedliwości, niedopuszczalnym jest opór rewolucyjny: „Panującego zła nie można wypędzić jeszcze większym złem”.

Jako zwierzchnik niezwykle zamożnego Kościoła, zabiegający o uwiarygodnienie na zewnątrz swego dążenia do reprezentowania Kościoła dla ubogich, papież zdecydował się ze swoimi doradcami na rozstanie ze znaczną częścią lokat kapitału we Włoszech i ponowne zainwestowanie ich w innych krajach. W ten sposób można było uniknąć spodziewanego poważnego opóźnienia, a ponadto zaangażować się w korzystniejsze inwestycje. Kiedy papież Paweł ogłosił w 1967 r. zadziwiające polecanie swojej encykliki „Populorum Progressio”, Watykan, spółka z o.o. i Michele Sindona już od kilkunastu lat byli bliskimi współpracownikami. (...)

Obiektem oszustw i manipulacji były także akcje Banca Cattolica. Sindona wiedział, że Calvi pertraktował z Marcinkusem w sprawie przejęcia banku — kursy akcji pięły się szybko w górę. W efekcie tej spekulacji wszyscy uczestniczący w niej stali się o wiele bogatsi niż poprzednio. Z wyjątkiem diecezji weneckiej.

Sindona przedstawił Calviemu Marcinkusowi w 1971 r. Biskup Marcinkus, który według własnych zapewnień nie znał się na działalności bankowej, miał więc dwóch wysłanników nauczycieli. Dla przypomnienia, prezesem Banku Watykańskiego mianował Marcinkusa papież Paweł VI.

Różne wydziały Watykanu oferowały tymczasem Sindonie, a niewiele później także Calviemu ponad 10 firm. W 1970 r. na przykład Watykan pozbył się ostatecznie firmy farmaceutycznej Serono, która produkowała pigułki antykoncepcyjne, będące jednym z jej bardziej opłacalnych wyrobów.

Dodatkowe źródło zysków dla Finabanku (a tym samym w równych częściach dla Sindony i Watykanu) stworzyła praktyka, która była jednocześnie jedną z kolejnych przyczyn upadku gospodarczego Włoch: systemu wystawiania podwójnych rachunków. (...)

Sztuczka polegała na tym, że przy dostawach za granicę wystawiano rachunki na znacznie niższe sumy. Rozwiązano w ten sposób rachunki przechodzące oficjalnie przez włoski Bank Państwowy, który zgłaszał oczywiście te transakcje do władz podatkowych. Na podstawie tych zaniżonych rachunków eksporterowi wymierzano podatek.

Różnicę do rzeczywistej wartości dostawy odbiorca przekazywał bezpośrednio na konto Finabanku w Genewie. W wielu wypadkach eksporterzy włoscy zgłaszali straty w tego rodzaju transakcjach i otrzymywali od urzędu finansowego jeszcze bonifikatę podatkową. Michele Sindona był właścicielem firm eksportowych, które zgłaszały takie straty. Powszechnie stosowaną przez Sindonę praktyką było trzaskanie się, przekupując polityków partii rządzących o to, by straty te zawsze uznawano. Przytaczał też argument, że w ten sposób zapewnia się w końcu miejsca pracy we Włoszech.

W podobny sposób lupinione państwo także w transakcjach importowych. Wystawiano tu w kolej rachunki poważnie zawyżone. Importer opłacał je najpierw w pełnej wysokości. Dostawca zagraniczny zwracał potem część sumy — najczęściej na konto Finabanku, od czasu do czasu także na konta w innych bankach szwajcarskich.

Z roku na rok Kościół dla ubogich papieża Pawła VI pomnażał swoje niezmiernie bogactwo. Finansowe wycofanie się Watykanu z Włoch doprowadziło do tego, że Sindona i Calvi rabowali teraz pieniądze wszędzie, by spłacić św. Piotra i papieża Pawła VI. (...)

Jeśli chodzi o „ważne kontakty”, to nikt nie mógł zaprzeczyć, że Sindona rzeczywiście takie miał. Rozciągały się one od rodzin mafijnych Gambino i Inzerillo na Sycylii i w Nowym Jorku po papieża Pawła VI, kardynałów Guerri i Caprio oraz biskupa Marcinkusa w Watykanie. Pokrywały one wyliczone wachlarze polityczne, który rozciągał się od Andreottiego i Fanfaniego we Włoszech po Richarda Nixona i Davida Kennedy'ego w Białym Domu. Obejmowały one intymne stosunki handlowe z niektórymi najpotężniejszymi instytucjami finansowymi na świecie — Hambrosem w Londynie, Continentalem w Chicago i Rothschildem w Paryżu. Przez łożę P2 Licio Gellego Sindona nawiązał ściśle więzi z ludźmi, którzy rządzą w Argentynie, Paragwaju, Wenezueli i Nikaragui. W rozmowie z jednym z adwokatów rzymskich Sindona powiedział, na temat ówczesnego dyktatora Nikaragui, Somozy:

„Wolę współpracować z takimi ludźmi, jak Somoza. Z jednoosobową dyktaturą można znacznie łatwiej robić interesy, niż z rządami wybranymi demokratycznie. Jest u nich zbyt duża komisja, zbyt duża kontrola. Pragną one być uccie, a to nie jest dobre dla interesów bankowych”.

Jest to wymieniona ilustracja filozofii łoża P2, sformułowanej przez jej właściciela, Licio Gellego: „Drzwi wszystkich skarbców bankowych powinny otwierać się dla prawicy”. Podczas gdy Sindona robił interesy z Somozą i rozglądał się za podobnym partnerem w Stanach Zjednoczonych, również Gelli nie pozostawał bezczynny w Argentynie. Wietrząc rozczarowanie społeczeństwa panującą juntą włączył się do rozważań nad powrotem generała Perona z emigracji. W 1971 r. przekonał ówczesnego prezydenta, Lanusse'a, że jedynie powrót Perona może przywrócić stabilizację polityczną w Argentynie. Wkrótce potem generał wyjechał do Buenos Aires wśród wietających tłumów. Jedną z pierwszych rzeczy, jaką zrobił, było wyrażenie na kolanach wdzięczności Licio Gellemu — gest, którego naczelnym świadkiem był między innymi premier Włoch, Andreotti. We wrześniu 1973 r. Peron został ponownie prezydentem Argentyny.

Podczas gdy Gelli doprowadzał do władzy prezydenta w Argentynie, Sindona w Stanach Zjednoczonych uczył się już u rządzącego prezydenta. Przyjrzywszy się scenie politycznej w USA doszedł do wniosku, że Richard Mijhose Nixon był człowiekiem najbardziej zbliżonym do politycznego ideału Somozy i Perona.

W celu rozbudowania dobrych kontaktów Sindona umówił się na spotkanie z zarządcą kasy wyborczej Nixona w kampanii w 1972 r., Maurice Stanssem. Sindona przyszedł na to spotkanie z dużą walizką zawierającą milion dolarów w gotówce. Zaproponował te pieniądze Stansowi jako dotację na kampanię wyborczą; chciał w ten sposób, jak powiedział, „zademonstrować swoją wiarę w Amerykę”. Wydaje się, że mniej myślał przy tym o Ameryce demokratycznej, gdyż przywiązywał największą wagę do tego, by jego zastrzyk finansowy pozostał tajemnicą. Stans oświadczył później, że nie przyjął dotacji Sindony na kampanię wyborczą, gdyż zgodnie z uchwaloną krótko przedtem ustawą anonimowe darowizny były zabronione.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy biskup Marcinkus prowadził śledztwo w sprawie miliardowego oszustwa ze stażowanymi papierami wartościowymi przedstawicielom amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości mówił coś o wysłannictwach umiejętnościach bankierskich Michele Sindony, ten ostatni wystawił czek na 307.000 dolarów. Suma służyła spłaceniu zobowiązań, jakich Sindona nawarzył sobie wobec Watykanu przez nielegalne manewrowanie na giełdach amerykańskich akcjami przedsiębiorstwa pod nazwą Vetco Industries. Naruszając przepisy giełdowych władz nadzorczych w USA, S.E.C., operujący z Los Angeles makler giełdowy zakupił na polecenie Sindony i Marcinkusa około 27 proc. kapitału Vetco. Watykan zapłacił należną grzywnę, a potem z zyskiem sprzedał akcje Vetco.

W połowie 1973 r. luki finansowe w bilansie banków Sindony nabrały ogromnych rozmiarów. Przemieszczenie z jednego banku do drugiego dużych sum pieniężnych istniejących tylko na papierze i naruszanie przy tym wszelkich możliwych przepisów oraz popełnianie niezliczonych oszustw jest grą, którą można prowadzić bardzo, bardzo długo pod warunkiem, że lapówki przekazuje się we właściwe ręce. Problematyczne staje się to jednak wówczas, gdy zaczyna się odprowadzać i kraść większe sumy pieniężne. Tworzą się wówczas luki. Wypełnia się je wykazując zyski, które istnieją jednak tylko na papierze. Im więcej odprowadzi się rzeczywistego, twardego pieniądza, tym większe stają

się te luki i tym większe muszą być też fikcyjne zyski, których potrzeba do wyrównania bilansu. Pieniądże zbierane za swoich banków (należące oczywiście do innych ludzi) Sindona przekazywał wielu odbiorcom — partii Democrazia Cristiana, łożu P2, Watykanowi i prawniczym rządowi w Ameryce Południowej, by wymienić tylko kilku z najważniejszych odbiorców, korzystających z jego dobroczynności. Oprócz tego oblażyło się również wielu jego współpracowników.

Na swoim biurku w biurcu przy nowojorskiej Szóstej Alei rekin wprawiał się w japońskiej sztuce „origami”. Podłoga wytwornego biura była usłana niezliczonymi świadectwami jego zaawansowanego mistrzostwa w układankach z papieru. Prawie jak symboliczne wizerunki jego licznych firm piętrzyły się wokół niego małe puste pudełka. Interesy rekina weszły teraz w stadium podobne do międzykontynentalnej zongierki — dokonać fuzji firmy A z bankiem B, pakiet akcji C dołożyć do holdingu D. Fuzje, rozdzielanie, wykupywanie, ponowne łączenie.

Włosi określali go jako „Il Crack Sindona”. Kiedy się to wydarzyło, kiedy runął zbudowany przez Sindonę pomnik chciwości i pieniędzy i korupcji, było to pełne wyrazu widowisko. Czyż nie powiedział on z pogardliwym gestem, że sam nie wie, jak duży jest jego osobisty majątek, musi jednak zaakceptować to co mówią inni, szacując go na około pół miliarda dolarów? (...)

We wrześniu 1974 r. ogłoszono przymusową upadłość Banca Provata. Szacunkowe straty wyniosły ponad 300 mln dolarów. Watykan musiał spisać na straty 27 mln wkładów oraz swoje udziały w banku.

## (12) „W imieniu Boga” — tajemnicza śmierć Jana Pawła I

Trzeciego października 1974 r. Licio Gelli zwrócił małą część ogromnych pieniędzy, przekazanych łożu P2 przez Sindonę. Członkowie P2 z aparatu wymiaru sprawiedliwości i policjanci zwrócili uwagę Gellego na to, że na następny dzień zaplanowano aresztowanie Sindony. Gelli poinformował o tym Sindonę.

Czwartego października wystawiono nakaz aresztowania Michele Sindony, który tymczasem uciekł z Włoch. Będąc zawsze przewidującym człowiekiem, przeczornie zmienił obywatelstwo. Jest teraz obywatelem Szwajcarii. Rekin z Sycylii znajduje się w swoich nowych stronach ojczystych, w Genewie. (...)

Od października 1974 r. do stycznia 1975 r. zatrząsł się europejski świat finansowy, kiedy w krótkich odstępach czasu zbankrutowały kolejne liczne banki kontrolowane przez Sindonę lub związane z nim — banki Wolff AG w Hamburgu i ISK. Herstatt w Kolonii, Amincor-Bank w Zurychu i Finabank w Genewie. Jeżeli chodzi o ten ostatni, to szwajcarskie koła bankowe oceniają na 240 mln dolarów straty, jakie na skutek jego bankrutwa poniosł Watykan. Straty Finabanku na samych tylko operacjach dewizowych ocenia się na przynajmniej 82 mln dolarów.

Władze włoskie, a dokładniej mówiąc ta ich część, która nie znajdowała się pod kontrolą P2, coraz bardziej były w tym czasie zdenerwowane. Sindona, który ukrywał się tymczasem w USA, nie wykazywał w żadnym wypadku skłonności do powrotu do Włoch. W październiku 1974 r. rozpoczęły się długotrwałe zmagania o jego ekstradycję. Zmagania te miały mieć bezpośredni wpływ na dalszy los człowieka, który w owym czasie zajmował się jeszcze zbieraniem w Wenecji i okolicy pieniędzy na finansowanie ośrodków dla upośledzonych. Trudno byłoby znaleźć większy kontrast jak między Albino Lucianim a rekinem oraz między uznawanymi przez obu wartościami i celami, jakie im przyświecały.

Podczas gdy wielu ludzi usilnie życzyło sobie obecności Sindony we Włoszech, w Watykanie najprawdopodobniej uważano go za „persona non grata”. Rozgoryczenie papieża Pawła VI narastało z każdą dostarczaną mu przez sekretarza stanu, kardynała Villota informacją o nowych aspektach afery Sindony. Mówiono, że papież Paweł VI zmierzał do tego, by stać się pierwszym ubogim papieżem nowej ery. Nie jest to zgodne z prawdą. Likwidacja większości udziałów Watykanu we Włoszech służyła tylko jednemu celowi: zwiększeniu zysków. Ożywiony dążeniem do uniknięcia zbliżającego się opadnięcia dochodów z kapitału ulokowanego we Włoszech i zmniejszenia swej obecności gospodarczej w tym kraju Watykan Sp. z o.o. dał się zwabić Sindonie i jego klanowi obietnicą jeszcze większych zysków dzięki inwestycjom w USA, Szwajcarii, Niemczech i innych krajach.

Dziś Watykan chętnie chciałby przekonać opinię publiczną, że to tylko sam papież Paweł VI przez prawie całe dziesięciolecie był odpowiedzialny za intensywne i stałe partnerstwo Watykanu z Michele Sindoną. Twierdzenie to ma tylko obronny charakter. Znamienne, że nigdy nie było o nim nie słychać za życia papieża Pawła VI. Bez wątpienia papież stworzył rekinowi watykańskie bramy z brązu i zaprosił go skiniemieniami ręki do środka, ale uczynił to, ponieważ jego sekretarz, monsignore Pasquale Machi, jego doradcy kardynał Guerri i Benedetto Argentieri z Sekcji Nadzwyczajnej i jego sekretarz stanu, kardynał Villot przekonali go o tym, że Sindona był zestany przez Boga rozwiązaniem problemów Kościoła. Gdyby doradcy papieża zachowali pewne środki ostrożności, mogliby w porę ostrzec papieża, a ten bez wątpienia posłuchałby ich ostrzeżeń. Bliższe zajęcia się podstawowymi wydarzeniami prowadzi do nieuchronnego wniosku, że wiele wysoko postawionych osób wewnątrz murów watykańskich zbyt chętnie tolerowało kryminalne machinacje Michele Sindony i współuczestniczyło w nich. Czy Machi, Argentieri, Guerri i Villot byli zacytnymi ludźmi? Czy byli nimi Marcinkus, Mennini i Spada z Banku Watykańskiego? Czy zacytnym człowiekiem była Jego Świątobliwość, papież Paweł VI?

Biskup Marcinkus musiał poddać się wielu nieprzyjemnym, szczegółowym przesłuchaniom przez włoskie władze wymiaru sprawiedliwości. Pytano go o osobiste i służbowe kontakty z Sindoną. Marcinkus, który na prośbę Sindony i Roberto Calviego przyjął stanowisko dyrektora banku mającego swoją siedzibę w raju podatkowym, Nassau na Wyspach Bahama, bliski przyjaciel Sindony, w 1973 r. prowadzącym dochodzenie Amerykanom, którzy przesłuchiwali go podczas wizyty w Watykanie, oświadczył: „Michele i ja jesteśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi. Znamy się od lat. Moje interesy finansowe z nim były jednak bardzo niewielkie. Jest on, jak panom wiadomo, jednym z najzamożniejszych przemysłowców we Włoszech. Jeśli chodzi o sprawy finansowe, to wyprzedza on swych współczesnych”.

Niecałe dwa lata później, 20 lutego 1975 r. czcigodny biskup Marcinkus zapytany przez przedstawiciela włoskiego czasopisma L'ESPRESSO o swoje kontakty z Sindoną, oświadczył: „Prawda jest taka, że Sindona w ogóle nie znam. Jakże mógłbym więc stracić przez niego pieniądze? Watykan nie stracił ani centa, wszelkie inne stwierdzenia są fantazją”.

Pamięć biskupa Marcinkusa okazała się w sposób godny uwagi zła, zwłaszcza jeśli uwzględnimy, że był on prezesem banku. W 1973 r. wobec rządowych adwokatów amerykańskich oświadczył: „Moje transakcje finansowe z Sindoną miały tylko niewielki zakres”. W rzeczywistości te transakcje z bankierem mafii były bardzo rozległe i to przez cały okres od późnych lat sześćdziesiątych po początek 1975 r., na krótko przed „Il Crack Sindona”. Niecałe dwa lata przed przesłuchaniem przez adwokatów amerykańskich i funkcjonariuszy FBI Marcinkus przy wydatnym współdziałaniu Sindony sprzedał Banca Cattolica Roberto Calviemu za 46,5 mln dolarów, za co otrzymał od Sindony milionową prowizję. Nie było to wcale żadną „fantazją”, tak samo jak późniejsze straty, których Sindona przysporzył Watykanowi.

W następstwie bankrutwa Sindony aresztowano dra Luigi Menniniego, sekretarza Banku Watykańskiego; odebrano mu paszport. Mennini, który pracował bezpośrednio pod kierownictwem Marcinkusa, zaprzeczył wszystkim i o niczym nie wiedział. Można sobie wyobrazić, że Alessandro Mennini, syn Luigiego, zajmujący wysokie, odpowiedzialne stanowisko w wydziale zagranicznym Banco Ambrosiano (w wiec ośrodku nerwowym, z którego sterowano sporą częścią spekulacji dewizowych), byłby tak samo zaskoczony i nieświadomy, gdyby ktoś wypytywał go o działalność kryminalną Sindony i Calviego.

Przed spektakularnym „crackiem” Sindony Mennini z polecenia i na rachunek Banku Watykańskiego spekulował dewizami, ramię w ramię z współpracownikiem Sindony, Carlo Bordonim. Z upływem czasu Bordonim poznał go bardzo dobrze.

Mimo to że występował jako prałat, był obeznanym ze wszystkim spekulatorem. Dokuczał mi pod każdym względem, gdyż chciał zarabiać coraz więcej i więcej pieniędzy. Spekulował za pośrednictwem Finabanku, spekulował akcjami i surowcami. Przypominam sobie, że pewnego dnia wręczył mi krótkie pismo od papieża Pawła VI, wyrażające papieskie błogosławieństwo za moją pracę jako doradcy Stolicy Apostolskiej. Mennini był praktycznie bezbronną ofiarą szantażu Sindony, który często groził ujawnieniem przed opinią publiczną informacji o jego nielegalnych operacjach dokonywanych za pośrednictwem Finabanku. (...)

W tym samym czasie, kiedy Michele Sindona walczył w Nowym Jorku przeciw swojej ekstradycji do Włoch i przygotowywał plany odwetu, Watykan Sp. z o.o. zajęła się już ponownie spekulacjami; tym razem posłużono się człowiekiem, który poszedł śladami Sindony: Roberto Calvi. Calvi był znany w mediolańskich kołach finansowych jako „Il Cavaliere” („rycerz”) — osobliwy przydomek człowieka, który był podskarbnym P. 2. Nosił go od 1974 r., kiedy urzędujący wówczas prezydent Włoch Giovanni Leone w uznaniu jego zasług dla gospodarki włoskiej nadał mu tytuł „cavaliere del Lavoro”. Calviemu powierzono wówczas przejęcie roli Sindony jako człowieka oczyszczającego pieniądze mafii i menedżera wszelkich innych możliwych nielegalnych działań.

Roberto Calvi urodził się 13 kwietnia 1920 r. w Mediolanie. Jego korzenie rodzinne tkwiły jednak w Veltlin, długiej dolinie górskiej w pobliżu granicy ze Szwajcarią, niedaleko od rodzinnej miejscowości Albino Lucianiego. Obaj byli synami gór. Po studiach w cenionym uniwersytecie Bocconi walczył na froncie rosyjskim za Mussoliniego. Po wojnie idąc w ślady ojca poświęcił się działalności bankowej. W 1947 r. rozpoczął pracę w Banco Ambrosiano w Mediolanie. W banku, który miał za patrona św. Ambrożego, panowała religijna atmosfera. Podobnie jak Banca Cattolica Veneto był on znany jako „bank księży”. Kto chciał otworzyć w nim konto, musiał najpierw świadectwem chrztu udowodnić, że jest katolikiem. Posiedzenia rady nadzorczej kończyły się modlitwą dziękczynną za osiągnięte obroty i zyski. We wczesnych latach sześćdziesiątych w banku tym panowała bardziej pełna namaszczenia atmosfera, niż w niektórych kościołach mediolańskich. „Rycerz” o zimnych oczach planował pewne nierodoksyjne rzeczy w odniesieniu do tego senownego banku diecezjalnego, do którego klientów należał arcybiskup Mediolanu, kardynał Giovanni Montini. Kiedy w 1963 r. Montini został papieżem, Calvi awansował na zastępcę kierownika Banco Ambrosiano. W tym czasie, kiedy papież Paweł VI wezwał Sindonę do Watykanu, aby powierzył mu likwidację znacznej części nieprzychylnie rozległych lokat kapitałowych Kościoła, rekin i „rycerz” byli dobrymi przyjaciółmi. Obaj opracowali już plan zawładnięcia Banco Ambrosiano i uczynienia z niego międzynarodowego instytutu bankowego zupełnie szczególnego rodzaju. W 1971 r. Calvi zastąpił urzędującym dyrektorem banku. W wieku 51 lat przerósł znacznie skromną pozycję swego ojca. Gdyby był człowiekiem przeciętnego pokroju, zadowoliliby się być jego społeczeństwem na laurach i odgrywanym na posiedzeniach rady nadzorczej roli intonującego modlitwę. Jedną przeciętną rzeczą u Roberto Calviego był jego wzrost. Umiejętność wyszukiwania coraz to nowych dróg oczyszczania pieniędzy mafii, doświadczenie i spryt w nielegalnym eksporcie kapitału, omijaniu podatków, maskowaniu nielegalnych praktyk, kupowaniu akcji własnego banku, manipulowaniu giełdą mediolańską, przekupywaniu, obchodzeniu prawa, organizowaniu mordertwa w jednym miejscu, a nieuzasadnionego aresztowania w innym — wszystkie te i inne umiejętności uczyniły z „rycerza” kryminalistę szczególnie wysokiej klasy.

Sindona przedstawił Calviemu szefowi Banku Watykańskiego, biskupowi Marcinkusowi w 1971 r. Od razu przyjęło go do ekskluzywnego kręgu „uomi di fiducia”, „mężów zaufania” Watykanu. Do tego kręgu doradców i agentów finansowych Watykanu Sp. z o.o. należeli tacy ludzie, jak Sindona, Spada, Mennini i Bordonim, wszyscy bez wyjątku niezwykle starannie dobrani.

Zadanie Calviego polegało na rozpowszechnianiu na cały świat wrzodu rakowego inspirowanej przez Watykan przestępczości gospodarczej. W 1963 r. założył mającą swoją siedzibę w Luksemburgu firmę pod nazwą Compendium, która przemianowała potem na Banco Ambrosiano Holdings SA. Ta pieniężna rolę skrzynki pocztowej firma odgrywała kluczową rolę w manewrach finansowych Calviego. Przez jego konta miały przepłynąć miliony wypożyczonych eurodolarów. Na całym świecie stale wzrastała — do ponad 250 — liczba banków nakłoniłonych do pozyczenia pieniędzy tej małej, zakamuflowanej firmie, a ogólna suma kredytów osiągnęła ponad 450 mln dolarów.

Cesarstwo „rycerza” szybko rozrastało się. Już na początku lat sześćdziesiątych Banco Ambrosiano zakupił Banco del Gottardo w szwajcarskiej miejscowości Lugano. Po bankrutwie należącego do Sindony Amincor-Bank w Zurychu, bank ten stał się głównym miejscem przeładunkowym mafii, które miały być oczyszczone. Doszły do tego inne nabytki za granicą. Jednym z nich był Banco Ambrosiano Overseas Ltd. w Nassau. Te filie w raju podatkowym, jakim były Wyspy Bahama, utworzone w 1971 r.; od początku jednym z jej dyrektorów był biskup Paul Marcinkus. Pierwotnie firmę tę, przypuszczalnie dla lepszego zamaskowania, zarejestrowano pod nazwą Cisalpine Overseas Bank. Napływające do kas Banku Watykańskiego dochody rosły w takim samym stopniu, jak imperium Calviego.

Dla zrozumienia bardzo skomplikowanych, często zupełnie świadomie komplikowanych manipulacji finansowych, dokonywanych przez Calviego w latach siedemdziesiątych, musimy wyiać sobie jedno: Banco Ambrosiano w Mediolanie i Bank Watykański były ze sobą ściśle powiązane. Wiele najważniejszych operacji było wspólnymi operacjami obu instytutów. Możliwość ciągłego naruszania prawa Calvi zawdzięczał pomocy udzielonej mu przy tym skwapliwie przez Bank Watykański. (...)

Dzięki wielokrotnej i stałej gotowości Banku Watykańskiego do współpracy Calvi mógł przez całe lata obchodzić ustawy włoskie nielegalnymi i kryminalnymi, krętymi drogami. Różne operacje (...) nie były możliwe bez wiedzy i aprobaty Marcinkusa.

C.D.N.

Fragmenty książki Davida Yallop  
„In God's Name”

Nieszczęście wydarzyło się w dniu rozpoczęcia hamowania. Byłem bardzo podniecony, bo zbliżałem się do najdalszego punktu trajektorii, wkrótce „Centaur” miał zatoczyć pełnię i wejść na kurs powrotny w stronę Ziemi. Przez całą noc nie zmrzyłem oka; obejrzałem kilka filmów, włączyłem się bez celu po statku, aż nad ranem zmęczenie wzięło górę. Zapadłem w drzemkę, śniąc o bezkresnych preriach, o pstrągach pluskających się w kryształowych strumieniach Gór Skalistych, o lazurowym niebie i białych obłokach. Leżałem na trawie przetykanej wonnymi kwiatami i patrzyłem na chmury podświetlone krwawym blaskiem zachodzącego słońca, gdy usłyszałem tętent końskich kopyt: w moją stronę zbliżał się czerwonoskóry jeździec. Twarz miał posępna, nieruchoma jak miedziany odlew, wspaniały orłi pióropusz opadał mu na plecy. Z winczesterem u siodła i toporem wojennym w dłoni wyglądał tak groźnie, że machinalnie zacząłem sprawdzać stan mojego skalpu, ale Indianin nie miał złych zamiarów. Podjechał blisko, na parę kroków, potrząsnął tomahawkami i rzekł gardłowym głosem:

— Niech błada twarz wstanie, komputer zwiariował. Howgh!

Zerwałem się na równe nogi i pognałem do sterowni. Komputer rzeczywiście zwiariował; włączył silnik, ale nie obrócił statku, tak że zamiast hamować, zwiększał jeszcze prędkość. Jak sparaliżowany patrzyłem na wskazówkę tachometru pełznąca w stronę czerwonej kreski oznaczającej prędkość światła. Coś mignęło na ekranie z lewej strony — chyba Proxima Centaura. Minałem cel podróży, a statek pozerzał przestrzeń unosząc mnie coraz dalej od Ziemi. Dylatacja czasu osiągnęła już wartość bliska nieskończoności, każda sekunda rozciągała się na lata w ziemskiej skali i z przerażeniem, stwierdziłem, że jeśli nie opamiętam się, niedługo wylecę poza obręb Galaktyki. To mnie zdopięgowało do działania. Wyłączyłem komputer z postanowieniem, że w wolnej chwili rozwalę go na kawałki i przejąłem sterowanie „Centurem”.

Kiedy znów gwiazdy ukazywały się na ekranach, ujrzałem konstelacje, które w żaden sposób nie pasowały do moich map. Na oko owszem mogłem określić położenie centrum Galaktyki i kierunek, w którym należało szukać Słońca; ale na oko można spacerować po łańcuchach kosmicznych to zupełnie inna sprawa. Trzeba wszystko

wymierzyć, obliczyć, a jak ja miałem to uczynić, skoro nie wiedziałem, dokąd mnie wywołał elektroniczny małol sterujący rakietą. Na szczęście dziób statku zakończony był czujnikami do wychwytywania i analizy materii międzygwiazdowej i mogłem go teraz użyć, jak psa gończego do odszukania trajektorii powrotu, bo rakietę poruszająca się z prędkością przyświełną pozostawia za sobą ślad podobnie jak odrzutowiec naddźwiękowy. Ślad nikły: trochę atomów zszuszczonej z pancerza, niewielka kondensacja materii, ale przy dużej prędkości to wystarczy, aby czujnik utrzymał trop. Gorzej było z paliwem. Dodatkowo akceleracja, a potem hamowanie znacznie uszczupliły stan zbiorników. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, czy wystarczy mi paliwa na powtórne wyhamowanie „Centaura”, czy też przestrzeżony System Słoneczny jak kula karabinowa, ale o tym na razie starałem się nie myśleć. Aby zmniejszyć masę statku wywaliłem w przestrzeń wszystkie książki wraz z regałami. Był to gest czysto symboliczny, praktycznie bez wpływu na przyspieszenie rakiety, na czymś jednak swoją złość musiałem wyładować. Zresztą później żałowałem trochę tego czynu. No, bo jeśli istnieją pozaziemskie cywilizacje i jakaś ich wyprawa natknie się na te książki, i, nie daj Boże, jakiś kosmiczny lingwista zdoła je odczytać, to co on sobie o nas pomyśli po takiej lekturze? W minorowym nastroju połączyłem czujnik ze sterami, pełną dźwięcznie akceleracją do oporu i powlokłem się do magazynu, gdzie wśród medykamentów udało mi się przed startem ukryć kilka butelek żywności.

Podróż powrotną wspominam jak najgorzej. „Centaur” powoli, lecz systematycznie zaczął się psuć i przeciętnie raz w tygodniu jakieś urządzenie odmawiało posłuszeństwa — czasem chwilowo, a czasem na stałe. Najpierw rozregulował się termostat w basenie, tak że woda w nim albo pokrywała się warstwą lodu, albo gotowała. Kiedy próbowałem go naprawić, bo automatyczne zespoły remontowe oczywiście nie działały, osiągnąłem tylko to, że woda zamarzała do dna i lód rozzerwał metalowy zbiornik. Potem termostat samorzutnie przelał się na granie i wrzatek załazł sałe gimnastyczny. Przez pół dnia wiadłem i szmatą zbierałem ukrop, zanim doprowadziłem wszystko do porządku. W miesiąc póź-

niej zepsuł się aparat projekcyjny. To była dla mnie bardzo dotkliwa strata, bo chciałem filmy znaleźć już na pamięć, przy ich oglądaniu jakoś zabijałem czas. Aparatu nie naprawiłem, bo w międzyczasie doszło do zwarcia w głównej instalacji elektrycznej; na statku zapanował półmrok rozpraszany tylko nikłym blaskiem świateł awaryjnych. Czekając, kiedy instalację awaryjną też diabli wezmą, marząc jednocześnie, abym po powrocie na Ziemię przynajmniej jednego z wykonawców „Centaura” zastał przy życiu.

Jedyną rozrywką w tym okresie były dla mnie wizyty Indianina, który swego czasu ostrzegł mnie o awarii komputera. Nigdy nie poznałem jego i-

biny — nie. Myślałem, że duszę ze mnie wytrzęsie, tak mną rzucało w szczytach dekalacji. O całość rakiety też się obawiałem, dlatego zmniejszyłem ciąg i kiedy na przednim ekranie ukazały się fioletowe iskierki gwiazd, stwierdziłem, że wprawdzie zbliżam się do Słońca, ale ze zbyt dużą prędkością. Na jakikolwiek manewr było już za późno, zresztą w zbiornikach z paliwem świeciło dno. Przerazony wizją przemiany „Centaura” w „Latającego Holendra Numer Dwa” pobiegiem do radiostacji i zacząłem wzywać pomocy na wszystkich możliwych falach.

Statek jak martwa bryła metalu z zawrotną prędkością zbliżał się do granic Systemu Słonecznego, a ja bezskutecznie

planetą Mars. Obserwator RR-27 oczekuje na rozkaz.

Przez pół godziny panowała cisza, a potem głosnik zagrzmiął włączonym głosem:

— Człowiek HS-47E-0425 do wszystkich systemów obronnych. Rozkazuję: zlokalizować UFO-Ce-13 i zniszczyć wszelkimi dostępnymi środkami. Wykonać!

Łodowaty dreszcz przebiegł mi po grzbiecie. Wszystko wskazywało na to, że niezidentyfikowanym obiektem UFO-Ce-13 jestem właśnie ja, a konkretnie mój „Centaur”, ze mną na pokładzie. Zacząłem wrzeszczeć do człowieka HS-47E-0425, że ja też jestem Człowiekiem i żeby natychmiast odwołał swój rozkaz, bo nie po to tułem się po Galaktyce przez paręset lat, żeby w chwili powrotu zestrzelono mnie jak kaczkę. Dotarło to do niego, bo zawiesił wykonanie wyroku, chociaż w dalszym ciągu kazał

mnie trzymać na wszystkich możliwych celownikach i zaczął, abym podał swój kod identyfikacyjny. Podałem imię i nazwisko, datę urodzenia, imiona rodziców, nawet wzrost i kolor oczu, ale on uznał to za wykrytą. Z kamiennym spokojem oświadczył, że jeżeli natychmiast się nie zidentyfikuję, każe mnie zestrzelić, bo nie może dopuścić, abym uderzył w Marsa i zniszczył tamtejsze kolonie ludzkości. Nie widząc innego wyjścia na poczekaniu wyśleszyłem kod NK-01-ZWPIC (niebezpieczny kosmonauta numer jeden zagubiony w przestrzeni i czasie). Człowiek HS-47E-0425 powiedział, że mój identyfikator jest sprzeczny z ogólną zasadą tworzenia kodów, więc najprawdopodobniej kłamie, ale na wszelki wypadek zasięgnie informacji w Centrum, a mnie na razie wprowadzi na orbitę wokół Słońca. Rzeźnicę więc po jakimś czasie do mojego statku zbliżyły się trzy pojazdy kosmiczne o bardzo dziwnych kształtach i „Centaur” uchwycony jakby szczękami imadła powoli zaczął zmieniać swój kurs i prędkość. Trwało to ze dwa tygodnie i przez ten czas głosnik nie odezwał się ani słowem. Chciał ja nadałem w stronę Ziemi całą historię swojego lotu.

W gruncie rzeczy moja osobista sytuacja niewiele się zmieniła. W pozabawionym paliwa wraku z polową nieczynnych urządzeń krążyłem między Marszem a Jowiszem na skrajach pasa planetoid i czekałem, kiedy mnie wreszcie ktoś ściągnie z tej orbity. Nudziłem się do tego stopnia, że znów zacząłem odbywać konne przejażdżki w towarzystwie Czer-

wonoskórego Brata, aż kiedyś, po powrocie z polowania na bizony, w radiostacji znalazłem telegram informujący, że przedstawiciele ONZ (Organizacji Narodów Ziemi, a nie Organizacji Narodów Zjednoczonych, jak pomyślałem w pierwszej chwili) są już w drodze i za kilka godzin przybędą na pokład „Centaura”, aby mnie, Bohatera Kosmosu, powitać w imieniu Ludzkości.

Pośpiesznie zacząłem przygotowywać się do przyjęcia gości. Na statku panował solidny bałagan, ale na generalne porządki było już za późno, zająłem się więc przede wszystkim własnym wyglądem. Ogoliłem się, nieestety, nie mogłem, bo aparat gdzieś się zapodział jeszcze koło Proxima, być może wyrzuciłem go razem z książkami. Przyszyłem tylko brodę i włosy — z przodu wyszło jak tako, ale z tyłu wyglądałem, jakby mnie mole napoczęły; trudno, na „Centaurze” fryzjera nie miałem. Pocięszyłem się myślą, że hełm skafandra powinien skutecznie osonić niedostatki mojej fryzury. Skafander jak nowy wisiał w szafie koło śluzu. Ostatni, a zarazem jedyny raz miałem go na sobie w dniu startu, więc tylko wyczyściłem pastą do zębów metalowe sprzączki i przegladając się w lustrze stwierdziłem, że wyglądam jak wzór kosmonauty — tak mi się przynajmniej wydawało. Wyśleszyłem ONZ odnieśli chyba jednak inne wrażenie, bo kiedy stanęliśmy naprzeciw siebie — oni w zwiewnych szatach, wygoleni jak egipskie kapłani i ja zarośnięty, zakuty w zbroję kombinezonu — przez chwilę panowało kłopotliwe milczenie.

Z ceremonii powitania niewiele pamiętam; byłem zbyt wzruszony i podniecony, a zarazem, aby opamiętać, które beładnie tomaty mi w czasie. Szef delegacji przemawiał długo i kwieciste, łagodnym przyciszonym głosem, zupełnie jak misjonarz, usiłujący nawrócić dzikiego Bushmena na chrześcijaństwo, a pozostali goście uroczysto kiwali głowami. Potem przyszła kolej na mnie, lecz ja zdołałem jedynie wydukać, że bardzo się cieszę z powrotu na Ziemię. Język skołował mi zupełnie, społem się jak ruda mysz, aż w końcu jeden z dostojników, widząc mistrz ceremonii, ułtował się nade mną. Dyskretnym gestem ustawił całą delegację w szpaler wzdłuż „kawała” haczyka „Centaura” ze statkiem specjalnym ONZ i poprowadził mnie na jego pokład.

ANDRZEJ MERCIK

## Paradoks bliźniąt (2)

mienia; zwracałem się do niego per Czerwonoskóry Bracie, a on, w zależności od humoru, nazywał mnie Bładą Twarz lub Kosmicznym Skunksem. Z początku to drugie przezwisko trochę mnie drażniło, ale, jak się okazało, Czerwonoskóry Brat wcale nie zamierzał mnie obrazić, wręcz przeciwnie — w jego plemienu skunks był zwierzęciem czczonym, w panteonie bogów zaraz po Wielkim Manitou. Indianin przyjeżdżał zwykle pod wieczór na gładkim wierzchołku, witaliśmy się ceremonialnie, a potem ja dostaję swojego centaura i jechałymi na polowanie albo na ryby, nocą zaś, pod kopułą mrugających gwiazd gawędził mi przy ognisku. To były moje najwspanialsze przygody w tej wyprawie — szkoda, że urojone.

Z rufy statku od czasu do czasu dochodziły mi głuche postęknięcia. Tam też coś się psuło, ale nie wiedziałem co. Wyglądałem przez tylny iluminator, aby sprawdzić, czy jeszcze mam silniki, lecz w kosmicznej ciemności niczego nie mogłem dostrzec. Sprawa wyjaśniła się, gdy nadszedł moment hamowania. Silniki były sprawne, ale urządzenie synchronizujące ich pracę z obrotami ka-

wołałem o pomoc. Niestety po za szumem i trzaskami w eterze panowała cisza. Z każdą godziną mój niepokój wzrastał coraz bardziej. Według przewidywań obliczeń od chwili startu na Ziemi upłynęło około trzystu lat. Cóż, trzy wieki to kawał czasu; teoretycznie rozwój techniki powinien był już doprowadzić ludzkość do poziomu cywilizacji kosmicznej, ale diabli wiedzą, czy w międzyczasie społeczeństwo nie utknęło na jakiejś mieliznie i może zamiast jądłowych supermenów dumnie kroczących po zurbanizowanej planecie, po ruinach dawnych metropolii krążyć uzbójone w maczugach hordy degeneratów. Takie myśli gnębiły mnie w ostatnich dniach lotu. Na szczęście były to obawy ponne, bo kiedy minąłem orbitę Plutona, usłyszałem szkielety, nienaturalnie wysoki głos:

— Obserwator RR-27 do Człowieka HS-47E-0425. Melduję: z radianta Centaura do Systemu Słonecznego wtargnął niezidentyfikowany obiekt latający. Według wstępnych obserwacji ma on rozmiar i masę małej planetoidy, jest pozbawiony zdolności manewrowania, porusza się z prędkością około 0,1c kursiem kolidyjnym z

## Seans

LESZEK KRASKOWSKI

Obrzmiałe kocie pazury wbiły się miękko w szyję kobiety, ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk ofiary zmieszany z radosnym pomrukiwaniem napastnika. Pazury wbiły się głębiej, gwałtowne szarpnięcie rozzerwało delikatną szyję. Trysnęła krew, jej strumień oblał twarz mężczyzny. Ulica wielkiego miasta gwałtownie opustoszała. Mężczyzna-oprawca przypominający wyglądem neandertalczyka odziany był w poszarpane lachmany, poplamione krwią. Z jego gardła wyrwał się dziki okrzyk triumfu. Wbił zęby w szyję kobiety rozkoszując się słodkim smakiem świeżej i ciepłej krwi. Ofiara usiłowała ostatkiem siły bronić się, jednak jej rozpacziwe ruchy przerodziły się ostatecznie w konwulsyjne drgawki agonii.

Ulice miasta pokryte były szarym pyłem. Z okien obrzmiałych drapaczy chmur ziała czerń. Mury budynków były stare i popękane. Granica między chodnikiem a jezdnią zatębiała się całkowicie. Błoto zmieszane z gnijącymi odpadkami żywności było wszędzieobecne. W powietrzu unosiła się trudna do zniesienia woń wielkomięskiego śmiecia. W najciemniejszych i najohydniejszych kątach można było dostrzec nagie szkielety ludzkie. Mężczyzna oderwał na chwilę zęby od szyi ofiary, gdyż zauważył intruza zmierzającego w jego kierunku. Puścił kobietę, która osunęła się bezwładnie na ziemię i legła w cuchnącej kałuży. Zbliżający się mężczyzna o zarośniętej i ogorzałej twarzy, odziany w skózaną kurtkę i zniszczone spodnie, groźnymi warknięciami dawał znać oprawcy, że jedynym ratunkiem będzie natychmiastowa ucieczka. Oprawca nie chciał jednak porzucić świeżej zdobyczy. Ogarnęła go żądza walki w obronie własnego łupu, który gwarantował mu przetrwanie.

Spojrzał jeszcze raz na zakrwawione ciało kobiety, rozczapierzył grube palce i szczywał się do obrony. Mężczyzna w skórzanej kurtce ruszył do ataku. Wydawało się, że dojdzie do walki wręcz. Tymczasem nagle z rąk atakującego mężczyzny wyleciał stalowy, połyskujący w zachodzącym słońcu nóż. Oprawca zachwiał się i sztywno runął na ziemię.

Zwycięzca tej krótkiej walki zbliżył się do leżącego mężczyzny, wyciągnął nóż z jego piersi i wytarł go starannie o lachmany zabitego. Krogulce paznokcie i diaboliczny wygląd intruza wskazywały na przynależność do gatunku Mięsożernych. Dokładnie obejrzał swoją podwójną zdobycz, następnie obwąchał ją starannie i wydał dziki okrzyk zwycięstwa. Po chwili oba ciała zawiłki

do swojego schronienia. Była to ponura nora w piwnicy. Rozpoczęła się uczta.

Po kilku godzinach resztki ciała wyrzucone zostały z nory na środek ulicy. Z ciemnych wnętr dawnego supersamu wyskoczyła zgraja obdartych, chudych kobiet. Ich niesamowita brydota charakterystyczna dla Pądlinożernych wydawała się doskonała. Kobiety sprawnymi, wyćwiczonymi ruchami obdzierały ciała z resztek mięsa, po czym, szybkim truchtem oddalały się do swoich kryjówek. Po chwili znów powracały w nadziei uzyskania jakichś ochłapów. Od czasu do czasu dochodziło między nimi do krótkich, zażartych bójek o poszczególne strzępy odzieży i kawałki mięsa.

To był świat dwudziestego trzeciego stulecia...

Przeziębły pisk oznajmił koniec seansu. Zapaliły się światła. Widzowie z głuchym hałasem opuszczali salę kinową. Wracali do swych trosk i zmartwień, radości i smutków codziennego życia. A życie im wypadło w XXII wieku...

Wieczór był chłodny. Reporter miejscowego brukowca (znany ponieważ ze swoich piąjkich wyczynów), Mark Bloom wyżej postawił kołnierza skórzanego płaszcza. Bacznie obserwował ludzi wychodzących z kina. Reporter przystąpił do akcji.

— Jak podobał się film? — zagadnął kilkunastoletniego wyroska, o mocno pomalowanej twarzy i pofarbowanych na fioletowo włosach.

— Chaha — mruknął niechętnie chłopak.

— Tak myślisz? Za dużo krwi?

— Wprost przeciwnie! Za mało! Bajeczki na dobranoc dla małych dzieci. Świat dwudziestego trzeciego wieku będzie o wiele bardziej brutalny i bezwzględny.

— Sądziś, że ludzkość dojdzie do takiego stanu upodlenia już za niecałe 50 lat?

— Stan upodlenia? Brednie! To przecież normalna walka o byt — chłopak lekceważąco machnął ręką i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Uwaga reportera skupiła się teraz na parze, która opuszczała właśnie kino i czyniła to ze sporym hałasem. Źródłem owego hałasu była kobieta około 40-letni. Jazgotowała i popychała niecierpliwie zasuszonego i zniszczonego mężczyzny, prawdopodobnie męża. Ubrana i wymalowana była ekstrawagancko, na palcach polyskiwały drogocenne pierścienie. Mąż, ubrany był skromnie, w stary zniszczony garnitur, pamiętający jeszcze czasy IV wojny światowej.

— Przepraszam państwa — Bloom podbiegł do szamoczącej się pary. — Jakie wrażenie wywarł film?

— A to co? Wywiad? — kobieta spojrzała podejrzliwie na podsunęty dyskretne mikrofon.

— Coś w tym rodzaju — reporter wyszczerzył zęby w przymylnym uśmiechu. — Reprezentuję miejscową gazetę — „Obserwator”.

— Aha — kobieta mruknęła niepewnie. — To bardzo dobrze, że tym filmem zajęła się wreszcie prasa. To skandal, aby coś takiego było w ogóle wyświetlane! Ja jestem z natury bardzo spokojna i delikatna. Nie mogę znieść widoku takiego bestialstwa. To jest po prostu nie do przyjęcia — parsknęła gniewnie, po czym silnym kopniakiem skierowała małżonka w stronę zaparkowanego samochodu.

Dalsze jej słowa zagłuszył przeciągły kobiecy pisk dobiegający z sąsiedniej, ślepej uliczki. Pisk ten przerodził się wkrótce w tłumiony krzyk.

— Zdaje się, że znowu kogoś mordują — westchnęła rozmówczyni Blooma i udała się śladem małżonka w stronę samochodu. Bloom popadł w melancholijną zadumę, tymczasem kino opustoszało i ostatni potencjalni rozmówcy znikali szybko w mrocznych wnętrzach swych samochodów. Reporter został na ulicy sam. Jedynie jakiś tęgawy jęgomoc z miną znużonego hipopotama wpatrywał się w trójwymiarowe fotosy. Osobnik przypominał zapasnika albo ciężarowca.

— Pan jest z „Obserwatora”? — zagadnął grubym głosem Blooma.

— Tak. Skąd pan wie?

Mężczyzna zrobił tajemniczą minę.

— Widziałem jak pan przeprowadzał wywiady. Może spróbowałby pan także ze mną?

— Bardzo chętnie — ucieszył się Bloom.

— Nie musi pan o nic pytać. Zaraz na wstępie wyznam panu szczerze, że jest to najwspanialszy film, jaki w życiu widziałem. Oglądałem go już szesnaste razy.

— Ma pan dziwny gust — przerwał mu dziennikarz.

— Może przejdziemy się kawalek — zaproponował atleta.

— No wie pan? W nocy, bez żadnego zabezpieczenia...

— Przy mnie może się pan niczego nie obawiać — przerwał atleta. — Ale powróćmy do tematu. Otóż jestem członkiem Towarzystwa Miłośników Ludzkiej Krwi i wręcz przepadam za tego typu filmami. U nas oczywiście obowiązują w tej chwili pełna kultura spożycia — porcelanowe filiżanki, drogocenne imbryki... rozumie pan? Ja nie mogę się jednak z tym pogodzić, nie umiem się przyzwyczaić do tej sztuczności, oderwania od natury. Popijanie krwi z filiżanek nie zawiera w sobie tego oroku, co czerpanie jej z naturalnego źródła, na przykład z aorty. No, a poza tym inny smak, świeżość, kolor. A propos, panie redaktorze, jaką ma pan grupę krwi?

— A — długopis w ręku Blooma począł lekko drżeć.

Ulica była ciemna i pusta, przypomiwała teraz najprawdopodobniej korytarz piekielny.

— Wspaniała grupa — atleta miśnął głośno i przelknął ślinę.

O walce nie mogło być mowy. Dysproporcja sił była zbyt wielka. Bloom usłyszał jeszcze tylko dzięki śmiech napastnika, następnie poczuł ostre bóle w okolicy szyi, po czym ogarnęła go nieprzeżyta ciemność...



## Spojrzenie znad szachownicy

### Co wydarzyło się w Moskwie?

Korzystając z pretekstu, jakim jest przerwanie rozgrywanego w Moskwie meczu o tytuł mistrza świata, cały ten tekst — a również i następny — chciałbym poświęcić szachom, tłumacząc się obłudnie, acz w niejkiej zgodzie z rzeczywistością, że być może zaprofituję to w przyszłości. Nikła mam bowiem nadzieja, że cała ta moja pisanina w poważniejszym stopniu wpłynie na losy galaktyki, świata czy kraju, istnieje natomiast szansa, iż klucząc tędy i owędy zdolam pomnożyć w jakimś tam stopniu wiedzę czytelników o grze zwanej królewską, co nie tylko uczyli ich lepszemu, ale i bardziej otwartym na argumentację ministra Krasniewskiego.

Rzecz w tym, iż niejako mimochodem chciałbym wspomnieć również o platnościach, każdy będzie mógł sobie tedy samodzielnie obliczyć, ile według czarnorynkowego kursu dolara warta była szachowa korona w roku — dajmy na to — 1886, a ile współcześnie. Wtedy okaże się jasno, że w świecie szachów też wszystko podróżowało i to znacznie.

2.

Cóż jednak takiego wydarzyło się w Moskwie? Oto po blisko 160 dniach gry i 48 partii meczu pomiędzy mistrzem świata Anatolijem Karpowem a pretendentem Garli Kasparowem, prezydent międzynarodowej federacji szachistów FIDE Florencjo Campomanes ogłosił zakończenie pojedynku, mimo iż formalnie nie dobiegł on jeszcze końca.

Zgodnie z regulaminem mecz trwać miał do sześciu zwycięstw jednego z przeciwników, bez limitowania ilości partii, przerwało go natomiast przy stanie 5:3 dla Karpowa. Wszyscy — nie tylko zawodnicy, ale organizatorzy, sędziowie, nawet dziennikarze szachowi — byli już śmiertelnie zmęczeni, długość pojedynku przekroczyła bowiem wszelkie rozsądne i spodziewane granice. Ryzyko stało się zbyt wielkie, wielu znakomitych szachistów popadało już przecież w przeszłości w ciężkie depresje czy stany maniackalne, jak chociażby Fischer czy wielokrotny reprezentant Polski Rubinstein. Pan Campomanes podjął tedy prawdziwie męską decyzję, mecz przerwał i postanowił, że o losach szachowej korony zdecydować mecz następny — ograniczony już jednak do 24 partii — który rozpocznie się i wrzesnia tego roku.

Tu jednak musimy dać nura w historię, iżby objaśnić przynajmniej niektóre subtelności regulaminu.

3.

Pierwszy oficjalny mecz o tytuł mistrza świata rozegrano pomiędzy Steinitzem a Zukertortem Grano do dziesięciu zwycięstw, wygrał Steinitz 10:5 (remisy nie liczy się w rachunku, było ich zresztą pięć zaledwie) i 29 marca 1886 roku został uroczystie ogłoszony championem, co dało mu zarazem niepisane prawo dobiernia sobie przyszłych rywali.

Od strony kasy wyglądało to tak: przeciwnicy wnosili po 2000 dolarów, z czego zwycięzca otrzymywał połowę, a druga połowę ci, którzy go finansowali.

Steinitzowi tytuł odebrał Lasker, Laskerowi Capablanca, Capablance Alechin, no i tak dalej — wylczenie wszystkich okoliczności związanych z tymi historycznymi już pojedynkami — złożyłoby się na grubą książkę, która zresztą została napisana i to po polsku Kto bardzo ciekaw, niech spróbuje dorwać w jakimś antykwariacie „Walkę o tron szachowy” Stanisława Gawlikowskiego.

Równoległe rosły jednak stawki i doskonała się technika gry. Podobnie jak w innych dziedzinach sportu — piłce nożnej na przykład — umiejętność prowadzenia ataku rozwinięła się wcześniej niż umiejętność

obrony. Kiedyś strzelano wiele goli, dziś strzela się ich mało, zwłaszcza w polskiej lidze. Kiedyś, remisowano co piątą czy nawet tylko co dziesiątą partię, wszystkie inne były rozstrzygnięte. Dziś — oczywiście przy wyrównanych siłach rywali — dzieje się dokładnie odwrotnie; obliczono na przykład, że w ostatnich latach Karpow przegrywał co osiemną partię, a Kasparow co czternastą.

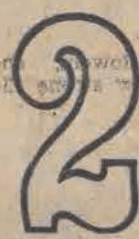
W rezultacie, w meczach o mistrzostwo świata zaczęto limitować ilość partii, bo pojedynki mogły przeciągać się w nieskończoność. Lasker ze Steinitzem grał jeszcze do 10 wygranych, ale już z Capablanką do 6 wygranych, przy maksymalnej ilości 30 partii. W meczu tym, dodajmy, niezależnie od wyniku mistrz świata miał zagwarantowane 11 tys. dolarów, co w roku 1921 stanowiło sumę ogromną.

Capablanka miał na Kubie bogatych sponsorów, nie musiał więc specjalnie zabiegać o pieniądze, zostawszy mistrzem świata natychmiast wznosił jednak sławetny „złoty mur”, żądając od rywali, aby rzucić mu wyzwanie wnosili równocześnie 10 tys. dolarów na fundusz meczowy. Nie wszystkim było na to stać i dopiero Alechin zgromadził potrzebną sumę, wygrał w 1927 roku mecz z Capablanką, a potem... nigdy nie dał mu okazji do rewanżu. Podobnie zresztą jak Capablanka nigdy nie dał szans rewanżu Laskerowi.

Przyszła wojna, Alechin umarł krótko po jej zakończeniu i organizację spotkania o tytuł mistrza świata przejął FIDE. O pieniądzech początkowo mówiono się mało, choć były oczywiście nagrody, ale wszystko zmieniło się radykalnie, gdy pojawił się sławny „Bobby”, Robert Fischer.

„Bobby” to jednak osobny rozdział, (który na dobrą sprawę powinien być płatny w dolarach, ostatecznie w bonach — po starej znajomości).

## JERZY P.



### Świętujmy jak co dzień

Najpierw 8 marca świętowaliśmy Dzień Kobiet — w sposób manifestacyjny i ostentacyjny — przede wszystkim tym, kobiety zaangażowane a więc aktywistki rozmaitych stowarzyszeń i związków, działaczki Ligi Kobiet i rozmaite inne babo-chłopcy, które przez pozostałe dni w roku demonstrowały swoją „kobiecość” pchając się na traktory, ubolewając nad smutnym faktem, że mimo równouprawnienia, przy werbowaniu żałogi dolowej do nowej kopalni kobiecy sa dyskryminowane Wkrótce jednak także i panie mniej aktywne zawodowo i społecznie zaczęły odwiedzać w przeddzień 8 marca fryzjera i prasowały najlepiej suknie, aby ładnie wyglądać nie tylko na akademii o czeniu. Panie to — również demonstracyjnie, jak ich poprzedniczki, które obchody Dnia Kobiet w zamierzonych już latach popularizowały — poławiają się 8 marca w pracy w rozciągniętym swetrze i bez makijażu (nawet jeśli zwykle dbała o swój wygląd), a meza i dzieci już dawno odczyły od składania życzeń.

I myśla biedulki, że tym sposobem, „wsmiewając się z babkiego święta, sprawia iż mekska część otoczenia uzna je za

bardziej kobiece i należnymi płci pięknej względami przez cały rok otaczać będzie.

Nic bardziej błędnego. Taka demonstracja — to przecież także przypomnienie, „o to ja — kobieta”, tyle że w formie smutnej i żalostnej.

Naprawdę prawdziwa kobieta, taka całoroczna, nie od święta, niczego w tym względzie demonstrować przecież nie musi — ani na tak, ani na nie. Jak ma więc postępować 8 marca? Świętować, oczywiście. Jednak bez zbytecznego zaangażowania. Nie tak się zachowywać, jakby był to dzień jedyny w roku, ale po prostu jeden z wielu dni przeznaczonych na przyjmowanie kwiatów, słuchanie komplementów że jesteśmy śliczne, dobre, madre, gospodanne i niezastąpione (niepotrzebne skreślić). Po prostu niech wszyscy, którzy w tym dniu składają nam życzenia, wywnioskują z naszego sposobu bycia, że my tak mamy na co dzień, myśmy do takich świat przywykli. Jeśli uwieryz — przywykli i oni, a wtedy naprawdę nasz Dzień Kobiet nie będzie przypadkiem raz do roku, ale co najmniej w każdą niedzielę.

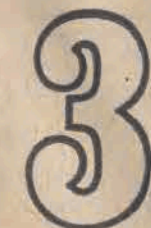
Pewno, że takie zadanie nie jest łatwe i nie każdej pani uda się już w tym roku. Ale warto zacząć właśnie 8 marca. Po całorocznych staraniach w przyszłym roku na pewno pójdzie już dobrze. Postępować trzeba jednak z żelazną konsekwencją. Jak? Plan można ustalić właśnie przy okolicznościowej lampce wina. Oczywiście wylaczenie w damskim gronie.

Z własnego doświadczenia radzę aby te panie, które dały się nabrać na mit rodziny partnerskiej natychmiast z tego zrezygnowały. Kobieta nie ma być partnerem mężczyzny — ma być osobą tego życia, najbardziej luksusowa (a przez to i najbardziej ceniona) zabawka, na jaką mógł sobie pozwolić. Czy jest to luksus na poziomie 10 czy też 100 tys. zł miesięcznie — nie ma aż tak wielkiego znaczenia.

Oczywiście postawa taka nie oznacza, że wracającemu z pracy meżowi można — zamiast obiadu — podstawić pod nos świeżo umalowane paluszki do ucałowania, a szefowi, polecającemu wykonać jakaś pracę tłumaczyć że izami „nie mogę, bo ja taka mała i boli mnie głowa”. Wystarczy, aby i w domu, i w pracy wiedzieli panowie, że nie zrobimy tyle, co oni, a niektórych rzeczy nie będziemy robić wcale (możemy to iśasne, dorównać im w każdej najtrudniejszej nawet pracy, ale nie chcemy, bo my nie od tego).

To jednak co robimy — służbowo i prywatnie — starajmy się robić nie tylko dobrze, ale przede wszystkim tak, aby nikt nie miał podstaw sądzić, że łączenie pracy zawodowej z życiem domowym to nasza codzienna martyrologia, że poświęcamy się i trudzimy ponad siły. Niech wierzą, że jeśli robimy cokolwiek — chcemy to robić, bo sprawia nam przyjemność, bawi, pozwala zagospodarować czas. Nawet jeśli to niezupełnie prawda — niech nikt o tym nie wie. A kwiaty przyjmujemy nie pod hasłem szacunku dla naszego trudu (nie trzeba kobiet szanować, wystarczy je podziwiać i lubić), ale dlatego, że lubimy kwiaty. I należa się nam w Dniu Kobiet nie bardziej i nie mniej niż w inne dni.

## AGATA



### Nie odwet, lecz rozsądne kierowanie

W dawnych wiekach, gdy handel dopiero zaczynał się rozwijać, bywało że kupiec uzyskiwał ze sprzedaży towaru znacznie większy zysk — ponosząc przy tym mniejszy trud — niż jego producent. Przykładki takie zdarzają się i to wcale nierzadko, również obecnie. Nie bez powodu więc

uważa się handel za jedną z najbardziej opłacalnych dziedzin działalności. Zwłaszcza — w naszych obecnych warunkach — handel prywatny. Bo „Spolem”, PHS i inne uspołecznione handlowe giganty, nie dość że muszą wypłacać pensje tysiącom pracowników, to jeszcze o stan sklepów dbać muszą, urządzenia do magazynów kupować, nowe placówki budować, a na dodatek rozmaite przepisy i zarządzenia uniemożliwiają dowolne ustalanie wielkości marż, a więc to, co zostaje jako czysty zysk, nie jest aż tak ogromne.

W handlu prywatnym natomiast wystarczy zainwestować niewiele: kupić lub jeszcze lepiej wynająć małe pomieszczenie, kiosk, a nawet barak, wstawić ladę i kilka półek — i już można robić pieniądze. Duże pieniądze małym kosztem. I nikt mnie nie przekona, nawet przedstawiając rozmaite opatrzone pieczętkami dokumenty, że jest inaczej, że rozmaici właściciele sklepików spożywczych, butików czy budek z kwiatami za swą ciężką pracę ledwie koniec z końcem wiają. Gdyby tak było — nie powstawałyby owe placówki dosłownie jak grzyby po deszczu, nie odkładałby inżynierowie swych dyplomów do szuflady, aby sprzedawać dzinsy z prywatnego importu, nikt nie zamieniłby stanowiska kierownika działu w przedsiębiorstwie uspołecznionym na budkę z kapustą.

Nic dziwnego, że przeciętnego, pracującego w miarę ciężko i zarabiającego w granicach średniej obywatela dochody prywatnych handlarzy irytują. I nie jest to, jak twierdzą niektórzy, zwykła zawist tych, którym pracować się nie chce, więc każdego, komu trochę lepiej w życie wody by utopił. Poczucie niesprawiedliwości społecznej jest w tym przypadku uzasadnione. Prywatni właściciele sklepów zarabiają zbyt dużo i zbyt szybko, zwłaszcza w porównaniu z nakładem pracy i dochodami np. wykwalifikowanego robotnika.

Ostatnie decyzje, zapowiadające ostrzejsze niż dotąd kryteria udzielania zgody na prowadzenie prywatnej działalności handlowej, weryfikację już działających placówek, spotkały się z uznamiem większości społeczeństwa. Czy jednak nie jest to radość przedwczesna, czy decyzje te przyniosą oczekiwane efekty? Już teraz można przypuszczać, że będą one miały również i złe strony. Zapewne zmniejszy się ilość prywatnych placówek handlowych, ale — jak sądzę — nie taki powinien być kierunek działania. Chodzi raczej o to, aby, działając nadal, prywatne sklepy przynosiły większy niż dotychczas pożytek społeczeństwu, a ich właściciele uzyskiwali dochody godziwe, lecz nie przekraczające faktycznej wartości ich pracy.

Zarządzenia zapowiadają m.in. wprowadzenie zakazu handlu przez osoby prywatne artykułami pochodzenia zagranicznego. Pozornie — pozwoli to przeciwdziałać niektórym formom spekulacji oszustw podatkowych. Z drugiej jednak strony towary zagraniczne trafiać na rynek będą. Przywożone nielegalnie — będą również nielegalnie, w branie czy poprzez zorganizowaną sieć znajomych sprzedawane. Legalnymi — mają zająć się państwowe komisje, których w takim układzie okaże się zbyt mało. Ponadto zmonopolizowanie handlu towarami zagranicznymi nie wyjdzie na dobre ani kupującym, ani sprzedającym. Obecnie bowiem istnieje — choć w niewielkim stopniu — pewna konkurencyjność cenowa. Takie same spodnie, zapałniczki czy inne towary można w jednym butikku kupić drogo, w innym nieco taniej. Prawda, że i po tej niższej cenie nie wszyscy mogą sobie na takie zakupy pozwolić, ale tego przecież komisje nie zmieniają.

Korzystniejsza byłaby chyba decyzja o pozostawieniu towarów zagranicznych w prywatnych sklepach, przy równoczesnym znacznym zwiększeniu wynikających z tego tytułu obciążeń podatkowych i istotnym zaostrzeniu sankcji za wszelkie nieuczciwe próby wykręcenia się od obowiązku płacenia.

Jedyną grupę towarów zagranicznych, które powinny być objęte stanowczym zakazem sprzedaży w prywatnych sklepach (w komisjach zresztą również) powinny stanowić artykuły pochodzące z Pewexu. Obecnie bowiem kupuje się w Pewexie np. papierosy, przelicza dolary wg. czarnorynkowe-

go kursu, dolicza marżę i sprzedaje z dużym zyskiem. Przedsiębiorstwo to staje się więc czymś w rodzaju hurtowni dla prywatnych sklepikarzy, co absolutnie nie powinno mieć miejsca.

Mniejsza zresztą o papierosy, kosmetyki czy zagraniczne ciuchy. Choć nieraz miałoby się ochotę kupić coś takiego, nie są to ostatecznie towary niezbędne. Nie jest również artykułem pierwszej potrzeby czekolada, kakao czy rodzynki. Te „rarityasy” praktycznie dostać można jedynie w prywatnych sklepach. O ile jednak na sweter z butiku — nie każdego stać, to dwa dekagramy pieprzu czy 10 dag. rodzynek dwa razy do roku kupić może każdy. Jeśli nie kupi ich u prywatnicarza, nie kupi nigdzie.

I w tym przypadku nie uważam jednak, że należy pozostawić właścicielom prywatnych sklepów spożywczo-kolonialnych dotychczasową swobodę. Zamiast administracyjnego zakazu sprzedaży lepiej byłoby — choć nieco to sprzeczne z duchem reformy — ustalić maksymalne ceny, których przekraczać nie wolno.

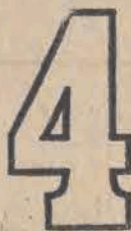
Ostatecznie ceny regulowane i ustędowe obowiązują na wiele towarów w handlu uspołecznionym, dlaczego nie wprowadzić ich również w handlu prywatnym, który jak dotąd, poczyna sobie zupełnie dowolnie i bezkarnie.

Ostatnio nie tyle zirytowała, co zdziwiła mnie w prywatnym sklepie ze słodyczami cena drożdży, produkcji NRD. Kosztowały one 70 zł, podczas gdy na opakowaniu widniała cena 25 fenigów. To ile właściwie kosztuje marka? Prawie 300 zł! Tak paradoksalne wyniki przeliczeń nie są w prywatnym handlu rzadkie. Widywałem czeskie korony, za które „wychodziło po 200 zł (za manne), ruble — po 700 zł (za kawę) nie mówiąc już o dolarach, które niekiedy przekraczają wartość 1000 zł.

Niezłym pomysłem byłoby zmuszenie prywatnych handlarzy, aby sprzedawane towary zagraniczne przeliczali według takiego samego kursu, jaki obowiązuje w produkcyjnych na eksport zakładach pracy. Wtedy albo sami zrezygnują, bo proceder przestanie być opłacalny, albo ceny towarów przestaną być tak szokujące, niewspółmierne do ich rzeczywistej wartości.

Zapowiadane porządki w sektorze handlu prywatnego są niewątpliwie potrzebne, wydają się jednak, że w nowych przepisach, które obowiązywać mają od początku przyszłego roku zbyt małą wagę przywiązano do ekonomicznych instrumentów sterowania, zbyt dużą — do metod administracyjnych, które jak uczy doświadczenie, przynoszą mniejsze od spodziewanych efekty, a niekiedy za bardzo przypominają działania odwetowe. A nie o to przecież — miejmy nadzieję — chodzi, aby zniszczyć przedstawicieli prywatnego handlu, lecz aby pożytek z ich działalności dla społeczeństwa i dla państwa był większy, a dla nich samych jednak nieco mniejszy.

## KLIENKA



### Lewym okiem

### Kobieta jest, jak...

Z okazji zbliżającego się Święta Kobiet przeczytałem sobie wydaną niedawno sympatyczną książeczkę pt. „Ta jedyna”, stanowiącą zbiór aforyzmów, powiedzonek i przysłów o kobiecie. Wyboru tych aforyzmów dokonał Klejstut Roman Szymański i oczywiście dokonał go na jeden ze stu tysięcy możliwych sposobów. Mamny tu aforyzmy znanych osobistości — w takich wypadkach to, co Osobistość myśli o kobiecie, charakteryzuje nie tylko

przedmiot, ale i podmiot myśli, czyli samą Osobę. Przy nazwiskach autorów nie podano żadnych wskazań, ale bardzo inteligentny czytelnik i tak wie od razu, kto jest kto. Ponieważ jestem zaledwie średnio inteligentny, nie wiem kto to zacytował: Zdzisław Kałedkiewicz, Kenko, Janusz Roś, Saki, Ferdynand Wieleży, i wielu innych. Nie wiem też, kto to Fangrat i Perzyński. Wiedziałbym, gdyby chodziło o Tadeusza Fangrata i Włodzimierza Perzyńskiego, ale tu stoi jak wół, piękny czołog pisane, Eugeniusz i Kazimierz, więc to na pewno jakiś inni. Przecież gdyby to był zwycięzcy, szkolniutki błąd, to korektor i wydawca zaraz by się na tym poznali i poprawili.

Jeśli to słowo „szkolniutki” Wam się nie podoba, to trudno. Mnie się nie podoba użyte w „Tej jedyniej” słowo „najlepsze”, ale ponieważ mieści się ono w maksymie Konfucjusza, to niewykluczone, że Konfucjusz tak właśnie mówił: „Kobieta jest to, co jest na świecie najlepsze i najbardziej psujące”.

Na szczęście większość autorów — a zebrano ich tu czterystu trzydziestu dwóch — ma znacznie lepsze zdanie o kobiecie niż Konfucjusz. Ale nie wszyscy. Rabindranath Tagore na przykład, wielki hinduski poeta i myśliciel, mówi tak: „Zadna kobieta nie powiedziała nigdy prawdy o swoim życiu”.

A znów słynna tancerka, Isadora Duncan, twierdzi: „Zadna kobieta nie powiedziała nigdy całej prawdy o swoim życiu”. Zadzwiwiająca zgodność poglądów przedstawicieli dwóch tak odmiennych środowisk, kultury i epok świadczy o niewzruszonej obiektywnej prawdziwości tych poglądów. Notabene jeśli ktoś myśli, że można na oczekaniu sformułować sto takich aforyzmów i przypisać je komukolwiek z historii powszechnej, to... to też się nie myli.

Czasem sens dwóch aforyzmów wyklucza się wzajemnie i wówczas jeden z nich — zgodnie z arystotelesowską zasadą wyłączeni — musi być nieprawdziwy. Chyba że dotyczy innej kobiety, co z kolei świadczy, że kobiety mogą być takie i inne. Na przykład Louis Desnoyers (kto to jest?) uważa, że „W miłości kobiety zawsze więcej dają niż otrzymują”. A znówu stary Goethe (może jeszcze wtedy nie był stary): „Kobiety w ogóle biorą od mężczyzn więcej niż dają”.

Albo Henryk Ferdynand Kaden (kto to jest?): „Tylko kobiety dorastają. Mężczyźni nie są dorosli nigdy”. Zaś filozof Bronisław Trentowski: „Kobieta jest wiecznym dzieckiem”.

I tak ze wszystkim. Raz czytamy, że kobiety lubią zwycięzców (Robert Beauvais), to znów, że każdej dziewczynie spodoba się raczej pechowiec, niż zwycięzca (Antoni Czechow). Nie ma mądrych w takiej sytuacji najtrafniejszym wydać się muszą dwie sentencje: Balzaca — „Wszystko, cokolwiek się powie o kobiecie, jest prawdą”. I Rudolfa Leonharta — „Kobieta jest korbata i z tym się trzeba pogodzić”.

Najlepsze są maksymy dowcipne, nie śmiejące na głębie i metafizyka, ale przyprawiające czytelnika o szczyry uśmiech. Jest ich w omawianej tu książeczce sporo i to one przesadzają o tym, że „Te jedyna” kartkuje się z przyjemnością i z zainteresowaniem. Postuchajcie:

— „Piękna kobieta jest jak kaczka — za dużo na jednego, za mało na dwóch” (K. Makuszyński);

— „Dziewczyna jest jak pieniądze — pragnie się wydać” — (Magdalena Samozwaniec);

— „Pieniądze albo życie — złodziej zostawia nam wybór, żona żąda jednego i drugiego” (Samuel Butler);

— „Mężczyzna może kochać dotąd dwie kobiety, dokąd jedna z nich się nie zorientuje” (S. D. Colette);

— „To kobieta wybiera mężczyznę, który ją wybierze” (Paul Geryaldy);

W tym miejscu spostrzegam, że cytowane maksymy nie są pozbowane pewnej złośliwości, a tu przecież Święto Kobiet, nie uchodzi... Niech jednak usprawiedliwi mnie fakt, że ich autorami są nie tylko mężczyźni.

Pocytujcie sobie „Te jedyną”, najlepiej w mieszanym towarzystwie.

## WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Barman, który wiercił się od dawna niespokojnie w swoim kolorowym raju, zbliżył nagle do Polaka układną i miłą niewątpliwie londyńską twarz.

— Słowo daję — zaczął, przy czym głos miał wielce tajemniczy i surowy. — Gdyby nie broda, wziąłbym pana za...

— Panie, niech mnie pan raczej za nic nie bierze — odważył się brutalnie reżyser. — Nie, cierpię pedałów, rozumiesz pan? A poza tym, to ja sprzedaję kiełbaski na Victoria Station.

Zapłacił, podał rękę adwokatowi i nie zwracając już na owego czcigodnego meza uwagi ruszył do okienka Air France. Pokłonił się przed nim z taką galanterią, że miło było popatrzeć.

— Mademoiselle — zaśpiewał po francusku wprawnie i szczerze — ma pani chwilę czasu?

— Mam — odśpiewała mademoiselle.

— To świetnie się składa. — Podsunął jej pieniądze i paszport. — Właśnie przyszło mi na myśl, że trzeba wypić kawę w Paryżu.

Kobieta wydała z siebie całą serię radosnych chichotów i pisków, po czym wyciągnęła mu bilet, na którym ku zgrozzeniu reżysera zabrakło adnotacji, iż jest ważny 538 lat. Francuzi nie mają widocznie aż takiej wiary w długość ludzkiego życia.

## Paryż

Patrick grał we wrześniu siedemdziesiątego dziewiątego roku koncert w Halles, owym punkcie Paryża, gdzie były dawniej wielkie, murywane bazy, a potem zburzone je i wpuszczono pod ziemię kilka pięter żelaza, betonu i stali i na tych kilku piętach żelaza, betonu i stali pod ziemią i kilku nad ziemią powstało centrum kulturalno-handlowe: różne sklepy, restauracje, bary, kawiarnie, dyskoteki, teatry, kina, biblioteki, księgarnie, no i sale koncertowe, w których muzyk jazzowy mógł zarobić czasami parę franków.

Niejaki Patrick O'Brien, trzeci wedle własnego mniemania perkusista na świecie, skądinąd wykształcony absolwent paryskiego Konserwatorium pochodził z rodziny tak bogatej, że nie musiał naprawdę siedzieć za bębniami Yamahy w jakimś cholernym bunkrze. A jednak siedział, robił to bowiem nie dla pieniędzy, lecz dla satysfakcji. Tu przecież trzeba powiedzieć, iż od pewnego czasu gra na perkusji sprzeciwiała się artyście, w związku z czym satysfakcja była nieduża.

Brakło po prostu Patrickowi wiary w swoją wielce skomplikowaną sztukę, a przyczyną te-

go była nie tylko porażka, której doznał w Stanach Zjednoczonych, lecz i fakt, że nie wynocowało mu pożyte z żoną.

Jakkolwiek bardzo się starał, drogi japoński instrument brzmiał płasko i bez wyrazu. Patrick wyczuwał to swoim sułtelnym uchem; co gorsza — wyczuwali to również muzycy i widzowie, jeśli można w ogóle nazwać widzów trzynaścioro rozproszonych w ogromnej sali o tysiącu wysycianych krzesel.

Jest źle! Próbował uderzeń z lewego i prawego skrzydła, grał forte, a potem tak cicho jakby bzycała średnia mucha. Było to oczywiście godne podziwu — technika, gracia, tonacja. Jeśli jednak ktoś ściągał uwagę słuchaczy, to nie on, lecz trębacz, blady, czarniawy pokurcz, który skończył dopiero dwadzieścia lat, a pompował na tych swoich tłokach jak chciał.

Wycieniował na werblu tremolo w ostatnim akordzie, po czym zszedł z estrady. Pocięził się, że słaba frekwencja jest wynikiem strajku, który wybuchł w metrze tego ranka. Jutro będzie lepiej — z frekwencją, z graniem, z samopoczuciem. Pożegnał kolegów, klepnął w ramię trębacza i chciał opuścić garderobę, ale zderzył się w drzwiach z nieznaną kobietą w okolicach trzydziestki.

Kobieta przytrzymała go przez chwilę magnesem swoich głębokich, czarnych źrenic, powtórzyła tę samą operację na trębacz i zapytała bez niepotrzebnej pruderii, czy panowie nie mieliby przypadkiem ochoty posłuchać nieznanego, archiwalnych nagrań Cliforda Browna, muzyka, którego talent przepadł na wieki w katastrofie samochodowej.

Panowie odparli, że owszem, mieliby przypadkiem ochotę, ale...

Zerknęli na kolegów — pianistę i saksofonistę, bo gitarzysta zdążył już wyjść.

Biegła w sztuce dyplomacji dama poprawiła się natychmiast.

— Was także zapraszam oczywiście — powiedziała tonem, który przeczył raczej zaproszeniu.

Pianista, wyraźnie urażony, odrzekł sucho:

— Dziękuję, ale nie skorzystam.

Mistrz saksofonu, również skądinąd dotknięty na honorze, zbyt jednak dumny, aby to pokazać, oświadczył, że czeka go jakieś ważne spotkanie.

W tej sytuacji nieznaną pociągnęła za sobą tych tylko, których chciała pociągnąć, a więc przystojnego perkusistę i utalentowanego trębacza.

Jako że cała trójka miała samochody, Citroën dąmy ruszył w charakterze pilota na czele konduktu. Tuż za nim jechał strupieszawy peugeot trębacza, a na końcu czerwony ford państwa Korsyki i Patricka O'Brien, przy czym nie trzeba dodawać, że perkusista był bez żony.

Okrzepł już w stanie apatii — nie kochał i nie cierpiał specjalnie, rzadko zabierał teraz Korsyke na koncerty, coraz częściej natomiast jadł samotne kolacje w mieście, z których

wracał do domu późną nocą tak pijany, że nawiązywał dialogi czy też wszczęcie awantury z małżonką nie wchodziło w ogóle w rachubę. Padał za zwyczaj w ubraniu na łóżko i poprzężył się w ciężkim, niezdrówym śnie, aby nazajutrz wstać około południa i na nowo poddać się rygorom egzystencji.

Kobieta zahamowała przed posesją w Pierwszym Arrondissement i poprosiła muzyków, aby zechcieli trochę poczekać, gdyż musi odstawić wóz do garażu. Czekali więc. Patrick sączył obojętnie papierosa, a blady, drobny, niesłychanie nerwowy trębacz przyglądał się z nietajnym podziwem kamienicy, która, co to dużo gadała, była jednym z owych współczesnych pałaców o frontonie wyłożonym płytami z czarnego marmuru. O drzwiach, których mosiężne, wypolerowane do polysku framugi przywodziły na myśl szczerze złoto, o dużych głębokich balkonach z ażurowymi balustradami, które w żadnym wypadku nie zachęcały do samobójstwa. Teren wokół tej pięknej, sześciopiętrowej kamienicy był kombinacją zwirowanych ścieżek, granitowych chodników, kwadratów delikatnej, pastelowej, równo ostrzyżonej trawy oraz kilku sadzawek, fontanienek i brodzików z niebieskiej glazury. Wszystko to razem szemrało, kwiliło, śpiewało i skrzyło się w różowym świetle dwóch zainstalowanych na skrzydłach budynku halogenów.

— Bajka — sapnął trębacz. Patrick chciał powiedzieć, że widział już piękniejsze bajki, ale powstrzymał się patrząc na trzydziestoletnią damę, która wychynęła z podziemnego garażu i szła ku nim środkiem stromej, betonowej podjazdu. Ma coś w sobie. Nogi niby krzywe, niby zbyt masywne w stosunku do szczupłej sylwetki, ale zdecydowanie seksowne, kształtne, sprawujące takie wrażenie, jakby kobieta zsiadła przed oknami z konia. Luźna u kolan, lecz obcisła w talii spódnica wywdartniała przy każdym ruchu krągłe mocne uda i szerokie rozedrgane, wprost zapraszające do miłości biodra. Twarz i usta, nieco wilgotne i lśniące, jakby wessały przed chwilą tajemniczy, słodki owoc, zdradzały duże przywiązanie do życia.

Przykro jej będzie umierać — zdecydował Patrick. Kobieta tymczasem pchnęła drzwi i wprowadziła ich na klatkę schodową. Noo, proszę państwa! Klatka przypominała kuluary w zamożnym teatrze. Posadzka była dla odmiany z białego marmuru. Schody wyszcielono krwistoczerwonym sukniem. Z sufitu tryskał światłem ogromny, miedziany żyrandol, a na ścianie w pobliżu windy i obok stanowiska konsjerżki płonęło kilka bliźniaczych kinkietów. Była także po prawej stronie od drzwi rozpychająca się beczelnie palma, pod nią zaś stolik, skórzana kanapa i dwa fotele, żeby nie wspominać już takich drobiazków, jak spluwaczki, popiel-

niczki, telefony i elektryczne, obrotowe szcztoki do butów.

Kobieta skinęła głową konsjerżce, ta zaś odpowiedziała z takim dostojenstwem, jakby była pierwszą damą na dworze Ludwika XVI, który skądinąd został zdezonizowany i ścięty.

Wsiadli do windy, która też miała w sobie dużo dostojenstwa — poruszała się wolno, gładko, płynnie i bezzesełnie; rzekłbys: nie prąd ją unosi, a ogromny, wypieliony helem balon. Dotarli do podestu trzeciego piętra, a potem...

Właśnie! Dama otworzyła sobie, dębowe drzwi, na których wisiała tabliczka:

M. Mme Jean et Lucille Legrand.

W tym samym momencie ktoś piętro wyżej zamknął drzwi i nie wolać windy zaczął zbiegać po dwa stopnie ze schodów. Patrick, podobnie zresztą jak trębacz i znieruchomiła w progu dama, odwrócił głowę i zobaczył... niesłychane!

Ambitna literatura unika zbiegów okoliczności, lecz życie dostarcza ich na każdym kroku. Literatura nie wierzy w dziwne trafy i przypadki, natomiast Patrick uwierzył bez zastrzeżeń własnym oczom — niski, szczupły, długowłosy, ubrany z młodzieńczą bez troską w same tylko dżinsy i rozczłapnięty sweter męczyzna był głośnym na cały świat reżyserem filmowym; był gwałcicielem, był diabłem, był upiorem, za którym biegiły trop w trop różne skandale i nieszcześcia.

O! jak się uśmiecha! Słodko i niewinnie. Odgarnia z czoła kosmyk włosów, strzela zbojęckim okiem w kobietę i krzyczy:

— Helou!

— Helou! — odpowiada kobieta, zaczerwieniona lekko i zdyszana.

Pochlebilo jej to pozdrowienie, nie ma co! — myśli Patrick. — Spała z nim na pewno po sąsiedztwu, kiedy monsieur Jean Legrand wyjeżdżał w sprawach służbowych z Paryża.

— On tu mieszka? — zapytał.

Kobieta zerknęła na schody, którym należał się szacunek choćby za to, że dźwigały przed chwilą tak wybitnego, jak Napoleon człowieka.

— Si — potwierdziła. — Zna go pan?

— Kto go nie zna — mruknął niechętnie muzyk, po czym zreflektował się i dorzucił żwawo: — Bardzo lubię jego filmy.

— Ja też.

Pochyliła się i nim weszła do mieszkania, zwinęła mleko, które stało pod drzwiami w zwykłej, szklanej butelce. Wlepiła w Patricka oczy, próbując wysadować, czy perkusista zrozumiął.

Owszem, Zrozumiał. Mleko czeka tu już od wczesnego ranka. Skoro sięgasz po nie, siostreczko, dopiero teraz o jedenaście wieczorem, można założyć, iż ostatniej nocy nie spędziłaś w domu.

No i co z tego? — zdmawały się pytać kpiące, zachłanne, zdecydowanie bezwstydne źrenice. Nic — odpowiedział wzrok muzyka.

Trębacz, który ani rusz nie chwycił tego milczącego dialogu, a czuł się zobowiązany zaakcentować jakoś swoją obecność, bąknął, że u nich w domu kupuje się raz w miesiącu kontener pasteryzowanego mleka o przedłużonym okresie trwałości i szlus! Kto by się bawił w jakieś tam szklane butelki.

Kobieta przyznała trębaczowi rację. Kontener pasteryzowanego mleka o przedłużonym okresie trwałości jest zaiste rozwiązaniem nadzwyczajnym, ale tak się głupio składa, że w tej pozornie dużej, sześciopiętrowej kamienicy mieszka tylko sześć rodzin, czy jak kto woli, tylko sześciu głównych lokatorów, (na każdej kondygnacji po jednym), i ci lokatorzy, bardzo głupio się składa, lubią mieć rano pod drzwiami świeże pieczywo, świeże gazety i świeże mleko.

Trębacz spiął raka, ale brnął dalej przekonany, że jego wirtuozeria muzyczna musi wcześniej czy później udzielić się słowem:

— Wyobrażam sobie ten harmonider i ruch! — wypalił i nagrodził sam siebie salwą śmiechu. — Ci wszyscy gazeciarze, piekarze, roznosiciele mleka...

— Otóż, nie — oświadczyła kobieta, wprowadzając gości do obszernego, opróżzonego seledynowym światłem salonu. — Nie ma żadnych gazeciarzy, piekarzy i roznosicieli mleka. To znaczy: są, ale trudno ich usłyszeć i zobaczyć, gdyż kontaktują się wyłącznie z konsjerżką, a ona, nasza kochana madame Mathilde, rozwozi to wszystko bezzesełnie po piętrach. Tak się jakoś głupio składa.

Trębacz miał dosyć. Przysiadł skromnie na brzegu skórzanej kanapy i czekał ponuro na spotkanie z archiwalnymi nagraniami Cliforda Browna. Patrick tymczasem spacerował wzdłuż i w szerz salonu, nie obojętny wprawdzie na jego uroki i pokrzepiony widokiem barku na kółkach, tak jednakże zatopiony w myślach, że nie zwrócił wcale uwagi, iż dama włączyła już aparaturę i legendarny Cliford Brown, trębacz, którego talent przepadł na wieki w katastrofie samochodowej zaczął sytać perłami ze swego zaczarowanego instrumentu.

— Genialne! — zawyrokował blady młodzieniec, który również był trębaczem, ale perły, jakimisypał na estradzie, nie miały jeszcze zbyt wysokiej próby.

— Byłam pewna, że doceni pan sztukę swojego nieżyjącego, amerykańskiego kolegi — przytaknęła z powagą kobieta. — Co pan wypije?

— Pernod! — machnął ręką trębacz, który chciał słuchać i już! Przeszkadzało mu głupie gadanie.

— A pan?

Patrick ocknął się i przyjrzał stojącym na barku butelkom. Wskazał tę, która była pekata i złota.

— Chivas Regal. Kobieta rzuciła mu szybkie spojrzenie.

— Z sodą?

— Tego nie pija się z sodą, madame.

— Lód?

— Och, najwyżej kosteczkę.

Kobieta odegrała z werwą i wdziękiem koncert na trzy kryształowe szklanki. Do tej, którą miał otrzymać zasłuchany trębacz, chlapanęła trochę pernodu i dolala wody tak, że burzstynowy alkohol zamienił się w mleczko. Wyluskała szczyptami kostkę lodu z kryształowego wiaderka, wpuściła ją do szklanki Patricka O'Brien i zalała szczerze whisky, która, nim trafiła do butelki, leżała dwanaście lat w dębowej beczce, dzięki czemu miała swój kolor, swój aromat i swoją czterdziestoprocentową moc. Sobie też wzięła Chivas Regal, ale straight, bez dodatków.

Uniosła szklankę, napiła łyk i dopiero wtedy powiedziała:

— Za jazz!

— Za jazz! — powtórzył Patrick ciągnąc szybko i ze smakiem.

— Lubi pan Cliforda Browna?

— Uwielbiam.

— Więc za Cliforda Browna!

— Si. Za Cliforda Browna i w ogóle za muzykę!

— Cisz! — warknął poirytowany trębacz. — Muzyki należy słuchać, a nie pyłować o niej bez przerwy!

— Słusznie — powiedziała z wyrozumiałym uśmiechem gospodyni, i do Patricka: — Zapali pan?

— Chętnie.

Podsunęła mu paczkę player-sów.

— A może wolałby pan coś oryginalniejszego?

— Na przykład?

— Haszysz.

— Nie używam narkotyków, madame.

— Znamy twierdzą, że haszysz doskonale komponuje się z muzyką. Odbiór jest wtedy pełny, niezakłócony, kolorowy i bogatszy o sto jeden tonów.

— Stulcie pysk, do jasnej cholery! — wrzasnął trębacz, na którym, owszem, kamienica i salon wywarły duże wrażenie, ale kiedy zaczął grać Cliford Brown, zapomniał o wszelkich przyziernościach.

Dama i tym razem uśmiechnęła się wyrozumiale. Wstała jednak z głębokiego fotela, włączyła skomplikowaną aparaturę Hi-fi, wyluskała z niej za naciśnięciem guzika kasete, podcięła do zaskoczonego trębacza i wreczyła mu ją ze słowami:

— Przepraszam. Zarówno mnie jak i pańskiemu przyjacielowi zbywa na ogładzie. — Podniosła delikatnie młodzieńca z kanapy. — Niechętnie pożyczam taśmy i płyty, ale dla pana zrobię wyjątek. — Pociągnęła go w stronę drzwi. — Może pan wziąć Cliforda i posłuchać go spokojnie w domu, gdzie zapewne nikt nie będzie panu przeszkadzał. Może go pan również przegrać. Przyjdzie jutro do Halles na wasz koncert, wtedy zwróci mi pan kasete, zgoda?

C.D.N.

Rys. Janusz Szymański-Glane

